

REKOPIS ZNALEZIONY

W SARAGOSSIE

ROMANS WYDANY POŚMIERTNIE

Z DZIEŁ

HR. JANA POTOCKIEGO.

TOM V.



Wydanie J. N. Bobrowicza.



LIPSK

NAKŁADEM KSIĘGARNI ZAGRANICZNEJ

(*Librairie étrangère*).

—
1847.

REKOPIS ZWILKOWY

IV. BAKARSKIE

ROMAN WILKOWSKI

1881

HR. JANA POTOCKIEGO

TOM V

Wydanie I. Pierwsze



WILKOWSKI

WYDAWCA: KSIĘGARNIA WILKOWSKA

(Wydanie pierwsze)

1881

DZIEŃ CZTERDZIESTY PIERWSZY.

Sposób ten zatrzymywania podróżnych wydał mi się nieco dziwacznym, chciałem nawet przełożyć w tym względzie naczelnikowi pewne moje uwagi; ale cygan o wschodzie słońca kazał zwinąć obóz i poznałem po głosie z jakim wydawał rozkazy, że rady moje pozostałyby bez skutku.

Tym razem, posunęliśmy się tylko o kilka staj, do miejsca które musiało być niegdyś uledez trzęsieniu ziemi, gdyż spostrzegliśmy ogromną skałę, prawie na dwoje rozlupaną. Zjedliśmy obiad, poczem każdy odszedł do swego namiotu.

Nad wieczorem, udałem się do naczelnika, posłyszałem bowiem w jego namiocie nadzwyczajną wrzawę. Zastałem tam dwóch Amerykanów i potomka Pizarrów, który z gwałtowną natarczywością dopominał się o oddanie mu wigoni. Naczelnik słuchał go cierpliwie,

pokora ta jednak ośmielała Señora Hierro Sangra tak, że coraz głośniej zaczął wrzeszczeć nieszczędząc przydomków: lotra, złodzieja, rozbójnika i tym podobnych. Naten-
 czas, naczelnik gwiznął przeraźliwie i w je-
 dnej chwili namiot napelnił się uzbrojonymi
 cyganami. Na ten widok niespodziewany,
 Señor Hierro Sangre, coraz zniżał głos, wre-
 szcie tak zaczął drżeć że zaledwie można było
 dosłyszeć co mówił. Naczelnik widząc go
 uspokojonego, podał mu przyjaźnie rękę i
 rzekł: «Wybacz dzielny Peruwianinie, pozory
 walczą przeciw mnie i pojmuję słuszny twój
 gniew, ale pójdź tymczasem do margrabiego
 Torres Rowellas i zapytaj go czyli nie przy-
 pomina sobie pewnej pani Dalanosy, której
 siostrzeniec powodowany jedynie grzeczno-
 ścią, podjął się zostać vice-królową Meksyku,
 na miejscu panny Rowellas. Jeżeli dotąd nie
 zapomniał o nim, proś go aby raczył zaszczy-
 cić nas swemi odwiedzinami.»

Don Gonzalw de Hierro Sangre zachwy-
 cony że nie gorzej skończył się wypadek
 który zaczynał go mocno niepokoić, przyrzekł
 co do słowa wypełnić dane mu polecenie.
 Po jego odejściu, cygan rzekł do mnie: «Da-
 wnemi czasy, margrabia Torres Rovellas

szczególne miał upodobanie do romansowości, trzeba zatem przyjąć go w miejscach któreby mogły mu się podobać.» Weszliśmy w rozpadlinę skały, ocienioną z obu stron gęstymi zaroślami i nagle uderzył mnie widok przyrody całkiem odmienny od tych jakie dotychczas widziałem. Ostre skały, tu i owdzie poprzerywane kwiecistymi pagórkami, otaczały jezioro ciemno zielonej i przezroczystej wody. Gdzie tylko skały zachodziły w wodę, drobne ścieżki wykute w kamieniu prowadziły z jednego pagórka na drugi. W innych miejscach woda wpływała do jaskiń podobnych do tych jakie zdobyły wyspę Kalipsy. Były to czarowne schronienia, upał nigdy tam nie dochodził i orzeźwiająca kąpiel zdawała się wzywać przechodnia. Głębokie milczenie oznaczało że oddawna żaden człowiek w te miejsca się nie przedarł. «Oto jest — rzekł naczelnik — mała prowincya mego państwa w której przepędziłem kilka lat życia, jeżeli nie najszcześniejszych to przynajmniej najmniej burzliwych. Ale wkrótce zapewne przybędą dwaj Amerykanie, zobaczymy czy niema jakiego schronienia gdziebyśmy mogli z przyjemnością ich oczekiwać.» Po tych słowach weszliśmy wszyscy do jednej z najpowabniej-

szych jaskiń i niebawem spostrzegliśmy zbliżających się obu starców.

« Możeż to być — rzekł jeden z nich — abym po tylu latach znowu spotykał człowieka który w młodości mojej wyświadczył mi tak ważną przysługę? Często dopytywałem się o ciebie, donosiłem ci nawet o sobie podczas gdy znajdowałeś się jeszcze przy kawalerze Toledo, ale odtąd..... »

« Tak jest, odtąd — przerwał stary naczelnik — trudniej było mnie wynaleźć, dziś jednak gdy znowu jesteście razem, spodziewam się że uczynisz mi Señor zaszczyt przepędzenia kilku dni w tem schronieniu. Po trudach tak męczącej podróży, sądzę że wypoczynek nie będzie zbyt cennym. »

« W istocie, jest to zaczarowana okolica, » rzekł margrabia.

« Za taką przynajmniej uchodzi — odpowiedział cygan. — Za panowania Arabów, nazywano to miejsce: *Afrit hamanik*, czyli djabelską łąnią, dziś okolica nosi nazwę: *Los Frita*. Mieszkańcy Sierra Moreny lękają się do niej zbliżać i wieczorami opowiadają sobie tysiączne o niej dziwaczne przygody. Zdało mi się że niemam przyczyny wyprowadzać ich z błędu, dla tego prosiłbym nawet aby

większa część waszego orszaku pozostała zewnątrz doliny, tam gdzie rozstasowałem mój własny obóz. »

« Z największą chęcią — odrzekł margrabia — pozwól tylko abym wyjął z pod tego prawa moją córkę i przyszłego mego zięcia. »

Za całą odpowiedź, naczelnik skłonił się głęboko i posłał swoich ludzi dla przeprowadzenia rodziny i kilku służących margrabiego.

Podczas gdy cygan oprowadzał swoich gości po dolinie, Velasquez podjął kamyk i rzekł: « Nie ma wątpienia że w każdej z naszych hut szklanych, możnaby topić ten kamyk bez przymieszania obcej materji. Jesteśmy tu w kraterze dawno wygasłego wulkanu. Z wnętrza tego przewróconego ostrokręgu, możemy dojść jego głębokości i obrać siłę zużyta na jego wydrażenie. Warto się nad tem głębiej zastanowić. » Velasquez zadumał się przez chwilę, dobył tabliczek, zaczął coś na nich pisać, poczem dodał: Mój ojciec miał nader jasne pojęcie o wulkanach. Podług niego, siła odśrodkowa rozwijająca się w ognisku wulkanu, jest daleko wyższą od siły bądź pary wodnej, bądź też zapalanej saletry i ztąd wnosił: że ludzie przyjdą kiedyś

do poznania płynów, których skutki wytłumaczają im większą część zjawisk natury.»

« Mniemasz pan zatem — rzekła Rebeka — że wulkan wydrążył to jezioro? »

« Nie inaczej — odparł Velasquez — skład kamienia i kształt jeziora dostatecznie nam tego dowodzą. Podług objętości przedmiotów jakie spostrzegam na przeciwnym brzegu, przypuszczam że średnica jeziora wynosi około trzydziestu sążni, pochyłość zaś wewnętrzna mając siedmdziesiąt stopni, wnoszę że ognisko musiało znajdować się na 443 sążni głębokości, z czego wypadnie nam wstrząśnienie dziewięciu milionów, siedmiu kroć trzydziestu czterech tysięcy, czterysta pięćdziesięciu pięciu sążni kwadratowych materji. Powiedziałem zaś już że siły natury dotąd nam znajome w jakiegokolwiek ilości zebrane nie byłyby w stanie sprawienia podobnego skutku. »

Rebeka chciała odpowiedzieć na to dowodzenie, gdy wtem wszedł Margrabia z swoją rodziną; ponieważ zaś rozmowa ta nie byłaby równie dla wszystkich zajmującą, naczelnik przeto, chcąc położyć koniec matematycznym zagłębianiom Velasqueza, rzekł do swego gościa: « Kiedym cię znał, Señor, byleś piękny

jak anioł i tkliwy jak młoda dziewczyna. Związek twój z Elwirą, musiał być pasmem niewypowiedzianych rozkoszy. Zrywałeś róże na drodze życia, nie tykając wcale cierni. »

« Nie zupełnie — odrzekł margrabia. — Wprawdzie uczucia tklive może pochłonily zbyt wielką część mego życia, ale z drugiej strony, ponieważ nie zaniedbałem żadnego obowiązku uczciwego człowieka, mogę zatem śmiało przyznać się do moich słabości. Usiedliśmy w miejscu nader przyjaznem do romansowych opowiadań i jeżeli chcecie, dam wam poznać historję mego życia »

Całe towarzystwo z rozkoszą przyjęło oświadczenie margrabiego, który zaczął w te słowa:

HISTORIA MARGRABIEGO TORRES ROVELLAS.

Gdy wszedłeś do Teatynów, mieszkaliśmy jak wiesz niedaleko ciotki twojej Dalanosy. Matka moja często chodziła odwiedzać siostrzenicę swoją Elwirę, ale nigdy mnie z sobą nie brała. Elwira wstąpiła do klasztoru, udając chęć zostania zakonnice i nie wypadalo aby przyjmowała odwiedziny młodego chłopca. Tak, wystawieni byliśmy na wszystkie dole-

gliwości rozłączenia, którą o ile możności osładzaliśmy sobie jak najczęstszymi listy. Matka moja zwykle je odnosiła, chociaż zawsze wzdragala się, utrzymując że nie tak łatwo było otrzymać dyspensę z Rzymu i że według zasad, dopiero po uzyskaniu takowej, mieliśmy prawo pisywania do siebie. Pomimo jednak tych skrupułów, nie zaprzestała noszenia listów i przynoszenia mi odpowiedzi. Co się tyczy majątku Elwiry, nikt nie śmiał go ruszyć, gdyż od chwili jej obłóczyn miał przejść na poboczną linię rodziny Rovellas.

Ciotka twoja mówiła mojej matce o swoim wuju Teatynie jako o biegłym i rozsądnym człowieku, który mógł jej poradzić względem pozyskania dyspensy. Matka moja z wdzięcznością podziękowała twojej ciotce i napisała do ojca Santez, który znalazł sprawę tę nader ważną i zamiast odpowiedzi sam przybył do Burgos z pewnym radcą nuncjatury.

Ten ostatni przybrał zmyślane nazwisko z powodu tajemnicy jaką chciano osłonić całą tę sprawę. Postanowiono że Elwira przez sześć miesięcy zostanie w nowicyacie, po których gdy pokaże się że ominęła ją chęć do powołania zakonnego, będzie tylko mieszkała w klasztorze jako osoba wysokiego

stanu z przyzwoitym orszakiem, to jest z kobietami wraz z nią zamkniętymi, nadto że będzie miała osobny dom zewnątrz klasztoru, zbytkownie urządzony, osadzony służbą zupełnie tak jak gdyby go zamieszkiwała. Osobne pokoje przeznaczone były dla mojej matki, która wkrótce się do nich przeniosła, i dla kilku prawników zajmujących się szczegółami opieki. Ja tymczasem miałem udać się z nauczycielem do Rzymu, radca zaś niebawem miał wyjechać za nami. Ten ostatni jednak zamiar nie przyszedł do skutku, gdyż uznano mnie za młodym abym śmiał prosić o dyspensę, i dwa lata upłynęły za nim opuściłem Burgos.

Podczas tych dwóch lat, każdego dnia widywałem za klauzurą Elwirę, resztę zaś czasu obracałem na pisanie do niej listów lub czytanie romansów, z których po większej części czerpałem myśli do moich oświadczeń miłosnych. Elwira czytywała te same książki i w tymże duchu mi odpowiadała. W ogóle do całej tej korespondencji, nie wiele zużyliśmy naszych własnych myśli, ale nasze uczucia były prawdziwemi, albo raczej prawdziwie mówiąc, czuliśmy silny, wzajemny ku sobie pociąg. Krata dzieląca nas, podniecała naszą

miłość, krew wrzała w nas całym ogniem młodości tak, że mogę powiedzieć, iż oboje byliśmy na pół obłąkani.

Nadszedł czas do wyjazdu. Chwila pożegnania była okropną. Nie wyuczyliśmy się ani też udawali naszej boleści. Elwira zwłaszcza była w przerażającym stanie; lękano się o jej zdrowie. Ja z większą odwagą znosiłem moje cierpienia, które rozrywki podróży więcej jeszcze uśmierzały. Wiele także byłem winien mojemu mentorowi, który wcale nie zakrawał na pedanta wydobytego z pyłu szkolnego, ale przeciwnie był dawnym wojskowym i jakiś czas nawet przepędził na dworze Madrytu. Nazywał się Don Diego Santez i był blizkim krewnym Teatyna tegoż nazwiska. Człowiek ten, równie przenikliwy jak obeznany ze zwyczajami świata, starał się tysiącznemi sposoby sprowadzić mój umysł na drogę prawdy, ale usiłowania jego nie bar-mu się udawały. Przybyliśmy do Rzymu i natychmiast udaliśmy się do Signora Ricardi, wysokiego urzędnika, mającego znaczny wpływ, szczególnie zaś dobrze widzianego od OO. Jezuitów, którzy pod ówczas rej wodzili w Rzymie. Signor Ricardi, człowiek dumnej i wyniosłej postaci, z wielkim krzyżem

djamentowym na piersiach, przyjął nas dość uprzejmie i oznajmił że znał powód dla którego przyjechaliśmy do Rzymu, że sprawa nasza wymagała tajemnicy i że nie powinniśmy byli zbyt słaniać się po towarzystwach: «Wszelako, dodał, słusznie uczynicie często do mnie przychodząc. Zajęcie jakie wam będę okazywał zwróci powszechną na was uwagę, unikanie zaś rozrywek światowych pokaże skromność, której powszechny widok będzie mógł wiele wam pomódz. Ja tymczasem wybadam usposobienie umysłów ś. kollegium dla waszej sprawy.»

Poszliśmy za radą Ricardego. Z rana zwiedzałem starożytności Rzymu, wieczory zaś przepędzałem w willi, którą nasz opiekun posiadał niedaleko pałacu letniego Barberinich. Margrabina Baduli przyjmowała gości. Była to młoda wdowa która mieszkała u Ricardego nie mając bliższych krewnych. Tak przynajmniej ludzie mówili, prawdy bowiem nikt nie wiedział, gdyż Ricardi był rodem z Genui, mniemany zaś margrabia Baduli umarł w zagranicznej służbie.

Młoda wdowa posiadała wszelkie przymioty jakich potrzeba było do uprzyjemnienia domowego pożycia. Z ujmującą postacią,

łączyła grzeczność dla wszystkich, niewystępującą jednak z granic najściślejszej godności. Wszelako zdało mi się że spoglądała na mnie bardziej przyjaznym okiem niż na drugich i okazywała mi pewną przychyłność, która zdradzała się w szczegółach niepostrzegalnych dla reszty towarzystwa. Poznałem te tajemne spółczucia, jakimi wszystkie romanse są przepełnione, i żalowałem panią Baduli że zwracała swoje zapęły do człowieka który żadnym sposobem nie mógł jej odplacać wzajemnością. Pomimo to, chętnie wdawałem się w rozmowę z margrabiną i rozprawiałem z nią o ulubionym moim przedmiocie, to jest o miłości, o różnych sposobach kochania, o różnicy między uczuciem a namiętnością, między stałością a wiernością. Zgłębiając jednak ważne to zagadnienie z piękną Włoszką, nigdy myśl mi nie przyszła żebym mógł jakimkolwiek sposobem stać się niewiernym Elwirze. Listy moje do Burgos zawsze ten sam cechował zapęł.

Pewnego dnia udałem się do willi bez mego mentora. Niezastawszy Ricardego, zwróciłem kroki do ogrodu i zaszedłem do jaskini osłoniętej gęstemi drzewami jaśminu i akacyi. Zastalem tam margrabinę pogrążoną w głębo-

kiem dumaniu z którego wyrwał ją szelest jaki wchodząc sprawilem. Żywe zadziwienie, które za mojem wejściem wybiegło jej na lica, dało mi prawie do zrozumienia, że ja byłem jedynym przedmiotem jej marzeń. Ocknęła się jednak, posadziła mnie obok siebie i zaczęła zwykłem we Włoszech zapytaniem: *Lei a girato questa mattina?* Czy chodziłeś pan na przechadzkę tego poranku? » Odpowiedziałem że byłem na Corso, gdzie widziałem wiele pięknych kobiet, między którymi najpiękniejszą była margrabina Lepari.

« Nieznasz więc pan piękniejszej? » zapytała moja sąsiadka?

« Wybacz pani — odpowiedziałem — znam w Hiszpanji pewną młodą osobę daleko piękniejszą. »

Odpowiedź ta, musiała sprawić przykrość margrabinie. gdyż znowu utonęła w dumaniach, spuściła piękne oczy i wzrok pelen smutku utkwiała w ziemi. Dla rozerwania jej, zacząłem zwykłą rozmowę o uczuciach miłosnych, natenczas podniosła na mnie omdlewające spojrzenia i rzekła: « Doświadczyłeś pan kiedy tych uczuć które tak wybornie umiesz malować? »

« Bezwątpienia — zawołałem — stokroć

nawet żywszych, stokroć bardziej tkliwych i to właśnie dla osoby, o której nadzwyczajnej piękności pani wspominałem. »

Zaledwie domówilem tych słów gdy twarz margrabiny pokryła się śmiertelną bladością, padła na ziemię jak gdyby bez duszy. Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się widzieć kobiety w podobnym stanie i sam niewiedziałem co począć, szczęściem spostrzegłem dwie służące na drugim końcu ogrodu, pobiegłem więc i przysłałem je na ratunek ich pani.

Następnie wyszedłem z ogrodu, rozmyślając nad szczególnem mojem zdarzeniem, podziwiając nadewszystko potęgę miłości i jak jedna jej iskierka padając na serce, mogła stać się przyczyną nieopisanych męczarni. Żal mi było margrabiny, wyrzucałem sobie że stałem się powodem jej cierpień, wszelako nigdy sobie nie wyobrażałem abym mógł, tak dla Włoszki jako dla jakiegokolwiek innej kobiety w świecie, zapomnieć o Elwirze.

Nazajutrz, poszedłem do willi, ale mnie nie przyjęto. Pani Baduli była mocno cierpiącą; jakoż w Rzymie głośno mówiono o jej chorobie, lękano się nawet o jej życie, ja zaś znowu dręczyłem się myślą: że stałem się niewinną przyczyną jej nieszczęścia.

Piątego dnia po tym wypadku, ujrzałem wchodzącą do mnie młodą dziewczynę, osłoniętą mantylą, która jej całą twarz zakrywała. Nieznajoma rzekła mi tajemniczym głosem: « Signor forestiere, pewna umierająca kobieta pragnie koniecznie cię widzieć, pójdź za mną. » Domyśliłem się że chodziło o panią Baduli, nie śmiałem jednak opierać się życzeniom konającej. Powóz czekał na mnie na końcu ulicy, wsiaałem z osłoniętą dziewczyną i przybyliśmy do willi.

Tylnymi ścieżkami dostaliśmy się do ogrodu, weszliśmy do jakiejś ciemnej alei, z tamąd przez długi kurytarz i kilka równie ciemnych pokojów przybyliśmy do komnaty margrabiny. Pani Baduli podała mi śnieżną rękę, powiodła po mnie łzawemi oczyma i drżącym głosem przemówiła kilka słów, których z początku dosłyszeć nawet nie mogłem. Spojrzałem na nią. Jakże jej pięknie było z tą bladością. Wewnętrzne cierpienia konwulsyjne łamały jej rysy, na ustach jednak ulatywał anielski uśmiech. Ta sama kobieta, przed kilką dniami tak zdrowa i wesola, dziś chyliła się już do grobu. Ja więc byłem owym niegodziwym który podciął ten kwiat w samym rozkwicie, ja miałem wtrącić w prze-

paść tyle wdzięków — na tę myśl serce ścięło mi się lodem, niewypowiedziany żal mnie ogarnął, pomyślałem że może kilkoma wyrazami mogę jej życie ocalić, padłem więc przed nią na kolana i przycisnąłem jej rękę do moich ust. Margrabina pochyliła głowę na moją szyję, krucze pierścienie jej włosów rozsypały się po mojej twarzy, pędzony niepojętem uczuciem wyznałem że ją kocham. Sam nie wiem kiedy, zapomniałem o Elwirze, a chociaż myśl o niej czasami wracała do mego serca, z drugiej jednak strony nie mogłem pozwolić umrzeć margrabinie. W istocie, nie widziałem w życiu tak czarującej kobiety.

« Boże miłości — zawołała Włoszka — ten którego kochałam powraca mi życie. » Uszczęśliwiony nadzieją powrotu do zdrowia, już sam nie wiem co mówiłem, duma z wszechmocności moich uczuć ogarnęła całą moją istotę, jedno oświadczenia ściagały drugie, odpowiadałem nie pytany i pytałem nie czekając odpowiedzi. Margrabina widocznie odzyskiwała siły. Tak przepędziłem cztery godziny, gdy służąca przyszła nam dać znać że czas było się rozłączyć. Odeszłem do powozu przeprowadzony przez moją przewodniczkę, która rzuciła na mnie równie jak jej

pani, płomienne wejrzenia. Byłem przekonany że dobra dziewczyna tym sposobem wyrażała mi swoją wdzięczność, za przywrócenie zdrowia jej pani i uszczęśliwiony mojem powodzeniem, uściskałem ją z całego serca. W istocie wdzięczność młodej dziewczyny musiała być bez granic, gdyż oddała mi równie serdeczny uścisk.

Zaledwie jednak wsiałem do powozu, gdy myśl że zdradzam Elwirę zaczęła niewypowiedzianie mnie dręczyć. « Elwiro — zawołałem — moja luba Elwiro, zdradziłem cię!.. nie jestem ciebie godnym!.. Przeklętą niech będzie chwila w której dałem się namówić na powrócenie zdrowia margrabinie!.. » Tak wypowiedziałem wszystko co się zwykle mówi w podobnych wypadkach i wróciłem do domu z mocnem postanowieniem nie powracania więcej do margrabiny. —

Gdy gość nasz domawiał tych słów, cyganie przyszli po rozkazy do naczelnika, który poprosił dawnego przyjaciela aby raczył odłożyć na jutro dalszy ciąg opowiadania i sam odszedł.

The following is a list of the names of the persons
 who have been appointed to the various offices
 of the Board of Directors of the Bank of
 the City of New York, for the year ending
 on the 31st day of December, 1857.
 President, J. D. B. [Name]
 Vice Presidents, [Names]
 Directors, [Names]
 Cashier, [Name]
 [Additional names and titles follow in a similar pattern, though they are difficult to read due to the faintness of the text.]

DZIEŃ CZTERDZIESTY DRUGI.

Nazajutrz zebraliśmy się wszyscy do tej samej jaskini i margrabia widząc że z niecierpliwością pragnęliśmy dowiedzieć się o dalszym ciągu jego przygód, zaczął w te słowa:

DALSZY CIĄG HISTORYI MARGRABIEGO ROVELLAS.

— Mówilem wam już o wyrzutach jakie mnie dręczyły na myśl przeniewierzenia się Elwirze. Nie wątpiłem że służąca margrabiny, zjawi się nazajutrz aby mnie znowu zaprowadzić do swojej pani, ale przyrzekłem sobie jak najgorzej ją przyjąć. Wszelako z wielkiem mojem podziwieniem, Sylwja ani nazajutrz ani następnych dni wcale się nie pokazała. Nareszcie po ośmiu dniach, przyszła wystrojona, bardziej niżeli powabna jej postać tego potrzebowała. Dawno już spostrzegłem był, że służąca piękniejszą była od

pani. « Sylwio, — rzekłem — idź sobie odemnie, z twojej to przyczyny przeniwierzyłem się zachwycającej kobiecie którą kocham w Hiszpanji. Oszukałaś mnie. Myślałem że idę do konającej, tym czasem zawiodłaś mnie do kobiety która oddychała tylko miłością. Chociaż serce moje jest niewinnem, jednak sumiennie niemogę tego o samym sobie powiedzieć. » — « Mój młody cudzoziemcze — odrzekła Sylwja — uspokój się, jesteś niewinnym, nigdy w życiu nie spotkałam niewinniejszego od ciebie, ale nie myśl żebym chciała zaprowadzić cię do mojej pani, przed którą Ricardi w tej chwili podobne twoim powtarza przysięgi. » — « Ricardi? jej wuj? » zawolałem.

« Bynajmniej, Ricardi nie jest jej wujem, chodź ze mną, wszystko ci wytłumaczę. »

Zdjęty ciekawością poszedłem za Sylwją, wsiedliśmy do powozu, przybyliśmy do willi, weszli do ogrodu, poczem piękna posłanniczka zaprowadziła mnie do swego pokoju, prawdziwej izdebki garderobianej, zdobnej w słoiki z pomadą, grzebienie i tym podobne przybory do strojów. W głębi stało śnieżnobiałe łóżeczko, z pod którego wyglądała para pantofelków nader małego rozmiaru. Sylwja

zdjęła rękawiczki, mantylę i powiodła po mnie roztkliwionemi oczyma. «Wstrzymaj się, zawołałem, takim samym sposobem, pani twoja przed tygodniem zmusiła mnie do oświadczeń miłosnych.» — «Pani moja, odrzekła Sylwja, ucieka się do gwałtownych środków bez których ja potrafię się obejść.» To mówiąc otworzyła szafę, dobyła owoców, ciast, butelkę wina, postawiła to wszystko na stole, który przysunęła do sofy i rzekła: «Wybacz piękny Hiszpanie że nie mogę ofiarować ci krzesła, ale tego poranku zabrano mi ostatnie, służące zaś zwykle nie mają wielkiego zbytku w sprzętach. Siadaj zatem obok mnie i racz przyjąć to małe śniadanie, które z całego serca ci podaję.»

Nie mogłem odrzucić tak wdzięcznej ofiary, usiadłem więc obok Sylwji, zacząłem jeść owoce i pić wino, poczem prosiłem ją aby mi opowiedziała historią swej pani, co też uczyniła w tych słowach:

HISTORIA SIGNORA RICARDI I LAURY CERELLI
 POD NAZWISKIEM MARGRABINY BADULI.

Ricardi, najmłodszy syn znakomitej rodziny, popierany przez wuja swego który był

generalem Jezuitów, wczesnie wszedł do służby i niebawem pozyskał znaczny urząd. Ujmująca postać i fioletowe pończochy szczególnie w ówczas wywierały wrażenie na wszystkich kobietach rzymskich. Ricardi nie omieszkiał korzystać z swoich powabów, i postępując za przykładem swoich spółkollegów, tak dalece nadużył światowych uciech, że w trzydziestym roku życia wszystkie go znudziły i zapragnął nabycia udziału w sprawach kraju. Pomimo to nie wyrzekł się zupełnie kobiet, ale wołałby był wejść w trwalsze i spokojniejsze stosunki miłosne. Nie wiedział jednak jak sobie począć. Przez jakiś czas był cavaliere servente najpiękniejszych pań rzymskich, ale piękne panie zaczęły go dla młodszych zalotników opuszczać, wreszcie znudziły go już te ciągle nadskakiwania, zmuszające do nieustannych kręceń się i biegań. Inne kobiety także przedstawiały mu niewygodne strony, nie znając bowiem stosunków towarzystwa, nie można było wiedzieć o czem z nimi mówić.

Pośród tych niepewności, Ricardi powziął zamiar który przed nim i po nim nie jednemu już wpadł na myśl. Postanowił wynaleźć małą dziewczynkę, oddać ją na wychowanie

i tym sposobem nadać swemu życiu jakieś zajęcie. W istocie, cóż można było porównać z rozkoszą codziennego poglądania na młodą osobę w której wdzięki umysłu rozwijały się razem z powabami ciała. Jakież szczęście, pokazywać jej samemu, świat, towarzystwo, zachwycać się jej spostrzeżeniami, śledzić pierwszy wyblask uczucia, wpajać w nią swoje przekonania, jednym słowem utworzyć z niej że tak powiem zwierciadło odbijające wszystkie własne marzenia. Ale cóż później począć z taką kobietą? Wielu żeni się dla wydobycia się z kłopotu. Ricardi nie mógł tego uczynić. Śród tych chytrych zamiarów nie zaniebował chęci posunięcia się na wyższy stopień. Jeden z jego krewnych, audytor w świętem kollegium, spodziewał się czerwonego kapelusza i wtedy obiecał mu ustąpić swego miejsca. Trzeba było jednak cztery a może i pięć lat poczekać, Ricardi zatem osądził, że tymczasem mógł wyjechać do swojej ojczyzny a nawet podróżować.

Pewnego dnia gdy Ricardi przechadzał się po ulicach Genui, zaczęła go młoda dziewczyna z koszykiem pomarańcz i z szczególnym wdziękiem prosiła, aby raczył kilka od niej kupić. Ricardi, rozpustniczą dłonią,

odstłonił źle uczesane włosy spadające po obu stronach twarzy dziewczynki i odkrył rysy niezwyklej piękności. Zapytał małą przepięknie, czyli miała jeszcze rodziców? Odpowiedziała że miała tylko matkę, bardzo biedną, nazwiskiem Bastiana Cerelli. Ricardi kazał się do niej zaprowadzić, wymienił swoje nazwisko i oznajmił wdowie że miał daleką krewną nader miłosierną, która z upodobaniem oddawała się wychowaniu młodych dziewcząt i wyposazaniu ich, poczem dodał że postara się umieścić u niej małą Laurę.

Matka uśmiechnęła się i odpowiedziała: « Nieznam krewnej pańskiej która zapewne musi być ządną damą, wszelako słyszałam już o pana dobroczynności i z chęcią powierzę mu moją córkę. Niewiem czyli niebo zyska w niej jedną owieczkę, wszelako wydobędziesz ją pan z nędzy, która jest nieznóżniejszą od wszelkich występków. » Ricardi, chciał zawrzeć umowę, mocą której zobowiązywał się wyznaczyć dożywotnią pensyą matce, ale ta nie chciała nic przyjąć, mówiąc: że nie godziło się brać pieniędzy, że jednak później z wdzięcznością będzie oczekiwała wsparcia, gdyż przedewszystkiem

trzeba było żyć, głód zaś często jej zasnąć nie dawał.

Tegoż samego dnia Ricardi oddał Laurę na wychowanie jednemu z swoich klientów. Natychmiast wymyto jej ręce migdałową maścią, zawinięto włosy w pierścienie, na szyi zawieszono perły, ramiona obrzucono koronkami. Dziewczynka przejrzawszy się w zwierciadle nie mogła się poznać, od pierwszego jednak dnia domyśliła się przyszłości i śmiało postanowiła iść za przeznaczeniem.

Tymczasem Laura miała rówienniczki i rówienników, którzy nie wiedząc co się z nią stało, mocno się o nią niepokoiли. Najzawziętszym w odszukaniu jej był Czeko Bastone, czternastoletni dzielny chłopiec, syn wyrobnika, na zabój zakochany w małej przekupce pomarańcz, którą często widywał bądź na ulicy bądź też u nas w domu, był bowiem naszym krewnym. Mówię naszym, gdyż także nazywam się Cerelli i mam zaszczyt być stryjeczną siostrą mojej pani.

Tem więcej niepokoiłiśmy się o naszą kuzynkę, że nie tylko nigdy nam o niej nie wspomiano, ale nawet zakazano wymawiania jej nazwiska. Ja zwykle trudniłam się szyciem grubej bielizny, Czeko zaś biegał z posył-

kami po porcie, zanim podrósłszy mógł zajmować się przenoszeniem towarów. Skończywszy dzienną pracę, chodziłam do niego pod przysionek jednego kościoła i tam gorzkiemi łzami we dwoje, oplakiwaliśmy los biednej Laury. Pewnego wieczora Czeko rzekł do mnie: «Przychodzi mi wyborna myśl. Przez wszystkie te dni deszcz ulewny padał i pani Cerelli na krok nie wychodziła z domu, jak tylko jednak nastanie pogoda jestem przekonany że nie wytrzyma i jeżeli mała znajduje się w Genui, pójdzie ją odwiedzić. Wtedy zdaleka pobiegnę za nią i tak dowiemy się gdzie Laurę schowano.» Pochwaliłam ten zamiar. Nazajutrz wypogodziło się. Poszłam do pani Cerelli, spostrzegłam jak wyciągała ze starej szafy jeszcze starszą mantylę i czempredziej pośpieszyłam uprzedzić Czekę. Zaczailiśmy się i wkrótce ujrzelśmy wychodzącą panią Cerelli. Cichaczem postępowaliśmy za nią na drugi koniec miasta i widząc że wchodziła do jakiegoś domu, znowu skryliśmy się w sąsiedniej bramie. Po niejakiem czasie pani Cerelli wyszła i udała się do siebie. Wchodzimy do domu, wbiegamy na schody, skaczemy jedno przez drugie, otwieramy drzwi do przepysznego mie-

szkania i na środku pokoju spostrzegamy Laurę. Rzucam się jej na szyję, ale Czeko wyrывa mnie z jej objęć i zaczyna ją czule ścisnąć. W tej chwili otwarły się drzwi od przyległego pokoju i wszedł Ricardi. Na ten widok zapalił się gniewem, porwał kij i zaczął bić nas z całych sił; nie zadowolony tem zawołał jeszcze służących, którzy również uzbrojeni w kije wpadli i wybiwszy nas bez miłosierdzia, wypchnęli na ulicę i dostatecznie przekonali że powinniśmy zaprzestać dalszych poszukiwań naszej kuzynki. Czeko zaciągnął się jako chłopiec okrętowy na maltańskim okręcie i już więcej o nim nie słyszałam, ja zaś nie porzuciłam wcale chęci złączenia się z Laurą, ale przeciwnie poprzysięgłam dopiąć mego zamiaru. Służyłam w kilku domach, nareszcie dostałam się do margrabiego Ricardi, brata twego znajomego. Mówiono tam wiele o pani Baduli i nie pojmwano gdzie signor Ricardi wynalazł tę krewnę. Długo cała rodzina nie mogła wywieźć się o szczegółach, nareszcie, czego panowie nie potrafili, tego dokonała ciekawość służących. Zaczęliśmy z naszej strony czynić poszukiwania i niebawem odkryliśmy, że mniemana margrabina była tą samą Laurą Cerelli. Mar-

grabia przykazał nam dochowanie tajemnicy i posłał mnie do brata uprzedzając go, aby zachował wszelką ostrożność jeżeli nie chciał ściągnąć na siebie nader nieprzyjemnych skutków. Wszelako nie obiecałam ci rozpowiadać własnych przygód i nie powinnam mówić ci jeszcze o margrabinie Baduli, kiedy dotąd znasz tylko Laurę Cerelli umieszczoną na wychowaniu u klienta Signora Ricardi. Niedługo tam zabawiła, wkrótce przeniesiono ją do poblizkiego małego miasteczka, gdzie Ricardi często ją odwiedzał i zawsze powracał coraz więcej zadowolony z swego dzieła.

Po dwóch latach, Ricardi wyjechał do Londynu. Podróżował pod przybranem nazwiskiem i udawał się za kupca włoskiego. Laura mu towarzyszyła i uchodziła za jego żonę. Zawiózł ją do Paryża i do innych wielkich miast, gdzieby go nie tak łatwo można było poznać. Laura, z każdym dniem stawała się miłszą, ubóstwiała swego dobroczyńcę i czyniła go najszcześniejszym z ludzi. Tak przeminęło pięć lat z szybkością błyskawicy. Krewny Ricardego miał otrzymać kapeluszy i naglił go do jak najspieszniejszego powrotu do Rzymu. Ricardi zawiózł swoją lubą do włości które posiadał niedaleko Gorice. Na-

zajutrz po przybyciu, rzekł do niej: « Muszę pani oznajmić nowinę, jak sądzę dość zajmującą. Jesteś wdową po margrabi Baduli, który przed niedawnemi czasy umarł w służbie cesarskiej. Oto są papiery potwierdzające moje słowa. Baduli był naszym krewnym. Spodziewam się że nie odrzucisz pani moich próśb, że raczysz przyjechać do Rzymu i przyjąć schronienie w moim domu. » W kilka dni potem Ricardi wyjechał.

Nowa margrabina zostawiona swoim własnym myślom, zaczęła zastanawiać się nad charakterem Ricardego, nad swemi z nim stosunkami i nad dalszem i najkorzystniejszym dla siebie postępowaniem. Po upływie trzech miesięcy, mniemany wuj zawezwał ją do siebie, gdzie go znalazła jaśniejącego całym blaskiem nowego urzędu. Pewna część tego blasku spadła i na nią i zewsząd ciśnięto się do niej z hołdami. Ricardi, oznajmił rodzinie, że przyjął do siebie wdowę Baduli, krewną Ricardich po kądzieli. Margrabia Ricardi nigdy nie słyszał żeby Baduli był margrabią, nie słyszał także żeby Baduli był żonatym. Rozpoczął więc w tym względzie poszukiwania i wysłał mnie do nowej margrabiny, dla zalecenia jej jak największej ostrożności. Od-

byłam podróż morzem, wylądowałam w Civita Vecchia i udałam się do Rzymu. Stałam przed margrabiną, która wyprawiła służących i padła w moje objęcia. Zaczęłyśmy przypominać sobie nasze dziecinne lata, moją matkę, jej matkę, kasztany które jadałyśmy razem, niezapomniałyśmy też o małym Czeku; opowiedziałam, jak biedny chłopiec zaciągnął się na maltański okręt i przepadł gdzieś bez wieści. Laura rozczulona zalała się łzami, tak że zaledwie zdołałam ją uspokoić. Prosiła mnie abym nie dała poznać się Ricardemu, jak równie abym nie wspominała o mojem pochodzeniu z Genui, gdyby zaś signor zwrócił uwagę na moją wymowę, ażebym powiedziała że jestem Sabaudką. Następnie umieściła mnie przy sobie jako pannę służącą. Laura przez piętnaście dni ciągle była równie wesołą i rozmowną, wkrótce jednak stała się ponurą, zamyśloną i zniechęconą do wszystkiego. Ricardi nadaremnie usiłował podobać się wszelkimi sposobami, nie mógł jednak powrócić jej dawnej żywości. « Kochana Lauro — rzekł pewnego dnia — powiedz na czem ci tu zbywa? Porównaj twój terażniejszy stan z tym z jakiego cię wy dobyłem.»

« Któż cię prosił abyś mnie z niego wydo-

bywał? — odparła Laura z największą gwałtownością; — tak jest, żałuję teraz dawnej mojej nędzy. Cóż ja tu pocznę między temi wszystkimi damami z wielkiego świata? Wolalabym otwarte zniewagi od ich dwuznacznych grzeczności. Ach moje łachmany! jakże teraz płaczę za wami! Nie mogę bez łez pomyśleć o moim czarnym chlebie, moich kasztanach i o tobie drogi Czeko, który miałeś mnie zaślubić jak tylko wyrośniesz na wyrobnika. Z tobą byłabym doznała może nędzy ale nigdy trosk, zgryzot i nudy; księżniczki byłyby zazdrościły mego losu!» — «Lauro! Lauro! co znaczy ta mowa?» zawołał Ricardi.

«Są to wyrazy natury — odrzekła Laura — która stworzyła kobietę na córkę, żonę i matkę, nie zaś na to aby w pogardzie samej siebie wlokła dni pełne smutku i zgryzot.» To mówiąc wyszła do drugiego pokoju i drzwi za sobą na klucz zamknęła. Ricardi zmieszał się, przedstawił był panią Baduli jako swoją siostrzenicę i teraz drżał myśląc że nierozważna w chwili szalu może odkryć prawdę i zniszczyć jego widoki na przyszłość. Przytem kochał niegodziwą, był zazdrosnym, słowem nie wiedział jak wyrwać się zewsząd otaczającemu go nieszczęściu.

Nazajutrz Ricardi cały drżący wszedł do pokoju Laury i z najrozkoszniejszym zadziwieniem był jak najmilej przyjętym. «Przebacz mi drogi wuju — rzekła — kochany mój dobroczyńco, jestem niewdzięcznicą niezasługującą żyć na świecie. Jestem dziełem twoich rąk, ty wykształciłeś mój umysł, winnam ci wszystko, wybacz dziwactwu które bynajmniej nie pochodziło z serca.» Tak nastąpiła zgoda. W kilka dni potem, Laura rzekła do Ricardego: «Nie mogę być z tobą szczęśliwą. Zbyt jesteś panem w tym domu, wszystko tu do ciebie należy; jestem tu zupełnie twoją niewolnicą. Ten lord który przychodzi do ciebie, darował Biance Capuzzi najpiękniejszy majątek z księstwa Urbino. Oto jest prawdziwie szlachetny człowiek! ja zaś jestem pewną, że gdybym prosiła cię o tę małą baroniją w której przepędziłam trzy miesiące, bezwątpienia byś mi jej odmówił. Jednakowoż jest to zapis twego wuja Cambiasego i możesz nim według upodobania rozrządzać.» — «Chcesz mnie więc opuścić — rzekł Ricardi — kiedy tak pragniesz niezawisłego losu?» «Chcę cię więcej kochać,» odparła Laura. Ricardi nie wiedział czy dać czy odmówić, kochał się, był zazdrosnym, lękał się aby

Laura nie zdradziła jego tajemnicy; z drugiej jednak strony nie chciał uczynić się od niej zawisłym. Laura czytała w jego duszy i byłaby przyprowadziła go do ostateczności, ale Ricardi miał niezmierny wpływ w Rzymie i na jedno jego słowo, czterech zbirów byłoby schwyciło siostrzenicę i zawiozło na długą pokutę do jakiego klasztoru.

Ta uwaga wstrzymywała Laurę, aby jednak postawić na swoim, udawa niebezpiecznie chorą. Właśnie rozmyślała nad tym zamiarem gdy wszedłeś do jaskini. « Jaktó — zawołałem cały zdziwiony — nie o mnie więc dumiała? » — « Nie moje dziecko — rzekła Sylwja — dumiała o zyskowej baronji z dwoma tysiącami skudów rocznego dochodu. Nagle przyszła jej myśl jak najśpieszniejszego udania chorej, a nawet umierającej. Wprawiła się już, powtarzając po aktorkach które widziała w Londynie, i chciała przekonać się czyli potrafi cię omamić. Widzisz więc mój młody Hiszpanie, że wpadłeś w zastawioną siatkę, wszelako nie możesz się skarżyć ani też moja pani na koniec komedyi. Nigdy nie zapomnę jak byłeś pięknym, gdy cały omdlewający, wychodziłeś od Laury wspierając się na mojem ramieniu. Odtąd

czuję mój luby, że i ja kocham cię nad życie! —

Cóż mogę wam więcej powiedzieć? Wysłuchałem Sylwji, pomieszany, ogłuszony i nie pojmujący jak można było w jednej chwili rozwiać komu wszystkie złudzenia. Ale Sylwja była tak piękną, czarne jej oczy błyskały tak przenikliwym ogniem, śnieżne jej łono tak rozkosznie wznosiło się miotane gwałtownem uczuciem, że sam nie wiem jak przepędziłem resztę czasu; dość że gdy Sylwja odprowadzała mnie do powozu, nie mogłem wytłumaczyć sobie, czy należało dręczyć się nowemi wyrzutami, lub też wcale o nich nie myśleć. —

Gdy margrabia doszedł do tego miejsca swojej powieści, cygan mając ważne sprawy do załatwienia prosił go aby raczył dalszy ciąg odłożyć nazajutrz.

DZIEŃ CZTERDZIESTY TRZECI.

Zebrano się jak zazwyczaj i margrabia widząc wszystkich oczekujących w milczeniu, zaczął w te słowa:

DALSZY CIĄG HISTORYI MARGRABIEGO TORRES-ROVELLAS.

— Mówiłem wam jak przeniewierzywszy się dwa razy Elwirze, za pierwszym doznałem bolesnych wyrzutów sumienia, za drugim zaś niewiedziałem czyli znowu mam je sobie czynić lub też wcale o nich nie myśleć. Z resztą mogę wam zaręczyć, że zawsze jednakowo kochałem moją kuzynkę i równie płomienne pisywałem do niej listy. Mentor mój, pragnąc wyleczyć mnie z romansowości, pozwalał sobie czasami postępków które wychodziły nieco z zakresu jego powołania.

Udając jak gdyby o niczem nie wiedział często wystawiał mnie na pokusy, którym nigdy nie zdołałem się oprzeć; wszelako miłość moja dla Elwiry była zawsze jednakową i z niecierpliwością wyglądałem chwili udzielenia mi, przez kancellaryą apostolską, dyspensy na małżeństwo

Nareszcie pewnego dnia Ricardi kazał przywołać mnie i Santeza. Postawa jego była uroczystą, rozmarszczył jednak czoło i rzekł z łagodnym uśmiechem: « Sprawa wasza jest załatwioną, chociaż nie bez wielkich trudności. Wprawdzie dość łatwo udzielamy dyspensy dla innych krajów katolickich, ale inaczej rzecz się ma z Hiszpaniją, gdzie wiara jest czystsza i zasady jej ściślej zachowywane. Pomimo to jego świątobliwość zważając na liczne pobożne fundacye jakie rodzina Rovellas zaprowadziła w Ameryce, zważając nadto że błąd obojga dzieci był skutkiem nieszczęść rzeczonyj rodziny, nie zaś owocem rozpustnego wychowania, Jego świątobliwość, powtarzam, rozwiązała węzły pokrewieństwa jakie was między sobą łączyły. Będą one zarówno rozwiązane w niebie; jednakowoż, dla nie zachęcania tym przykładem młodzieży do wpadania w podobne błędy, i dla zadość

uczynienia świętym prawom pokuty, nakazanem wam jest nosić na szyi różaniec o stu ziarnach i przez trzy lata codziennie go odmawiać. Oprócz tego macie wystawić kościół dla Teatynów z Vera-Cruz. Teraz mam zaszczyt złożenia tobie mój młody przyjacielu jakoteż przysłej margrabinie, życzeń wszelkich pomyślności i szczęścia.» Możecie wyobrazić sobie moją radość, czempredziej pobiegłem po breve jego świątobliwości i we dwa dni potem wyjechaliśmy z Rzymu.

Pędziliśmy dzień i noc, wreszcie stanęliśmy w Burgos. Ujrzałem Elwirę, która przez ten czas jeszcze wypiękniała. Pozostawało nam tylko proszenie dworu o potwierdzenie naszego małżeństwa; ale Elwira była już panią swego majątku, nie zbywało nam więc na przyjaciółach. Otrzymaliśmy upragnione potwierdzenie, do którego dwór dołączył dla mnie tytuł margrabiego Torres-Ravellas. Odtąd zajęto się wyłącznie sukniami, strojami, klejnotami i wszystkimi kłopotami, tak rozkosznymi dla młodej dziewczyny mającej zostać małżonką. Tkliwa jednak Elwira mało zwracała uwagi na te przygotowania i zajmowała się tylko szczęściem swego narzeczonego. Nadeszła wreszcie chwila naszego

związku. Dzień wydawał mi się nieznośnie długim, obrzęd albowiem miał odbyć się dopiero wieczorem w kaplicy letniego domu, który posiadaliśmy niedaleko od Burgos.

Przechadzałem się po ogrodzie dla zagłuszenia trawiącej mnie niespokojności, następnie usiadłem na ławce i zacząłem zastanawiać się nad mojem postępowaniem, tak mało godnem tego anioła z którym wkrótce miałem na wieki się połączyć. Przypominając sobie wszystkie popełnione przemieszczenia, naliczyłem aż do dwunastu. Natenczas zgryzoty znowu owładnęły moją duszą i gorzko sam na siebie wyrzekając, rzekłem: «Nieszczęśliwy niewdzięczniku, pomyślałeś o skarbie jaki ci przeznaczono? o tej boskiej istocie która wzdycha i oddycha tylko dla ciebie, która kocha cię nad życie i zapewne do kogo innego słowa nawet nie przemówiła.» Podczas tego gwałtownego monologu, usłyszałem jak dwie garderobiane Elwiry usiadły na ławce przypartej do przeciwnej strony altany w której siedziałem, i zaczęły między sobą zwawą rozmowę. Pierwsze zaraz słowa zwróciły całą moją uwagę. «Cóż więc Manuelo — rzekła jedna z dziewczyn — nasza pani musi bardzo cieszyć się że będzie mogła

kochać na prawdę i dać prawdziwe dowody miłości, zamiast tych drobiazgowych oznak przychylności jakie tak hojnie rozdawała zalotnikom u kraty? » — « Mówisz zapewne — odrzekła druga — o tym nauczycielu gitary, który całował ją ukradkiem w rękę, udając że uczy ją jak przerabiać palcami po strunach. » — « Wcale nie — odpowiedziała pierwsza — mówię tu o tuzinie miłostek, wprawdzie niewinnych, ale któremi nasza pani bawiła się i swoim sposobem do nich zachęcała. Naprzód, mały akademik, nauczyciel geografji — o! ten kochał się szalenie, dała mu też za to pęk włosów tak że nie wiedziałam jak jej warkocz ułożyć gdy przyszłam ją czesać. Później ten wygadany intendent, który zawsze mówił o stanie jej majątków i zawiadamiał ją o szczegółach zarządu. Ten nie darmo tak się przysiadywał, osypywał naszą panią pochwałami i upajał pochlebstwy. Dała mu też za to swój portret rysowany na cieńcu, kilka razy przez kratę, rękę do pocałowania, a co kwiatów i bukietów nawzajem sobie posyłali? » Nie przypominam sobie w tej chwili dalszej rozmowy, ale mogę was zapewnić że do tuzina ani jeden nie zabrakł. Rozpacz mnie ogarnęła. Doznałem był od

Elwiry oznak miłości nader niewinnych, mogę nawet powiedzieć dziecinnych igraszek, ale Elwira jaką sobie wyobrażałem, nie powinna była pozwolić sobie nawet pozoru przeniewierzenia. Teraz wyznaję że rozumowanie moje było całe niedorzecznem. Elwira od pierwszych lat życia jąkała, później mówiła tylko o miłości. Należało mi zatem zrozumieć, że zamilowana w rozmowie o tym przedmiocie, nie tylko ze mną będzie o nim rozmawiała. Nigdy nie byłbym uwierzył temu postępowaniu, ale przekonany własnymi uszami pograżyłem się w smutku i rozpacz.

Wtem dano mi znać że wszystko już było gotowem. Wszedłem do kaplicy z twarzą bladą, niespokojną, która zdziwiła moją matkę i przeraziła moją narzeczoną. Sam ksiądz zmieszał się i nie wiedział czyli ma nas pobłogosławić. Wszelako pozenił nas i mogę wam śmiało wyznać, że nigdy gorąco oczekiwany dzień tak źle nie odpowiedział powziętym o nim nadziejom.

Widok jednak czarującej Elwiry, powoli rozproszył chmurę trosk jaka osiadła mi na czole. Moja młoda żona była tak piękną, tak ujmującym wzrokiem na mnie poglądała, że wkrótce zapomniałem o niedawnych moich

udręczeniach i całą duszą oddałem się nowemu dla mnie szczęściu.

Nazajutrz, oboje byliśmy weseli, ja zwłaszcza nieprzypuszczałem do serca najłżejszego cienia zmartwienia. Ludzie którzy przeżyli się w świecie, wiedzą że nie ma szczęśliwszych chwil nad te, które przynosi nam młoda, kochająca małżonka. Co do mnie, dziś jeszcze za powrót dni takich, z rozkoszą oddałbym i sławę i zaszczyty i dostatki. Ale człowiek raz tylko w życiu jest młodym.

Przyjaciele nasi przez jakiś czas zostawili nas samym sobie, po pierwszych jednak chwilach uniesienia powrócili, starając się rozbudzić w nas chęć dostąpienia zaszczytów.

Hrabia Rovellas spodziewał się był niegdyś otrzymać tytuł gródkarza, my więc, według zdania naszych przyjaciół, powinniśmy byli przyprować jego zamiar do skutku. Nie tyle dla nas samych winniśmy byli to uczynić, jak raczej dla dzieci któremi niebo miało nas w przyszłości obdarzyć. Mogliśmy później tego żałować, a zawsze lepiej jest zawczasu oszczędzić sobie wyrzutów. Byliśmy w wieku w którym ludzie zwykli postępować za radami otaczających, pozwoliliśmy więc zawieść się do Madrytu.

Wice-król dowiedziawszy się o naszych zamysłach, napisał za nami list pełen najusilniejszych poleceń. Z początku pozory zdawały się nam sprzyjać, ale były to tylko pozory, które niebawem przybrały na się zwodnicze kształty dworskie i nigdy nie urczywiściły.

Zawiedzione nasze nadzieje martwiły przyjaciół naszego domu i na nieszczęście moją matkę, która byłaby wszystko oddała na świecie, aby tylko ujrzeć swego małego Lonzeta grandem hiszpańskim. Wkrótce biedna kobieta wpadła w trawiącą gorączkę i poznała że nie wiele już pozostawało jej do życia. Natenczas pomyślawszy naprzód o zbawieniu duszy, przedewszystkiem pragnęła zostawić dowody wdzięczności uczciwym mieszkańcom miasteczka Villaca, którzy tak nas kochali gdy byliśmy w biedzie. Zwłaszcza rada była coś uczynić dla alkada, proboszcza. Matka moja nic nie miała swego, ale Elwira z chęcią postanowiła dopomódz jej w tak szlachetnych celach i posłała im dary przewyższające chęci mojej matki.

Dawni nasi przyjaciele, dowiedziawszy się o szczęściu jakie ich spotkało, przybyli do Madrytu i otoczyli łożę swej dobrodziejki.

Matka moja porzuciła nas szczęśliwych, bogatych i jeszcze kochających się nawzajem. Ostatnie jej chwile były pełne słodyczy. Spokojnie zasnęła snem wiecznym i w tem jeszcze życiu odebrała pewną część nagród, na jakie zasługiwała przez swoje cnoty a zwłaszcza niewypowiedzianą dobroć.

Niedługo potem spadły na nas nieszczęścia. Dwóch synów, jakimi Elwira mnie obdarzyła, po krótkiej chorobie, zeszło z tego świata. Wtedy tytuł granda przestał już nas nęcić, zaprzestaliśmy dalszych zabiegów i postanowiliśmy udać się do Meksyku, gdzie stan naszych interesów wymagał naszej obecności. Zdrowie margrabin było znacznie nadwężonem i lekarze utrzymywali, że podróż morską może ją do sił powrócić. Wybraliśmy się więc w drogę i po dziesięcioletniej podróży zegludze która w istocie wywarła nader zba wienny wpływ na zdrowie margrabin, wylądowaliśmy w Vera-Cruz. Elwira przybyła do Ameryki nie tylko zupełnie zdrową, ale piękniejszą niż kiedykolwiek.

Zastaliśmy w Vera-Cruz jednego z pierwszych oficerów wice-króla, wyslanego na powitanie nas i przeprowadzenie do Meksyku. Człowiek ten, wiele opowiadał nam o wspa-

niałości hrabiego Penna-Velez i o miłosnych obyczajach jakie panowały na jego dworze. Wiedzieliśmy już o niektórych szczegółach przez stosunki z Ameryką. Zaspokoiwszy zupełnie dumę, wice-król rozniecił w sobie gwałtowną skłonność do kobiet i nie mogąc być szczęśliwym w małżeństwie, szukał pociechy w ujmującym i grzecznem obejściu z kobietami, jakim przed laty odznaczało się towarzystwo hiszpańskie.

Nie długo bawiliśmy w Vera-Cruz i odbyliśmy podróż do Meksyku z wszelkimi wygodami. Jak wiecie, stolica ta leży pośród jeziora, noc już była zapadła gdy przybyliśmy na brzeg. Wkrótce spostrzegliśmy ze sto łodzi ozdobionych kagańcami. Najwspanialsza, wysunęła się naprzód, przybiła do lądu i ujrzeliśmy wychodzącego z niej wice-króla który zwracając się do mojej żony, rzekł: «Córko nieporównana kobiety, której nie przestałem dotąd uwielbiać, sądziłem że niebo wyrwało cię mojemu sercu, ale Bóg litościwy raczył zostawić światu najpiękniejszą jego ozdobę, za co składam mu dzięki. Pójdź piękna Elwiro zdobić nasze krainy które odtąd nie będą miały czego zazdrościć dumnej Europie.» Wice-król uczynił uwagę, że Elwira

tak dalece się zmieniła że nigdy nie byłby jej poznał, « Wszelako — dodał — pamiętam cię daleko młodszą i nie powinnaś się dziwić, że krótkowzroki śmiertelnik w róży nie poznaje pączka. » Następnie uczynił mi zaszczyt uściskania mnie i wprowadził nas oboje do swojej gondoli.

Po półgodzinnej żegludze, przybiliśmy do pływającej wyspy, która za pomocą sztucznego wymysłu, przedstawiała widok prawdziwego ostrowu okrytego pomarańczowemi drzewami i mnóstwem innych krzewów. Wyspę tę można było popychać na różne strony jeziora i tak cieszyć się coraz nowym widokiem. W Meksyku, często dają się widzieć podobnego rodzaju budowy, nazwane *szinampas*. Pośród wyspy stał okrągły budynek rześisto oświecony i brzmiący z daleka huczną muzyką. Wkrótce spostrzegliśmy za kagańcami pozawieszane cyfry Elwiry. Zbliżając się do brzegu, ujrzelśmy dwie czerechy mężczyzn i kobiet odzianych w przepyszne ale dziwaczne stroje, na których żywe barwy rozmaitych piór, walczyły o blask z najdroższemi klejnotami. « Pani, — rzekł wice-król — jedno z tych gron, składają sami Meksykanie. Ta piękna kobieta na czele, jestto

margrabina Montezuma, ostatnia tego wielkiego nazwiska, które nosili niegdyś władcy tego kraju. Polityka gabinetu madryckiego, zabrania jej uwiecznić te prawa, które wielu Meksykanów dotąd uważa za prawowite, natomiast jest ona królową naszych rozrywek, jedyny to hołd jaki wolno jej składać. Mężczyźni drugiego grona mienią się Jukasami peruwiańskimi, którzy dowiedziawszy się że córka słońca wylądowała w Meksyku, przychodzą palić jej ofiary.» Podczas gdy wicekról osypywał moją żonę podobnemi grzecznościami, bacznie w nią się wpatrywałem i zdało mi się że spostrzegł w jej oczach jakiś niepojęty blask, wyblęsy z iskry miłości własnej, która od siedmiu lat naszego życia nie miała dotąd czasu się rozżarzyć. W istocie, pomimo całych naszych bogactw niemogliśmy nigdy postawić się na czele towarzystwa madryckiego. Elwira zajęta moją matką, dziećmi, zdrowiem, nie miała sposobności błyszczenia, podróż jednakże, razem ze zdrowiem powróciła jej dawną piękność. Umieszczona na pierwszym szczeblu nowego społeczeństwa, zdało mi się że objawiła skłonność do nabrania wymarzonych pojęć i zwrócenia na siebie powszechnej uwagi.

Wice-król mianował Elwirę królową Peruwianów, poczem rzekł do mnie: « Jesteś zapewne pierwszym poddanym córki słońca, ale ponieważ wszyscy dziś przebraliśmy się, raczysz przeto aż do końca balu poddać się prawom drugiej władczyni » To mówiąc, przedstawił mnie margrabinie Montezuma i złożył moją rękę w jej dłoni. Weszliśmy w zgiełk balu, obie czerechy zaczęły tańcować i wzajemne ich spółzawodnictwo ożywiło uroczystość.

Postanowiono przedłużyć maskaradę aż do końca pory roku, zostałem więc poddanym dziedziczki Meksyku, podczas gdy moja żona władała swoimi z ujmującym wdziękiem który zwrócił na siebie moją uwagę. Muszę jednak opisać wam córkę kacyków, czyli raczej dać wam niejaki pojęcie o jej powierzchowności, gdyż nie byłbym w stanie słowami oddać ten dziki wdzięk i te bystre wrażenia, w jakich namiętna jej dusza co chwila przebijala się na jej twarzy.

Tuskula Montezuma, urodziła się w górzystej okolicy Meksyku i nie miała wcale płci oliwkowej, jaką odznaczają się mieszkańcy nizin. Przezroczytą jej cerę, podwyższał blask czarnych oczu nieporównanej piękności.

Rysy jej, mniej wydatne jak u Europejczyków, nie były splecione jak to widzimy u szczepu amerykańskiego. Tuskula przypominała go tylko ustami nieco pełnymi ale zachwycającymi, ile razy przelotny uśmiech na nich wykwitał. Co do jej kibici, nic wam nie mogę powiedzieć, zdają się całkiem na waszą wyobraźnię albo raczej na marzenia malarzy chcących odmalować Dianę lub Atalantę. Wszystkie jej ruchy miały w sobie coś szczególnego, mimowolnie przebijał się w nich gwałtowny poryw namiętności, hamowany silną wolą. Spokojność nie wydawała się w niej spoczynkiem i odkrywała ciągle wewnętrzne wzruszenie

Krew Montezumów zbyt często przypominała Tuskuli że była urodzoną do panowania nad szeroką częścią świata. Zbliżywszy się do niej, spostrzegano naprzód dumną postawę obrażonej królowej; ale zaledwie otworzyła usta, wnet słodkie spojrzenie zachwycało tego, którego odpowiedź jej wkrótce miała oczarować. Gdy wchodziła w podwoje wice-króla, zdawało się że z oburzeniem spoglądała na równych sobie, ale niebawem wszyscy widzieli że nie miała sobie równej. Serca pochopne do uczuć poznawały w niej władczy-

nią, tłum się około niej cisnął. Tuskula w istocie była królową i przyjmowała hołdy jako z prawa jej należące.

Pierwszego zaraz wieczoru, uderzył mnie ten wyniosły jej sposób myślenia. Chciałem powiedzieć jej jakąś grzeczność, stosowną do charakteru jej przebrania i do godności pierwszego poddanego jaką mnie wice-król zaszczycił, ale Tuskula bardzo źle przyjęła moje oświadczenia i rzekła: « Korona balowa może tylko tym się podobać, których urodzenie nie powoływało do tronu.» To mówiąc rzuciła wzrok na moją żonę. Elwirę w tej chwili otaczali Peruwianie i służyli jej na klęczkach. Duma i radość wprawiały ją w zachwycenie; zawstydzilem się za nią i tego samego wieczoru mówiłem z nią w tym względzie. Zimno przyjęła moje uwagi i z obojętnością odpowiadała na moje oświadczenia miłosne. Miłość własna weszła do jej duszy i zastąpiła miejsce prawdziwego kochania.

Upojenie jakie sprawia kadzidło pochlebstwa, z trudnością da się rozproszyć, z Elwirą zaś sprawa była niepodobną do dokonania. Cały Meksyk rozdzielił się na wielbicielów jej doskonałej piękności i nieporównanych wdzięków Tuskuli. Dni Elwiry,

mijały w napawaniu się powodzeniami dnia wczorajszego i cieszenia się nadzieją dni następnych. Z zamkniętymi oczyma leciała w przepaść rozrywek wszelkiego rodzaju, chciałem ją zatrzymać ale nadaremnie; ja sam czułem się popychanym ale w przeciwnym kierunku i daleko od kwiecistych ścieżek, po jakich przelatywała moja małżonka.

Miałem w ówczas nie zupełnie trzydzieści lat. Byłem w wieku w którym uczucia mają całą świeżość młodzieńczą, namiętności zaś są w pełnym rozkwicie siły męskiej. Miłość moja zrodzona przy kolebce Elwiry, na chwilę nie wyszła z dziecinnych lat, umysł zaś jej, karmiony szaleństwami romansowemi, nigdy nie miał czasu dojrzeć. Mój rozum, nie o wiele ją wyprzedzał, wszelako tyłem już był postąpił że z łatwością mogłem widzieć, jak pojęcia Elwiry obracały się na drobnostkach, małych próżnościach, czasami nawet małych obmowach, słowem, tym ciasnym widokregu w którym częściej charakter niż rozum wstrzymuje kobietę. Wyjątki w tym rodzaju są rzadkie, mniemałem nawet że wcale ich nie ma; ale jakże inaczej przekonałem się poznawszy Tuskołę. Żadna zazdrość, żadne spółzawodnictwo nie znalazły przy-

stępu do jej serca. Cała jej pleć miała równe prawa do jej przychylności i ta która najwięcej przynosiła jej zaszczytu pięknoscia, wdziękami, lub uczuciami, najsilniejsze w niej obudzała zajęcie. Radaby była widzieć wszystkie kobiety obok siebie, zasłużyć na ich zaufanie i pozyskać przyjaźń. O mężczyznach mówiła rzadko i to z wielką powściągliwością, chyba że szło o pochwałę jakiego szlachetnego uczynku. Wtedy wyrażała swoje podziwienienie szczerze i z zapalem. Z resztą najwięcej rozmawiała o przedmiotach ogólnych i wtedy tylko ożywiała się, gdy mówiła o pomyślności Meksyku i zapewnieniu szczęścia jego mieszkańcom. Był to ulubiony jej przedmiot, do którego wracała ile razy zdarzała się po temu sposobność.

Wielu ludzi zapewne gwiazda ich, a raczej sposób myślenia, przeznacza na pędzenie życia pod prawami tej płci, która musi rozkazywać kiedy nie może być posłuszną. Bez wątpienia, ja do tych ludzi należę. Byłem pokornym wielbicielem Elwiry, następnie uległym jej małżonkiem, ale sama zwolniła moje więzy małocennością jaką zdawała się do nich przywiązywać.

Bale i maskarady jedne po drugich nastę-

powaly i prąd towarzystwa, że tak powiem, przywiązał mnie do osoby Tuskuli. Wprawdzie serce więcej mnie przywiązywało i pierwszą zmianą jaką w sobie spostrzegłem, był polot mojej myśli i wzniesienie ducha. Sposób mego myślenia nabrał więcej siły, wola dzielności. Czulem potrzebę urzeczywistnienia moich uczuć w czynie, i pozyskania wpływu na przeznaczenie moich bliźnich.

Prosiłem i otrzymałem posadę. Urząd mi powierzony podawał kilka prowincyi pod mój zarząd, spostrzegłem krajowców gnębionych przez lud zwycięzki i stanąłem w ich obronie. Powstali przeciw mnie potężni nieprzyjaciele, padłem w niełaskę ministryum, dwór zaczął mi zagrażać, postawiłem dzielny opór, Meksykanie mnie kochali, Hiszpanie szanowali, co mnie jednak najwięcej uszczęśliwiał, było zajęcie jakie wzbudziłem w sercu ukochanej kobiety. Wprawdzie Tuskula postępowała ze mną zawsze z tą samą, a może nawet większą powściągliwością, ale wzrok jej szukał mego, spoczywał na nim z upodobaniem i odwracał się z niespokojnością. Mało do mnie mówiła, nie wspominała o tem co czyniłem dla Amerykanów, ale ile razy

zwracała mowę, głos jej drżał, wyrazy tamowały się w piersiach, tak że najobojętniejsza rozmowa mimowolnie sprawiała mi wrażenie powstającej zażyłości. Tuskula sądziła że znalazła we mnie duszę podobną do swojej. Myliła się, jej to własna dusza przelała się w moją, dodawała mi natchnienia i prowadziła na drodze czynów. Mnie samego ogarnęły złudzenia o sile mego charakteru. Marzenia moje stały się rozmyślaniami, pojęcia o szczęściu Ameryki przybrały kształt szalonych zamiarów, rozrywki nawet stroiły się w barwę bohaterstwa. Ścigałem w lasach, jaguary i pumy i sam godziłem na te dzikie zwierzęta. Najczęściej jednak zapuszczałem się w dalekie wąwozy pośród samotnych odgłosów, jedynych powierników miłości z którą nie śmiałem się zwierzyć tajemnie uwielbianej kobiecie.

Tuskula odgadła mnie, ja także sądziłem że zablęśł mi promyk nadziei i mogliśmy łatwo zdradzić się przed oczyma przenikliwego ogółu. Na szczęście uniknęliśmy powszechnej uwagi. Wice-król miał ważne sprawy do załatwienia, które przecięły pasmo uroczystości jakim on sam i za nim cały Meksyk zapamiętale się oddawał. Każdy naówczas, przyjął

tryb życia mniej rozerwany. Tuskula oddaliła się do domu który posiadała na północ jeziora Tezenu. Z początku zacząłem dość często ją odwiedzać, nareszcie przychodziłem co dzień. Nie mogę wytłumaczyć wam zobopólnego naszego obojścia. Z mojej strony była to cześć posunięta prawie do fanatyzmu, z jej zaś święty ogień którego płomień żywiła w zadumce i milczeniu.

Wyznanie wzajemnych uczuć ulatywało nam na ustach, ale nie śmieliśmy go wymówić. Stan ten był czarującym, poiliśmy się jego rozkoszą i lękaliśmy się w czemkolwiek go zmienić. —

Gdy margrabia doszedł do tego miejsca, odwołano cygana dla spraw jego hordy i musieliśmy do następnego dnia odłożyć zaspokojenie naszej ciekawości.

DZIEŃ CZTERDZIESTY CZWARTY.

Zebraliśmy się wszyscy w milczeniu i margrabia zasiadłszy, tak zaczął mówić:

DALSZY CIĄG HISTORJI MARGRABIEGO TORRES-ROVELLAS.

— Mówilem wam o mojej miłości do zachwycającej Tuskuli, odmalowałem wam jej postać i duszę, dalszy ciąg mojej historyi najlepiej da ją wam poznać.

Tuskula była przekonaną o prawdach naszej świętej wiary, ale zarazem miała głębokie poszanowanie dla pamięci swych ojców i w tak pomieszanym sposobie widzenia rzeczy, ułożyła sobie osobny raj który nie był w niebie, ale w jakiejś pośredniej krainie. Podzielala nawet do pewnego punktu zabobony swoich rodaków, wierzyła że znakomite cienie królów jej pokolenia, wśród ciemnych nocy schodziły na ziemię i odwiedzały dawny

omentarz położony w górach. Tuskula, za nie w świecie nie byłaby tam poszła w nocy. Czasami jednak chodziliśmy tam w dzień i długie spędzaliśmy godziny. Tłumaczyła mi hieroglify wyryte na grobowcach jej przodków i objaśniała je podaniami, w których była nader biegłą.

Znaliśmy już większą część napisów i postępując dalej w naszych poszukiwaniach, wynajdowaliśmy nowe które oczyszczaliśmy z mchu i cierniów je pokrywających. Pewnego dnia Tuskula pokazała mi krzak akantowy i rzekła, że miał on tu swoje znaczenie, gdyż ten który go posadził, powziął wprzódwy zamiar sprowadzenia zemsty niebios na cienie nieprzyjaciół i że dobrze uczynię wytępiając tę złowrogą roślinę. Wziąłem siekierę z rąk idącego za nami Meksykanina i wyciąłem nieszczęsny krzak. Wtedy, spostrzegliśmy kamień pokryty hieroglifami jakich dotąd nigdy jeszcze nie widzieliśmy. « Napis ten — rzekła Tuskula — położonym został już po zajęciu naszego kraju, Meksykanie naówczas mieszały hieroglify z niektórymi głoskami alfabetu jakie przejęli byli od Hiszpanów. Napisy owoczesne łatwiejsze są do czytania. » W istocie zaczęła czytać, ale za każdym wyrazem, coraz

większa boleść malowała się w jej rysach, nareszcie padła bez zmysłów na głaz który przez dwa wieki ukrywał powód jej nagłego przerażenia.

Przeniesiono Tuskulę do domu, odzyskała nieco przytomność ale nie mogła związać dwóch myśli razem i ciągle gadała od rzeczy. Powróciłem do domu w najgwałtowniejszej rozpaczce i nazajutrz otrzymałem list następującej treści:

« Alonzo, ażeby napisać te kilka słów musiałam zebrać wszystkie siły i myśli moje. « Pismo to wręczy ci stary Xoaz, dawny mój nauczyciel mowy ojców moich. Zaprowadź go do kamienia który wczoraj wynaleźliśmy « i prosz aby ci wytłumaczył napis. Wzrok « mój miesza się, gęsta mgła pokrywa moje « oczy. Alonzo, straszliwe widziadła snują « się pomiędzy nami — Alonzo — już cię « więcej nie widzę. »

Xoaz ten był jednym z teoxychów, czyli że pochodził z dawnych kapłanów. Zaprowadziłem go na cmentarz i pokazałem nieszczęsny kamień. Przepisał hieroglify i zaniósł je do siebie. Poszedłem do Tuskuli, ale maligna jej nie odstępowała, spojrziała na mnie błędnymi oczyma i nie mogła mnie poznać. Nad

wieczorem, gorączka nieco zwolniła, wszelako lekarz prosił mnie abym do niej nie chodził.

Nazajutrz, Xoaz przyniósł mi tłumaczenie meksykańskiego napisu w następujących słowach:

« Ja, Koatril, syn Montezumy, złożyłem
 « tu ciało nikczemnej Aksyny, która poświę-
 « ciła serce i ojczyznę niegodziwemu Korte-
 « zowi naczelnikowi rozbójników morskich.
 « Duchy moich przodków które zstępujecie tu
 « wśród ciemnych nocy, duchy które przyzy-
 « wam rękami sposoczonemi krwią ofiar ludz-
 « kich, duchy moich przodków, przywróćcie
 « na chwilę te zwłoki do życia, zadajcie im
 « najstraszliwsze męczarnie konania. Duchy
 « moich przodków, wysłuchajcie mego głosu,
 « wysłuchajcie moich przekleństw. Spójrzycie
 « na moje dłonie dymiące jeszcze krwią ofiar
 « ludzkich!

« Ja Koatril, syn Mentezumy, jestem ojcem,
 « córki moje błądzą po lodowiskach dalekich
 « gór. Piękność jest dziedzicznym przymio-
 « tem zacnego ich rodu. Duchy moich przod-
 « ków, jeżeli kiedykolwiek córka Koatрила lub
 « córka jego córki albo jego syna, jeżeli
 « kiedykolwiek która kobieta z mego rodu,

« odda serce i wdzięki zdrażliwemu zdoby-
 « wcy, jeżeli między kobietami z mojej krwi
 « znajdzie się druga Aksyna, duchy moich
 « przodków zstępujące tu wśród ciemnych nocy,
 « ukarście ją najstraszliwszemi męczarniami.
 « Zstąpcie wśród ciemnej nocy pod postacią
 « płomiennych zmij, poszarpcie jej ciało, roz-
 « wlecście po całej ziemi i wtedy niech ka-
 « żda cząstka doznaje osobno boleści śmier-
 « telnego konania. Zstąpcie wśród ciemnej nocy
 « pod postacią sępów z żelaznemi dzioby
 « rozżarzonemi w ogniu, podrzyjcie jej ciało,
 « rozproście je w powietrznem przestworzu,
 « i wtedy niech każda cząstka osobno doznaje
 « boleści śmiertelnego konania. Duchy moich
 « przodków, jeżeli nie wypełnicie żądania,
 « wzywam przeciw wam potęgi bogów któ-
 « rych nie przestają napawać krwią z ofiar
 « ludzkich. Oby wam wtedy zadali podobne
 « męczarnie!. Wyrylem to przekleństwo, ja
 « Koatril, syn Montezumy i posadziłem na
 « grobie krzak Meskusxaltry. »

Mało brakowało aby napis ten nie czynił na mnie podobnego wrażenia jakie sprawił na Tuskuli. Chciałem przekonać Xoaza o niedorzeczności zabobonów meykańskich, ale wkrótce spostrzegłem że nienależało zaczę-

piąć go z tej strony. Starzec pokazał mi inny sposób jakim mogłem wnieść pociechę do duszy mojej kochanki. « Nie ma wątpliwości — rzekł do mnie — że duchy królów zstępują na ten cmentarz i że posiadają władzę zadawania męczarni tak żywym jako i umarłym, zwłaszcza jeżeli kto ich zawezwie za pomocą zaklęć podobnych do tych jakie Señor widziałeś wyryte na kamieniu. Są przecież okoliczności mogące osłabić te straszliwe skutki. Naprzód, wyciąłeś Señor złowrogi krzew zasadzony na tym nieszczęsnym grobie, następnie, cóż Señor masz wspólnego z dzikimi towarzyszami Korteza? Opiekuj się dalej meksykańami i bądź przekonany że mamy środki na uspokojenie duchów a nawet straszliwych bogów czczonych niegdyś w Meksyku, których wasi kapłani nazywają szatanami. »

Poradziłem Xaozowi aby tak otwarcie nie wynurzał swoich zdań religijnych, w duchu zaś postanowiłem korzystać z wszelkich sposobności wyświadczenia przysługi krajowcom. Niebawem takowe mi się nastęrczyły. Wybuchło powstanie w prowincjach zdobytych przez wice-króla. Wprawdzie był to tylko słuszny opór przeciw uciskom, sprzeciwiającym się nawet zamiarom dworu; ale niaubła-

gany wice-król bynajmniej na to nie zważał, stanął na czele wojska, wkroczył do nowego Meksyku, rozproszył zbiegowiska i wziął w niewolę dwóch kacyków, których przeznaczył na ścięcie w stolicy nowego świata. Właśnie miano czytać im wyrok, gdy zbliżyłem się w środek izby obradnej, położyłem ręce na oskarżonych i wymówiłem te wyrazy: *Los toco por parte de el Rey*. Dotykam się ich w imieniu króla.

Starożytna ta formuła prawa hiszpańskiego, takiej jeszcze do dzisiejszego dnia używa wziętości, że żaden trybunał nie poważy się jej oprzeć i wstrzymuje wykonanie każdego wyroku. Używający wszelako tej formuły, odpowiada za nią własną osobą. Wice-król miał prawo wymierzenia na mnie tej samej kary, jaką mieli ponieść dwaj oskarżeni. Nie omieszkał korzystać ze swego przywileju, postąpił ze mną z całą srogością i kazał wtrącić do więzienia gdzie ubiegły mi najśrodsze chwile mego życia.

Pewnej nocy, a w ciemnem mojem podziemiu noc była wieczną, spostrzegłem na końcu długiego kurytarza słabe i blade światło, które coraz ku mnie się zbliżając oświeciło mi zachwycające rysy Tuskuli. To cza-

rowne zjawisko w jednym oka mgnieniu zamieniło moje więzienie w raj niewypowiedzianego szczęścia. Zapomniałem o doznanych cierpieniach, nieznana rozkosz przeniknęła całą moją istotę. Piękna meksykanka przystąpiła do mnie i rzekła: « Alonzo, cnotliwy Alonzo, zwyciężyłeś. Cienie moich ojców są zadowolone. To serce, którego żaden śmiertelnik nie miał posiadać, stało się twojem, i jest nagrodą za poświęcenia jakich nie przestajesz podejmować dla osłodzenia losu moim nieszczęśliwym rodakom. »

Zaledwie Tuskula domówiła tych słów, gdy padła w moje objęcia bez czucia i prawie bez duszy. Przypisywałem wypadek ten nadzwyczajnemu wzruszeniu, ale niestety przyczyna była zupełnie inną i daleko niebezpieczniejszą. Zgroza jakiej doświadczyła na cmentarzu, gorączka trawiąca w którą następnie była zapadła, przyprowadziły ją do tego stanu.

Jednakowoż Tuskula otworzyła oczy i niebieska jasność zdawała się zmieniać moje podziemie w promieniejący szczęściem pobyt. « Miłości, bożku starożytnych którzy czcili cię ponieważ żyli wedle praw natury, boska miłości, nigdy w Pafos ani w Knidzie potęga twoja nie okazała się tak dzielną jak w tem

posepnem więzieniu nowego świata! Podziemie moje stało się twoją świątynią, słup do którego byłem przykuty twoim ołtarzem, łańcuchy wieńcami.

Urok ten, dotąd się jeszcze nie rozproszył, dotąd tkwi jeszcze w tem sercu wychludzo-nem przez lata, i gdy myśl moja kolysana wspomnieniami chce przenieść się w krainę uludzeń przeszłości, nie zatrzymuje się na pierwszych chwilach miłosnych uniesień z El-wirą, ani na zapędach namiętnej Laury, ale przylega do wilgotnych murów więzienia.

Powiedziałem wam, że wice-król uniósł się na mnie niepohamowanym gniewem. Gwałtowność jego sposobu myślenia przemogła w nim uczucie sprawiedliwości i przyjaźni jaką miał ku mnie. Wyprawiał lekki okręt do Europy i posłał raport oskarżający mnie o poduszczanie buntów w Meksyku. Za ledwie jednak okręt wyruszył, gdy słusność wzięła górę w sercu wice-króla i począł z innego punktu zapatrywać się na moją sprawę. Gdyby nie obawa zadania fałszu samemu sobie, byłby wysłał drugi raport całkiem przeciwny pierwszemu, wyprawił atoli natychmiast drugi okręt z depeszami, które powinny były zła-godzić surowość poprzedzających.

Rada madrycka dość powolna we wszystkich postanowieniach, miała czas otrzymać drugi raport, nareszcie przysłała odpowiedź taką, jakiej można było się spodziewać się po najbieglejszej roztropności. Wyrok rady zdawał się być wpływem nieubłaganej srogości, wskazywał na śmierć buntowników, ale zarazem, trzymając się ściśle wyrażeń, przedstawiał nieprzebyte trudności w wynalezieniu tychże buntowników, wice-król zaś otrzymał tajemne polecenia zabraniające mu ich wyszukiwania. Ogłoszono nam pierwszą część wyroku, która zadała ostateczny cios chwiejącemu się zdrowiu Tuskuli. Nieszczęśliwa wpadła w suchoty, gorączka z razu powolna, niebawem jednak coraz gwałtowniej się rozwijająca..... —

Rozżalony starzec nie mógł więcej mówić, łkania zatłumiły mu głos w piersiach; oddalił się chcąc dać wolny bieg łzom, my zaś pozostaliśmy pogrążeni w uroczystym milczeniu. Każdy z osobna ubolewał nad losem pięknej meksykanki.

DZIEŃ CZTERDZIESTY PIĄTY.

Zebrałiśmy się o zwykłej godzinie i prosiłiśmy margrabiego aby zaczął dalej opowiadać, co też uczynił w tych słowach:

DALSZY CIĄG HISTORYI MARGRABIEGO TORRES-ROVELLAS.

— Mówiąc wam o mojej nieszczęśliwości, nie wspomniałem ani słowa co przez ten czas porabiała moja żona. Elwira z początku sprawiła sobie kilka sukien z ciemnych materyi, następnie odjechała do klasztoru którego klauzura od razu zmieniła się w salon do przyjmowania gości. Wszelako moja żona pokazywała się tylko z chustką w rękę i rozpuszczonemi włosami. Dowody tak niezmiennego przywiązania mocno mnie wzruszyły. Jakkolwiek uniewinniony, atoli tak dla formalności prawnych, jakoteż powolności wrodzonej Hiszpanom, musiałem jeszcze cztery

miesiące przesiedzieć w więzieniu. Skoro tylko odzyskałem wolność, natychmiast udałem się do klasztoru margrabiny i przywiozłem ją do domu, gdzie powrót jej uświetnił wspaniały bal — ale jaki bal! sprawiedliwe nieba!

Tuskuli już nie było. Najobojętniejsi ze łzmi w oczach ją wspominali. Możecie wyobrazić sobie moją boleść. Odchodziłem od zmysłów i nic do koła siebie nie spostrzegałem. Na szczęście, nowe i pochlebne uczucie wyrwało mnie z tego oplakanego stanu. Człowiek pierwszej młodości, obdarzony szczęśliwymi skłonnościami, pała chęcią odznaczenia się. W trzydziestym roku życia pragnie wziętości, później szacunku i poważania. Osiągnąłem te drugie i zapewne nie byłbym je pozyskał gdyby wiadano o ile miłość mną powodowała. Tymczasem przypisywano moje postęпки rzadkim cnotom popartym niepospolitą dzielnością charakteru. Do tego przyłączył się pewien rodzaj zapалу, jakiego zwykle nie szcędzą dla tych, którzy przez jakiś czas kosztem własnego bezpieczeństwa zajmowali publiczną uwagę.

Wziętość otaczająca mnie w Meksyku, dała mi poznać wysokie przekonanie jakie o mnie

powzięto i pochlebne jej hołdy wyrwały mnie z głębokiej rozpaczycy w jakiej byłem pogrążony. Czułem że nie zasługiwałem jeszcze na tak powszechny szacunek, ale postanowiłem mu odpowiedzieć. Tak gdy znękani zmartwieniem, widzimy tylko posepną przyszłość przed nami, nagle opatrność pieczołowita o nasze losy, rozpala niespodziewane światła, które znowu rozświecają nam drogę żywota.

Powzięłem więc zamiar zasłużenia sobie we własnem przekonaniu, na ten szacunek jakim mnie otaczano, otrzymałem udział w zarządzie kraju i wykonywałem moje obowiązki z czynną i dla wszystkich równą sprawiedliwością. Atoli stworzony byłem dla miłości. Tuskula żyła dotąd w mem sercu choć mi bolesną próżnię w życiu zostawiła. Postanowiłem ją zappełnić.

Przeszedłszy trzydziesty rok, można jeszcze doznać silnego przywiązania a nawet wzbudzić go, ale biada człowiekowi który w tym wieku chce mieszać się do młodzieńczych igraszek miłości. Wesolość nie ulatuje mu już na ustach, tkliwa radość nie błyszczy w oczach, mowa nie nagina się do tych czarownych niedorzeczności, szuka sposobów

podobania się, a chociaż zręczniejsz umie używać środków, choć pojmuje i wybornie tłumaczy miłość, pomimo to jednak płocha i złośliwa czereda całym polotem skrzydeł ucieka od niego i szuka młodzieńczego grona. Nareszcie, jeżeli mam wam powiedzieć nie poetycznie, nie zbywało mi na kochankach, które odplacały mi wzajemnością, ale czułość ich zwykle miała inne widoki na celu i jak możecie domyślić się, często opuszczała mnie dla młodszych. Takowe postępowania bodły mnie czasami ale nigdy nie martwiły. Jedne lekkie więzy, zmieniłem na drugie nie mniej ciężkie i śmiało wyznam że w stosunkach tych, więcej doznałem rozkoszy niż zmartwienia.

Moja żona zaczynała czterdziesty rok życia; hołdy jeszcze ją otaczały, ale była one bardziej wypływem szacunku; tłum cisnął się do jej rozmowy, ale nie ona już była jej przedmiotem. Świat jeszcze jej nie opuszczał, chociaż dla niej cały wdzięk już postradał.

Śród tego wice-król umarł. Moja żona zwykle przyjmowała w jego domu, teraz zapragnęła u siebie mieszać gości. Lubilem jeszcze w ówczas towarzystwo kobiet, z przyjemnością zatem pomyślałem, że byłem zszedł

o jedno piętro niżej zawsze je znajdę. Margrabina stała się dla mnie jak gdyby nową znajomością, odkryłem w niej nowe przymioty i znowu promyk szczęścia oświecił moje życie.

Elwira zaszła w ciążę i obdarzyła mnie tem ukochanem dziecięciem które towarzyszy mi w tej podróży. Późny jednak połów, wywarł zgubny wpływ na jej zdrowie. Roznie mogła się i wpadła w trawiącą gorączkę która zaprowadziła ją do grobu. Nowy ten cios znowu pograżył mnie w niewypowiedzianej boleści. Margrabina była pierwszą moją kochanką i ostatnią przyjaciółką. Związki krwi nas łączyły, winienem jej był mój majątek, moje znaczenie; tyle razem przyczyn do oplakiwania jej straty. Tracąc Tuskulę, otoczony jeszcze byłem wszystkimi złudzeniami życia. Margrabina zostawiła mnie samego, bez pociechy i w stanie znękania z którego nic nie mogło mnie wyrwać. Czas jednak zbliżył nieco moje rany. Wyjechałem do moich majątków, zamieszkałem u jednego z moich wazalów, którego córka zbyt młoda jeszcze aby miała zważać na wiek, opromieniła jesień dni moich ostatnimi błyskami szczęścia.

Nareszcie wiek ściał lodem prąd moich

zmysłów, ale czułość nie opuściła mego serca. Przywiązanie do mojej córki żywiej drga we mnie od wszystkich dawnych namiętności. Jedynem i ostatniem mojem życzeniem jest widzieć ją szczęśliwą i umrzeć na jej rękach. Nie mogę zalić się, drogie dziecko z swojej strony odplaca mi jak najszczerszą wzajemnością. Los jej jest już zapewnionym, okoliczności jej sprzyjają, zdaje mi się że zabezpieczyłem jej przyszłość, o ile można zabezpieczyć ją komu na ziemi. Spokojnie choć nie bez żalu rozstanę się z tym światem, na którym, jak każdy człowiek, doznałem wiele smutku ale i szczęścia.

Oto jest cała historia mego życia. Lękam się aby was nie znudziła, tem bardziej że widzę tego oto Señora, który od chwili wolał oddać się jakimś wyrachowaniom. —

W istocie, Velasquez dobył tabliczki i pilnie coś obliczał.

«Przebacz mi Señor — odpowiedział nasz matematyk — opowiadanie twoje żywo mnie zajęło i na chwilę nie odwróciłem od niego uwagi. Postępując za tobą po drodze twego życia i widząc jak za każdym krokiem który czyniłeś naprzód, jedna i taż sama działalna namiętność utrzymywała cię śród twego losu

i wspierała jeszcze przy schyłku twego istnienia, zdawało mi się że spoglądałem na linię krzywą, która biegnąc około swej osi, wedle raz danego jej prawa, zatrzymywała się przez chwilę koło środka tej osi, nareszcie zniżała stosunkowo do siły z jaką podnosiła się w górę. »

« W istocie — odparł margrabia — sądziłem że można było z przygód moich wyciągnąć naukę moralną, ale nigdy nie myślałem aby takowe dały ułożyć się w algebraiczne równanie. »

« Nie idzie tu o twoje Señor przygody — rzekł Velasquez — ale o życie ludzkie w ogólności, ale o dzielność fizyczną i moralną wzrastającą z wiekiem, zatrzymującą się na chwilę, potem zstępującą a tem samem identyczną z innymi siłami, czyli podległą tym samym prawom, to jest pewnemu stosunkowi między liczbą lat a miarą dzielności wznieconej przez stan duszy. Pragnę dokładniej się wytłumaczyć. Przypuśćmy że przestrzeń życia jest wielką osią elipsy, że wielka ta oś dzieli się na dziewięćdziesiąt lat wyznaczonych do przeżycia, że nareszcie mała oś tak jest daną iż nie przewyższa o dwie dziesiąte przedziałów od 40^{tu} do 50^{tu} położonych w pe-

wnej odległości od 45^u . Uważajcie teraz że przedziały małej osi, wyobrażające stopnie dzielnosci, nie są wartościami tej samej natury jak części wielkiej osi, oznaczające lata ale jedynie czynnikami. Z natury więc elipsy, otrzymamy linię krzywą, bystro się naprzód podnoszącą, zatrzymującą na chwilę prawie w miejscu, następnie zniżającą w stosunku pierwszego podnoszenia. Uważajmy więc chwilę przyjscia na świat jako początek wykładowików gdzie X i Y równają się jeszcze zeru. Rodzisz się Señor i po upływie jednego roku wykładowik twój jest $31/10$ miary użytej na wielką oś. Następne wykładowiki nie będą już miały trwałości 34. Ztąd różnica od zera do istoty zaledwie jaskajacej o pierwiastkach pojęć, jest daleko znaczniejszą od każdej innej.

« Człowiek w dwóch, trzech, czterech, pięciu, sześciu, siedmiu latach, ma za wykładowiki swojej dzielnosci $47/10$, następnie $57/10$, $65/10$, $73/10$, $79/10$, $85/10$, których różnice są: 16. 14. 3. 3. 6. 6.

« Wykładowik $44/10$ i $51/10$ jako też summa różnic jest tylko 30. W czternastym roku życia, człowiek zaczyna być dopiero młodzieńcem, jest nim jeszcze w 24, summa jednak różnic przez te siedm lat wynosi tylko 19, od 24

zaś do 26 roku, 44. Przypominam wam że moja krzywa linja wyobraża tylko życie tych ludzi, których namiętności są umiarkowane, i którzy są najdzielniejszymi przeszedłszy czterdziesty rok i zbliżając się do czterdziestego piątego. Dla ciebie Señor, w którego życiu miłość była głównym działaczem, największy wykładnik powinien był przypaść przynajmniej o dziesięć lat wcześniej, tak około trzydziestego a trzydziestego piątego roku życia. Musiałeś atoli wznosić się stosunkowo szybciej. W istocie, największy twój wykładnik przypadł na 35 rok i odpowiada 70 podziałom wielkiej osi. Ztąd też wykładnik czterech lat, który u człowieka umiarkowanego wynosił $\frac{115}{10}$ u ciebie był 427; wykładnik 21 lat, zamiast 434 u ciebie czynił 444. Natomiast w 42 roku życia, człowiek umiarkowany podnosi swoją dzielność, Señor zaś już ją zniżasz.

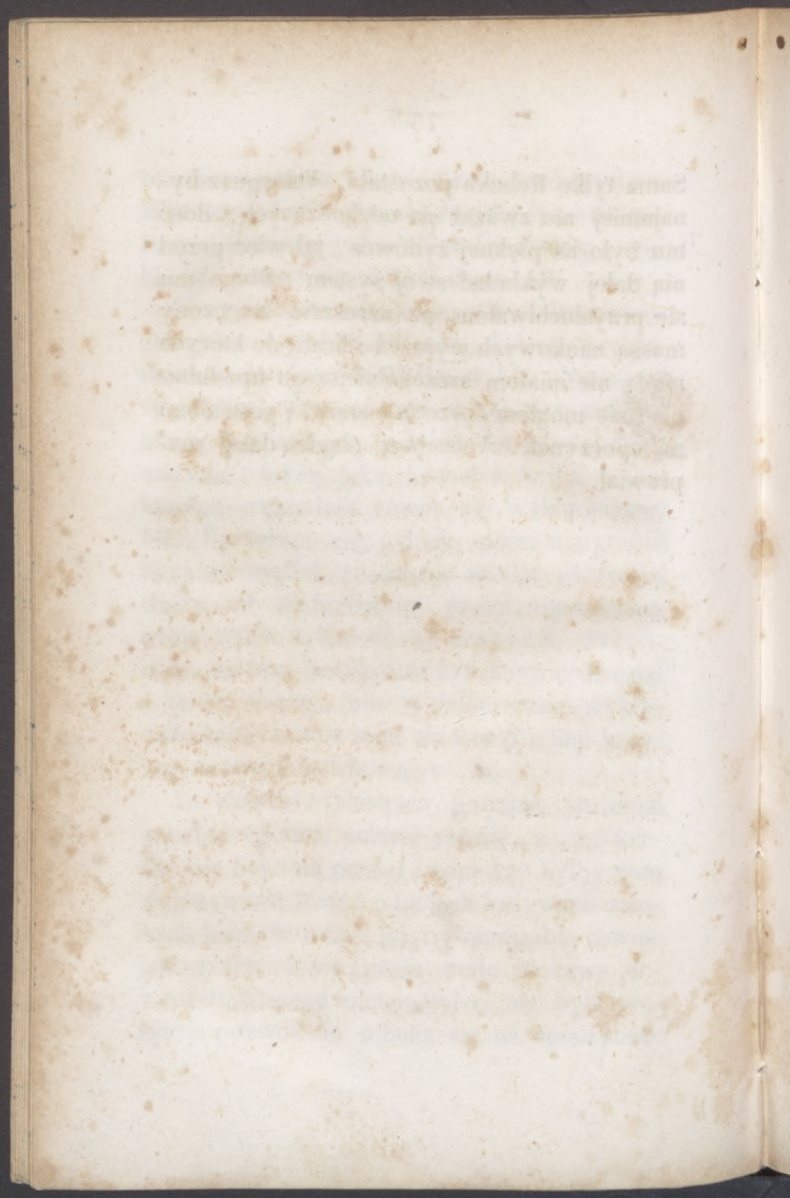
«Racz na chwilę jeszcze zwrócić całą twoją uwagę. W 44 roku życia, kochasz młodą dziewczynę, przeszedłszy 24 lat życia stajesz się najlepszym z mężów. W 28 roku, pierwszy raz wyraźnie się przeniewierzasz, ale kobieta którą kochałeś ma wzniosłą duszę, ogarnia zapalem twoją i w 35 roku zaszczy-

tnie występujesz na widownię towarzystwa. Wkrótce jednak, przychodzi ci popęd do miłostek, doznany już w 28 roku, którego wykładnik równa się wykładnikowi 42.

Następnie, znowu stajesz się dobrym mężem jakim byłeś w 24 roku, którego wykładnik równa się wykładnikowi 49. Nareszcie wyjeżdżasz do jednego z twoich wazalów, gdzie zapalasz się miłością ku młodej dziewczynie, takiej jaką kochałeś w 14 roku, którego wykładnik równa się wykładnikowi 56. Upraszam cię jednak mości margrabio abyś nie myślał, że dzieląc wielką oś twojej elipsy na siedmdziesiąt części, ograniczam twoje życie tylko do tej liczby lat. Przeciwnie, możesz bezpiecznie żyć dziewięćdziesiąt a nawet więcej, ale w takim razie wykładniki będą zastosowane do teoryi o linji krzywej zwanej łańcuchową. »

To mówiąc Velasquez powstał, strasznie wywijał rękami, porwał szpadę, zaczął kreślić nią linije na piasku i zapewne byłby nam wyłożył całą teoryę o liniach krzywych zwanych łańcuchowemi, gdyby margrabia równie jak i reszta towarzystwa mało ciekawa dowodzeń naszego matematyka, nie była prosiła o pozwolenie udania się na spoczynek.

Sama tylko Rebeka pozostała. Velasquez bynajmniej nie zważał na odchodzących, dość mu było na pięknej żydówce, jał więc przed nią dalej wykladać swój system. Długo mu się przysłuchiwałem, aż nareszcie zmęczony masą naukowych wyrażen i liczb, do których nigdy nie miałem szczególniejszego upodobania, nie mogłem oprzeć się snowi i poszedłem na spoczynek. Velasquez ciągle dalej rozprawiał.



DZIEŃ CZTERDZIESTY SZÓSTY.

Mexykanie, którzy dłużej już z nami byli pozostali anizeli zamierzili, postanowili narzeczcie nas opuścić. Margrabia usiłował namówić naczelnika cyganów aby udał się wraz z niemi do Madrytu i zaczął wieść życie bardziej odpowiednie swemu urodzeniu; ale cygan nie chciał żadnym sposobem przystać, prosił go nawet aby nigdy o nim nie wspominał i szanował tajemnicę którą osłaniał swoje istnienie. Podróźni oświadczyli przyszłemu księciu Velasquezowi cały szacunek jaki mieli dla niego, i uczynili mi zaszczyt ządania mojej przyjaźni.

Odprawiliśmy ich do końca doliny i długo ścigaliśmy wzrokiem za odjeżdżającymi. Wracając, przyszło mi na myśl że kogoś brakowało w karawanie, przypomniałem sobie dziewczynę znaną pod nieszczęsną szubienicą Los-Hermanos, zapytałem więc

naczelnika co się z nią stało i czyli w istocie była to znowu jaka nadzwyczajna przygoda, jakie sprawy przeklętych piekielników, którzy tak nam się dali we znaki? Cygan szydersko uśmiechnął się i rzekł: « Tym razem, mylisz się Señor Alfonsie, ale taką jest natura ludzka, raz zasmakowawszy w cudowności chętnie radaby najprościejsze wypadki życia pod nią podciągnąć. »

« Masz słuszność — przerwał Velasquez — do tych pojęć także można zastosować teorię postępów geometrycznych, których pierwszym wyrazem będzie ciemny zabobonnik, ostatnim zaś alchimista lub astrolog. Między dwoma temi wyrazami, znajdzie się jeszcze wiele miejsca na mnóstwo przesądów ciężących nad ludzkością. »

« Nie mam nic przeciw temu dowodzeniu — rzekłem — ale to wszystko nie wyjaśnia mi jeszcze, kto była nieznajoma dziewczyna? »

« Posyłałem jednego z moich ludzi — odpowiedział cygan — dla dowiedzenia się o niej szczegółów. Doniesiono mi, że była to biedna sierota, która po śmierci kochanka dostała pomięszania zmysłów i nie mając nigdzie przytułku, żyje z dobroczynności podróżnych lub miłosierdzia pasterzów. Zwykle samotnie

błądzi po górach i spi tam gdzie ją noc zas-
 koczy. Zapewne więc tym razem zaszła pod
 szubienicę Los-Hermanos i nie pojmując okrop-
 ności miejsca, jak najspokojniej zasnęła.
 Margrabia zdjęty litością, kazał ją pielęgno-
 wać, ale warjatka przyszedłszy do sił, wym-
 knęła się z pod straży i przepadła gdzieś
 w górach. Dziwi mnie że dotąd nigdzie jej
 nie spotkaliście. Biedaczka, skończy na tem
 że zsunie się gdzie ze skały i marnie zginie,
 chociaż przyznam się, że nie ma co żałować
 tak nędznego życia. Czasami pasterze rozpa-
 liwszy w nocy ognisko, widzą ją nagle zja-
 wiającą się u ognia. Wtedy Dolorita, tak się
 bowiem ta nieszczęsna nazywa, siada spokoj-
 nie, wpatruje się bystrym wzrokiem w je-
 dnego z nich, nagle zarzuca mu ręce na szyję
 i woła go nazwiskiem zmarłego kochanka.
 Z początku, uciekali od niej, ale dziś przy-
 zwyczaili się i bezpiecznie pozwalają jej błą-
 dzić a nawet dzielają z nią strawę. »

Gdy tak cygan mówił, Velasquez tymcza-
 sem ją dowodzić o siłach sobie przeciwle-
 głych, pochłaniających jedno drugą, o namię-
 tności która po długiej walce z rozumem,
 zniszczyła go nareszcie i uzbrojona berłem
 niedorzeczności, sama rozsiadła się w mózgu.

Co do mnie, zdziwiłem się słysząc te słowa cygana, byłem bowiem pewnym że nie zaniedba korzystać z okoliczności i znowu uraczy nas sążnistą historią. Być może że jedynym powodem skrócenia przygód Dolority, było zjawienie się Żyda wiecznego tułacza, który byстрыm krokiem obiegał górę. Kabałista zaczął wymawiać jakieś straszliwe zaklęcia, ale żyd długo na nie niezwążał, nareszcie jak gdyby przez grzeczność tylko dla towarzystwa, zbliżył się do nas i rzekł do Uzedy: « Skończone twoje panowanie, straciłeś władzę której okazałeś się niegodnym, straszliwa przyszłość cię oczekuje. » Kabałista roześmiał się na całe gardło, ale śmiech nie szedł mu z serca, gdyż prawie błagającym głosem w nieznanym języku zaczął przemawiać do żyda. « Dobrze — odparł Ahaswer — dziś jeszcze, dziś, ostatni raz, już mnie nigdy nie ujrzysz. » — « Mniejsza o to — rzekł Uzeda — zobaczymy co się stanie później, tymczasem stary zuchwalcze, korzystaj z chwili naszej przechadzki i ciągnij dalej twoje opowiadanie. Już my potrafimy się przekonać czyli szejk Tarudantu ma więcej władzy odemnie. Wreszcie znam powody dla których nas unikasz i bądź pewnym że je

wszystkim wyjawię.» Nieszczęśliwy włóczęga spojrział zabójczym wzrokiem na kabalistę, widząc jednak że nie zdoła mu się oprzeć, wszedł wedle zwyczaju między mnie a Velasqueza i po chwili milczenia, tak zaczął mówić:

DALSZY CIĄG HISTORJI ŻYDA WIECZNEGO TUŁACZA.

Wspomniałem wam jak wtedy właśnie, gdy miałem osiągnąć najgorętszy cel moich życzeń, powstała wrzawa w świątyni, jak przypadł do nas jakiś Faryzeusz i nazwał mnie oszustem. Jak się zwykle postępuje w podobnych wypadkach, odpowiedziałem mu że był oszczercą i że jeżeli natychmiast sam się nie wyniesie, każe go moim ludziom za drzwi wyrzucić. «Dość już tego — zawołał Faryzeusz, obracając się do obecnych — niegodziwy ten Saduceusz oszukuje was. Rozsiał fałszywą pogłoskę aby zbogacić się waszym kosztem, korzysta z waszej łatwowierności, ale czas już zedrzeć z niego larwę. Aby wam dowieść prawdy słów moich, ofiaruję każdemu dwa razy większą ilość złota za uncją srebra.»

Tym sposobem Faryzeusz zyskiwał jeszcze

dwadzieścia pięć od sta, ale lud uniesiony chęcią zysku, zaczął tłumnie garnać się do niego i okrzykiwać go dobroczyńcą miasta, podczas gdy dla mnie nie szczędził najostrzejszych przymówek. Powoli rozjątrzyły się umysły, od słów przyszło do czynnej zwady i w mgnieniu oka, taki hałas powstał w świątyni, że jeden drugiego nie mógł zrozumieć. Widząc że się zanosi na straszną burzę, czempredzej odesłałem do domu co mogłem srebra i złota, zanim jednak służący zdołali wszystko unieść, lud uniesiony wściekłością rzucił się na stoły i zaczął rozrywać pozostałe pieniądze. Nadaremnie usiłowałem stawić jak najdzielniejszy opór, siła przeciwna była znacznie przemagającą, w jednej chwili świątynia zamieniła się w pole boju. Nie wiem na czym byłoby się skończyło, może nie byłbym żywy wyszedł, krew bowiem lała mi się z głowy, gdy w tem wszedł prorok naza-rejski z swymi uczniami. Nigdy nie zapomnę tego groźnego i uroczystego głosu który w jednej chwili uśmierzył wrzawę. Czekaliśmy za kim się odezwie, Faryzeusz był przekonany że wygra sprawę, ale prorok powstał na oba stronnictwa i zaczął wyrzucać świętokradztwo, bezczeszczenie przybytku

Pańskiego i pogardę stwórey dla dobra djabelskiego. Słowa jego silne wrażenie sprawiły na zgromadzonych, świątynia coraz napelniała się ludem, między którym wielu było zwolenników nowej nauki, obie strony poznały że źle wyjdą na wmieszanu się trzeciego. W istocie nie myliliśmy się, gdyż okrzyk: « precz z świątyni » dał się słyszeć jak gdyby z jednej piersi. Lud tym razem nie baczył już na własną korzyść, ale uniesiony fanatycznym zapalem, począł wyrzucać stoliki i wypychać nas za drzwi. Znalazłszy się na ulicy, ciżba coraz się zwiększała, ale lud większą zwracał uwagę na proroka niż na nas, korzystając przeto z ogólnego zamieszania, chyłkiem, bocznemi uliczkami dopadłem do domu. Zastąłem przy drzwiach służących naszych uciekających z ocalonemi pieniędzmi. Za jednym rzutem oka na worki poznałem, że jakkolwiek speszły moje nadzieje zysku, straty jednak nie było żadnej. Na tę myśl odetchnąłem.

Sedekias o wszystkim już wiedział. Sara z niespokojnością wyglądała mego powrotu, widząc mnie skrwawionego zbladła i rzuciła mi się na szyję. Starzec długo spoglądał w milczeniu, trząsł głową jak gdyby szukał

jakiejś myśli, nareszcie rzekł: «Przyrzekłem że Sara będzie twoją jeżeli podwoisz powierzone ci pieniądze, cożes z nimi uczynił.» «Nie moja wina — odpowiedziałem — jeżeli nieprzewidziany wypadek zniszczył moje zamiary, broniłem twego dobra z narażeniem własnego życia. Możesz obliczyć twoje pieniądze, nic nie straciłeś, owszem są nawet pewne zyski o których wszelako nie warto wspominać w porównaniu z temi jakie nas oczekiwały.» Tu nagle szczęśliwa myśl przyszła mi do głowy, postanowiłem wszystko od razu rzucić na szalę losu i dodałem: «Jeżeli jednak chciałeś aby dzień dzisiejszy był dniem zysku, mogę innym sposobem zapełnić szczerbę.» — «Jako? — zawołał Sedekias — rozumiem, znowu zapewne jakie przedsięwzięcia które tak udadzą się jak ostatnie.» — «Bynajmniej — odpowiedziałem — sam się przekonasz czyli wartość jaką ci zaofiaruję jest rzeczywistą.» To mówiąc śpiesznie wybiegłem i po chwili wróciłem niosąc moją miedzianą skrzynkę pod pachą. Sedekias bacznie na mnie spoglądał, uśmiech nadziei przeleciał na ustach Sary, ja tymczasem otworzyłem skrzynkę, wyjąłem znajdujące się w niej papiery i rozdarłszy je na połowę,

podalem starcowi. Sedekias w jednej chwili poznał o co rzecz chodziła, ścisnął konwulsyjnie papiery w rękę, wyraz niewypowiedzianego gniewu wybiegł mu na lica, powstał, chciał coś mówić ale słowa uwieźły mu w piersiach. Los mój miał się rozstrzygnąć, padłem do nóg starcowi, i zacząłem oblewać rzewnemi łzami.

Na ten widok Sara, ukłękła kolo mnie i sama nie wiedząc dla czego, cała zapłakana jęła całować dziadka po rękach. Starzec zwiesił głowę na piersi, tysiące uczuć krzyżowało się w jego duszy, w milczeniu darł papiery na drobne kawałki, wreszcie zerwał się i spiesznie wyszedł z izby. Zostaliśmy sami, pogrążeni w najboleśniejszej niepewności, ja przyznam się że straciłem wszelką nadzieję, po tem jednak co zaszło, poznałem że nie powinienem był dłużej zostawać w domu Sedekiasa. Spojrzałem raz ostatni na zapłakaną Sarę i wyszedłem, gdy nagle ujrzałem w przysionku krzątanie się i cizbę. Zapytałem o przyczynę, odpowiedziano mi z uśmiechem: że ja mniej od kogokolwiek powinienem był czynić podobne zapytania. « Wszakżesz to — dodano — Sedekias wydaje za ciebie swoją wnuczkę i kazał aby czem prędzej po-

spieszono z przygotowaniami do wesela.»
 Możecie sobie wyobrazić jak z rozpaczy, od
 razu przeszedłem do stanu nieopisanego szczę-
 ścia. W kilkanaście dni potem, pojąłem Sarę
 za żonę. Brakowało mi tylko aby przyjaciel
 uczestniczył w tak świetnej zmianie mego losu;
 ale Germanus cały porwany nauką proroka
 nazarejskiego, należał także do tych którzy
 wyrzucali nas z świątyni; pomimo więc przy-
 jaźni jaką miałem dla niego, musiałem zer-
 wać z nim wszelkie stosunki i odtąd zupełnie
 straciłem go z oczu.

Po doświadczeniu tylu przeciwności, zda-
 wało mi się że zacznę kosztować spokojnego
 życia, tem bardziej że odrzekłem się wexlar-
 stwa, które tak niebezpiecznie dało mi się już
 we znaki. Chciałem żyć z mego majątku, aby
 jednak czasu nie trawić napróżno, postanowi-
 łem wypożyczać pieniądze. W istocie nie zby-
 wało mi na żądających, ciągnąłem znaczne
 zyski, Sara z każdym dniem coraz więcej
 uprzyjemniała mi życie, gdy wtem nagły wy-
 padek, zmienił dotychczasowy stan rzeczy.
 Ale słońce już zachodzi, zbliża się dla was
 godzina spoczynku, mnie zaś wzywa potężne
 zakłęcie, któremu oprzeć się nie mogę. Jakieś
 dziwne uczucia przejmują moją duszę: miał-

żeby to być koniec moich cierpień? Żegnam was. —

To mówiąc włóczęga znikł w poblizkim wąwozie. Zdziwiły mnie ostatnie jego słowa, zapytałem o znaczenie ich kabalistę. « Wątpię — odrzekł Uzeda — abyśmy usłyszeli dalszą część przygód żyda. Łotr ten zwykle, ile razy dochodzi do epoki w której za znieważenie proroka skazanym został na wieczną piełgrzymkę, znika i już żadna siła nie potrafi go napowrót przywołać.

« Ostatnie jego wyrazy, wcale mnie nie zdziwiły. Od niejakiego czasu sam spostrzegam że włóczęga znacznie się podstarzał, ale przecież do śmierci go to nie doprowadzi, gdyż w takim razie cóżby stało się z waszem podaniem? »

Widząc że kabalista chciał wpaść na drogę uwag, których nie wypadało słuchać prawowiernym katolikom, uciałem dalszą rozmowę, oddaliłem się od reszty towarzystwa i sam wróciłem do mego namiotu.

Niebawem wszyscy powrócili, nie musieli jednak zaraz udać się na spoczynek, gdyż długo jeszcze słyszałem głos Velasqueza rozwijającego przed Rebeką jakieś matematyczne dowodzenie.

DZIEŃ CZTERDZIESTY SIÓDMY.

Nazajutrz, cygan oznajmił nam że oczekiwał nowego dowozu towarów i dla bezpieczeństwa, umyślił jakiś czas w tem miejscu przepędzić. Z przyjemnością przyjęliśmy tę nowinę, niepodobna bowiem było w całym pasmie Sierra-Moreny wynaleźć czarowniejsze położenie. Z rana, zapuściłem się z kilku cyganami na polowanie w góry, wieczorem zaś wróciwszy, złączyłem się z resztą towarzystwa i słuchałem dalszego opowiadania naczelnika, który zaczął w te słowa:

DALSZY CIĄG HISTORYI NACZELNIKA CYGANÓW.

Wróciłem do Madrytu z Toledem, który szczerze obiecywał sobie wynagrodzić czas stracony w klasztorze kamedulów. Przygody Lopeza Soarez żywo go zajęły, przez drogę opowiedziałem mu bliższe szczegóły, kawaler

bacznie im się przysłuchiwał, nareszcie rzekł: « Wchodząc niejako w nową epokę życia po pokucie, należałoby zacząć je od wyświadczenia komu dobrego uczynku. Żal mi tego biednego młodzieńca który bez przyjaciół, znajomych, chory, opuszczony, a do tego zakochany, sam nie wie jaką sobie dać radę w obcym mieście. Avarito, zaprowadzisz mnie do Soareza, być może że mu się na co przydam. »

Zamiar ten ze strony Toledo, bynajmniej mnie nie zdziwił, od dawna już bowiem miałem sposobność przekonania się o jego szlachetnym sposobie myślenia i skwapliwości do niesienia pomocy drugim.

W istocie, przyjechawszy do Madrytu, kawaler natychmiast udał się do Soareza. Poszedłem za nim. Zaraz na samem wejściu, dziwny nas uderzył widok. Lopez leżał w najgwałtowniejszej gorączce. Oczy miał otwarte ale nic nie widział, czasami tylko błędny uśmiech przelatywał mu po spiekłych ustach, snąc marzył wtedy o ukochanej Inezie. Tuż przy nim w obszernem krześle siedział Busqueros, ale także nie obejrzał się nawet gdyśmy wchodzili. Zbliżyłem się do niego i poznałem że spał. Toledo przystąpił do sprawcy

nieszczęść biednego Soareza i targnął go za ramię. Don Roque ocknął się, przetarł oczy, wytrzeszczył je i zawołał: « Co widzę, Señor don Jose, tutaj. Wczoraj miałem zaszczyt spotkania w Prado j. o. księcia Lerne, który pilnie mi się przyglądał, zapewne chciał się ze mną bliżej poznać. Jeżeli jego księżęca mość potrzebuje moich usług, racz Señor oświadczyć zacnemu swemu bratu że każdej chwili gotów jestem na jego rozkazy. » Toledo powstrzymał potok słów Busquera któremu nie przewidywał końca i zapytał go: « Nie o to tu teraz chodzi, przyszedłem dowiedzieć się jak się ma chory i czyli czego nie potrzebuje? » — « Chory ma się źle — odpowiedział Don Roque — przedewszystkiem zaś potrzebuje zdrowia, pociechy i ręki pięknej Inezy. » — « Co do pierwszego — przerwał Toledo — pójdę natychmiast po lekarza mego brata, który jest jednym z najbieglejszych w Madrycie. » — « Co drugiego — dodał Busqueros — nic mu Señor nie pomożesz, gdyż nie wrócisz życia jego ojcu, względem zaś trzeciego, mogę zapewnić że nieszczędzą zachodów aby przyprowadzić ten zamiar do skutku. » — « Jako? — zawołałem — umarł ojciec Don Lopeza? » — « Tak jest — odpo-

wiedział Busquero — wnuk tego samego In-niga Soareza, który przebywszy wiele mórz założył dom handlowy w Kadyxie. Chory miał się już daleko lepiej i wkrótce zapewne byłby zupełnie odzyskał siły, gdyby odebrana wiadomość o śmierci sprawcy jego życia, nie była go powtórnie rzuciła na łożo. Ponieważ ednak Señor — mówił dalej Busqueros zwracając mowę do Toleda — szczerze zajmujesz się losem mego przyjaciela, pozwól abym ci towarzyszył w wyszukaniu lekarza i zarazem ofiarował moje usługi. » To mówiąc obaj wyszli, ja zaś sam zostałem przy chorym. Długo wpatrywałem się w blade jego oblicze, na które cierpienia w tak krótkim czasie w zmarszczkach wybiegły i w duchu przeklinałem natręta, jako przyczynę wszystkich nieszczęść Soareza. Chory usnął, wstrzymałem oddech aby mimowolnem poruszeniem nie przerwać mu chwili spoczynku, gdy wtem zastukano do drzwi. Zniecierpliwiony, wstałem i na palcach pomykając się ku drzwiom poszedłem otworzyć. Spostrzegłem nie młodą już ale nader przyjemnej postaci kobietę, która widząc że kładłem palec na ustach na znak milczenia, kazała mi abym wyszedł do niej do sieni. « Mój młody przyjacielu — rzekła

do mnie — nie mógłbyś mi powiedzieć jak się ma dzisiaj Señor Soarez? » — « Zdaje mi się że nie dobrze — odpowiedziałem — ale w tej chwili usnął i mam nadzieję że sen go nieco pokrzepi. » — « Mówiono mi że jest mocno cierpiącym — ciągnęła dalej nieznajoma — i pewna osoba która szczerze się nim zajmuje prosiła mnie, abym sama przekonała się o stanie jego zdrowia. Bądź tak grzecznym i jak się przebudzi oddaj mu ten bilecik. Jutro przyjdę sama dowiedzieć się czy mu lepiej. » Przy tych słowach dama znikła, ja zaś schowałem bilecik do kieszeni i wróciłem do izby.

Po chwili wrócił Toledo z lekarzem. Zaczynając kapłan Eskulapa, przypomniał mi z postaci doktora Sangra Morena, zastanowił się nad chorym, pokiwał głową, poczem dodał że w tej chwili za nic nie mógł ręczyć, że jednak pozostanie przez całą noc przy Soarezie i że nazajutrz będzie w stanie udzielenia ostatecznej odpowiedzi. Toledo uścisnął go przyjacielsko, polecił aby nie szczędził wszelkich starań i wyszliśmy razem obiecując sobie, każdy w duszy, nazajutrz ze świtem powrócić. W drodze opowiedziałem kawalerowi odwiedzinę nieznajomej kobiety, wziął ode-

mnie bilecik i rzekł: « Jestem pewnym że to jest pismo pięknej Inezy, jutro jeżeli Soarez będzie zdrowszym, możemy mu je oddać. W istocie radbym połową życia okupić szczęście tego młodego człowieka, któremu zadałem tyle cierpień. Ale już jest późno, my także po naszej podróży potrzebujemy wypoczynku. Chodź, przepisz się u mnie. » Z chęcią przyjąłem zaproszenie człowieka do którego co raz silniej zacząłem się przywiązywać i posiliwszy się wieczną, niebawem twardym snem zasnąłem.

Nazajutrz, poszliśmy do Soareza. Po twarzy lekarza poznałem że sztuka odniosła zwycięstwo nad niemocą. Chory był jeszcze bardzo osłabionym, ale poznał mnie i szczerze powitał. Toledo opowiedział mu jakim sposobem stał się przyczyną jego potłuczenia, zapewnił że użyje wszelkich środków aby mu w przyszłości wynagrodzić doznane boleści i prosił, aby odtąd raczył uważać go za przyjaciela. Soarez wdzięcznie przyjął tę ofiarę i osłabioną rękę podał kawalerowi. Toledo wyszedł do drugiego pokoju z lekarzem, wtedy korzystając ze sposobności oddałem Soarezowi bilecik. Słowa w nim zawarte zapewne były najlepszym lekarstwem, gdyż

Lopez siadł na łóżku, lzy puściły mu się z oczu, przycisnął pismo do serca i głosem przerywanym łkaniem rzekł: «Wielki Boże, więc nieopuściłeś mnie, nie jestem przecie sam jeden na świecie. Ineza, moja droga Ineza, niezapomniała o mnie, ona mnie kocha! Ta zacna pani d'Avaloz, sama była aby dowiadywać się o moje zdrowie.» — «Tak jest, Señor Lopez — odpowiedziałem — ale przez miłość boską, uspokój się, nagle wzruszenie mogłoby ci zaszkodzić.» Toledo usłyszał ostatnie moje słowa, wszedł więc z lekarzem, który zalecił choremu przedewszystkiem spoczynek, przepisał mu chłodzące napoje i obiecawszy powrócić wieczorem oddalił się. Po chwili, drzwi otworzyły się i ujrzeliśmy wchodzącego Busquera. «Brawo! — zawołał — wysmienicie, nasz chory jak widzę jest dziś daleko zdrowszym! Tem lepiej, wkrótce bowiem będziem musieli rozwinąć całą naszą czynność. W mieście rozchodzi się pogłoska, że córka bankiera w tych dniach wychodzi za mąż za księcia Santa-Maura. Niech sobie gadają co chcą, zobaczymy kto postawi na swoim. Spotkałem właśnie w gospodzie pod złotym jeleniem jednego dworzanina z orszaku księcia, i dałem

mu lekko uczuć, że nie mieli tu po co przyjeżdżać.» — «Bezwątpienia — przerwał Toledo — i ja mniemam że Señor Lopez nie powinien tracić nadziei, atoli w takim razie, pragnąłbym abys waszeć nie mieszał się do niczego.» Kawaler wyrzekł te słowa z przyciskiem, Don Roque snać nie śmiał mu nic odpowiedzieć, uważałem tylko że z przyjemnością poglądał na Toledo zegnającego się w tej chwili z Soarezem.

«Piękne słówka do niczego nas nie doprowadzą — rzekł Don Roque, gdyśmy zostali sami — tu trzeba działać i to jak najspieszniej.» Gdy natręt domawiał tych słów, usłyszałem stukanie do drzwi. Domyśliłem się że to była pani d'Avaloz, szepnąłem więc do ucha Soarezowi aby wyprawił Busquera tylnymi drzwiami, ale ten oburzył się na te słowa i rzekł: «Tu trzeba działać — powtarzam — jeżeli zaś to są odwiedziny mające styczność z główną naszą sprawą, ja muszę być przy nich obecnym, albo przynajmniej słyszeć całą rozmowę z drugiego pokoju.» Soarez rzucił błagalny wzrok na Busquera, który widząc że chory mocno sobie życzył jego obecności, wszedł do pobocznej izby i ukrył się za drzwiami. Pani d'Avaloz nie długo

bawiła, z radością powitała powrót Soareza do zdrowia, zapewniła go że Ineza nie przestała o nim myśleć, ani go kochać, że na jej prośby przyszła go odwiedzić i że nakoniec Ineza niespokojna o niego, dowiedziawszy się o nowem nieszczęściu jakie nań spadło, postanowiła tego wieczora odwiedzić go z ciotką i słowami pociechy i nadziei, dodać mu odwagi do przecierpienia przeciwnych chwil losu.

Po odejściu pani d'Avaloz, Busqueros wpadł znowu do pokoju i rzekł: « Co slyszalem? piękna Ineza chce nas odwiedzić dzisiejszego wieczora. Otóż to jest dopiero prawdziwy dowód miłości. Biedna dziewczyna nie myśli nawet że tym nierozważnym postępkim może zgubić się na wieki, ale my tu za nią pomyślimy. Señor Don Lopez, biegnę do moich przyjaciół, rozstawię ich na czatach i każe aby nikogo z obcych nie wpuszczali do domu. Bądź spokojnym, ja całą sprawę biore na siebie. » Soarez chciał mu coś odpowiedzieć, ale Don Roque wyskoczył jak oparzony. Widząc że zanosi się na nową burzę i że Busqueros znowu zamyslał wyplatać jakiego figla, nie mówiąc ani słowa choremu, pobieglęm czempredzej do Toleda i opowiedziałem mu wszystko co zaszło: Kawaler zachmu-

rzył czoło, zamyslił się i kazał abym wrócił do Soareza i zapewnił go, że użyje wszelkich środków dla zapobieżenia nedorzecznosciom natręta. Wieczorem, usłyszeliśmy turkot zatrzymującego się powozu. Po chwili weszła Ineza z swoją ciotką. Nie chcąc także być natrętnym, cichaczem wysunąłem się za drzwi, gdy w tem na dole doszedł mnie hałas. Zbiegłem i ujrzałem Toleda wiodącego żywą sprzeczkę z jakimś nieznajomym. « Mości panie — mówił cudzoziemiec — zaręczam panu że potrafię tu wejść. Moja narzeczona nazywa się Ineza i mieszka w tym domu schadzki miłosne z jakimś mieszczaninem z Kadyxu, wiem o tem z pewnością. Przyjaciół tego niegodziwca, pod złotym jeleniem w obecności marszałka mego dworu, werbował jakichś urwiszów, którzy mieli mu dopomagać w pilnowaniu, ażeby kto nie spłoszył pary gołębi. »

« Przebaczysz Señor — odpowiedział Toledo — ale żadnym sposobem nie mogę pozwolić mu wejść do tego domu. Niezaprzeczam że przed chwilą weszła tu młoda kobieta, ale jestto jedna z moich krewnych, której nikomu ubliżyć nie dozwolę. » — « Kłamstwo — krzyknął nieznajomy — kobieta ta jest Inezą Moro i moją narzeczoną. » — « Señor,

nazwałeś mnie kłamcą — rzekł Toledo — nie wchodzę czyli masz słusność lub nie, ale ubliżyłeś mi i za nim krok ztąd postąpisz, raczysz dać mi zadość uczynienie. Jestem kawaler Toledo, syn księcia Lerny.» Nieznajomy uchylił kapelusza i odparł: «Książę Santa-Maura gotów jest na twoje Señor rozkazy.» To mówiąc odrzucił płaszcz i dobył szpady. Latarnia zawieszona nad drzwiami rzucała blade światło na walczących, ja przyliliem się do ściany oczekując końca tej nieszczęśnej przygody. Nagle książę wypuścił szpadę z ręki, schwycił się za piersi i padł jak długi. W tej chwili, jak na szczęście, lekarz księcia Lerny przychodził odwiedzać Soareza, Toledo przyprowadził go do księcia, i z niespokojnością zapytał czy rana jest śmiertelną. «Bynajmniej — odrzekł lekarz — każcie go tylko jak najspieszniej przenieść do domu i opatrzyć, za kilkanaście dni będzie zdrow, szpada wcale nie tknęła płuc.» To mówiąc podał rannemu orzeźwiający sole, Santa-Maura otworzył oczy, wtedy kawaler przystąpił do niego i rzekł: «Mości książę, nie myliłeś się, piękna Ineza jest tutaj, u młodego człowieka którego kocha nad życie. Po tem co pomiędzy nami zaszło, sądzę że wa-

sza książęca mość jesteś zbyt szlachetnym, abyś chciał zmuszać młodą dziewczynę do zawarcia związku przeciwnego jej sercu.» — «Señor kawalerze — odparł słabym głosem Santa-Maura — niegodzi mi się powątpiewać o prawdzie słów twoich, wszelako dziwi mnie, że piękna Ineza sama nie uprzedziła mnie iż serce jej nie jest już wolnem. Kilka słów z jej ust, lub kilka liter jej ręką napisanych.....»

Książę chciał mówić dalej ale powtórnie omdlał, odniesiono go do domu, Toledo zaś pobiegł na górę donieść Inezie, czego wymagał jej zalotnik dla zostawienia jej w spokoju i zrzeczenia się jej ręki. Cóż mam wam więcej powiedzieć, sami domyślcie się końca przygody. Soarez, zapewniony o miłości kochanki szybko powracał do zdrowia. Stracił ojca ale natomiast pozyskał przyjaciela i żonę, ojciec bowiem Inezy, niepodzielający nigdy nienawiści jaką pałał ku niemu nieboszczyk Gaspar Soarez, z chęcią zezwolił na ich połączenie. Państwo młodzi natychmiast po ślubie wyjechali do Kadyxu. Busqueros odprowadzał ich o kilka mil za Madryt i potrafił wyludzić od nowożeńca, za mniemane przyługi, kiesę złota. Co do mnie, sądziłem że

los nigdy nie zetknie mnie już z nieznośnym natrętem do którego czułem niewymowną odrazę, ale tymczasem inaczej się stało. Od pewnego czasu, kilka razy zauważyłem że Don Roque wymawiał nazwisko mego ojca. Przewidywałem że znajomość ta nie może być dla nas korzystną, zacząłem więc śledzić każdy jego krok i dowiedziałem się: że Busqueros miał krewnę nazwiskiem Gittę-Salez, którą chciał koniecznie wydać za mego ojca, wiedząc że Don Avadoro był człowiekiem majątnym a może nawet bogatszym niż powszechnie sądzono.

W istocie, piękna Gitta zajmowała już mieszkanie w domu na przeciwko ciasnej uliczki, na którą wychodził balkon mego ojca.

Ciotka moja była już naówczas w Madrycie. Nie mogłem wytrzymać aby jej nie uściskać. Zaczyna pani Dalanosa widząc mnie rozczuliła się do łez, wszelako zaklinała mnie, abym się nie pokazywał na świat dopóki czas mojej pokuty nie upłynie. Opowiedziałem jej zamiary Busquera. Uznała że należało koniecznie je zniweczyć i udała się po radę do wuja swego szanownego Teatyna Hieronima Santez, ale ten stanowczo odmówił jej swojej pomocy, utrzymując że zakonnik nie powi-

nien wdawać się w sprawy światowe, że wtedy tylko mieszał się do spraw rodziny gdy chodziło o pogodzenie zwaśnionych, lub zapobieżenie zgorszeniu, o wszystkich zaś wypadkach innego rodzaju wcale nie chciał sły-
 szeć. Tak oddany własnym moim środkom, chciałem zwierzyć się kawalerowi; ale wtedy musiałbym był powiedzieć mu kim jestem, czego bez przekroczenia zasad honoru w żaden sposób nie mogłem uczynić. Tymczasem więc jałem pilnie uważać na Busquera, który po odjeździe Soareza przyczepił się był do Toleda, wszelako z daleko mniejszą natarczywością i codziennie z rana przychodził pytać się czyli nie potrzebuje jego usług. —

Gdy cygan domawiał tych słów, jeden z jego bandy przyszedł zdawać mu sprawę z dziennych czynności i już go tego dnia więcej nie widzieliśmy.

DZIEŃ CZTERDZIESTY ÓSMY.

Nazajutrz gdy zebraliśmy się razem, cygan ulegając powszechnym naleganiom, tak dalej jął rozpowiadać:

DALSZY CIĄG HISTORJI NACZELNIKA CYGANÓW.

— Lopez Soarez już od piętnastu dni był szczęśliwym małżonkiem zachwycającej Inezy, Busqueros zaś dokonawszy, jak mu się zdawało, tego ważnego przedsięwzięcia, przypiął się do Toleda. Uprzedziłem kawalera o nactwem jego satelity, ale Don Roque sam czuł dobrze że tym razem należało być przezorniejszym. Toledo pozwolił mu przychodzić do siebie, i Busqueros wiedział że dla zachowania prawa, nienależało go nadużywać.

Pewnego dnia kawaler zapytał go, co znaćczyła jakaś intryga kobiety którą książę d'Arcos przez tyle lat się zajmował, i czyli

w istocie była ona tak zachwycająca, że książę tak długo się w niej kochał?

Busqueras wdział na twarz powagę i rzekł: « Wasza wielmożność jest bezwątpienia silnie przekonana o mojem poświęceniu, kiedy raczej pytać mnie o tajemnice dawnego mego opiekuna. Z drugiej strony szczyć się zbyt bliską znajomością waszej wielmożności i jestem pewien, że pewna lekkość jaką spostrzegłem w obejściu jego z kobietami, bynajmniej nie będzie do mnie się stosowała i że wasza wielmożność wydaniem tajemnicy, nie zechce narazić swego wiernego sługi. »

« Mości Busqueros — odparł kawaler — wcale nie prosiłem cię o mój panegiryk. »

« Wiem o tem — rzekł Busqueros — ale panegiryk waszej wielmożności zawsze znajduje się na ustach tych, którzy mają zaszczyt ściślejszych z nim stosunków. Historyę najlaskawiej przez waszą wielmożność wspomnianą, opowiadałem już młodemu negocjantowi, którego przed niedawnym czasem połączyliśmy z piękną Inezą. »

« Ale nie skończyłeś jej. Lopez Soarez powtórzył ją przed małym Awaritem który mnie z nią oznajmił. Stałaś na tem, gdy Frasqueta opowiedziała ci swoją historyę

w ogrodzie, książę d'Arcos zaś przebrany za jej przyjaciółkę, zbliżył się do ciebie i rzekł że szło mu o przyspieszenie wyjazdu Cornandeza i że chce aby ten nie poprzestał na pielgrzymce, lecz aby przez jakiś czas odpokutował w jednym ze świętych miejsc.»

« Wasza wielmożność — przerwał Busqueros — ma zadziwiającą pamięć. W istocie temi słowy odezwał się do mnie jaśnie oświecony książę, ponieważ jednak historia żony jest już waszej wielmożności znajomą, wypada w koniecznym porządku abym przystąpił do historii męża, i jakim sposobem ten zabrał znajomość ze straszliwym pielgrzymem nazwiskiem Hervas. »

Toledo zasiadł i dodał że zazdrościł księciu takiej kochanki jaką była Frasqueta, że lubił zawsze zuchwałe kobiety i że ta przewyższała pod tym względem wszystkie jakie dotąd znał. Busqueros uśmiechnął się dwuznacznie, poczem tak zaczął mówić.

HISTORIA CORNANDEZA.

— Małżonek ten, którego nazwisko mogłoby służyć wielu znajdującym się w jego stanie, był synem mieszczanina z Salamanki. Długo

w jednym z niższych biur zajmował jakiś podrzędny urząd, przyczem trudnił się hurtownym handlem materyałów aptecznych. Następnie odziedziczył niespodziewany spadek i postanowił, zwyczajem większej części jego rodaków, oddać się wyłącznie próżniactwu. Za całe zatrudnienie, uczęszczał do kościołów, miejsc publicznych i palił cygara.

Wasza wielmożność powie zapewne, że Cornandez z tak wyłącznem upodobaniem do spokojności, nie powinien był żenić się z pierwszą lepszą swawolnicą która stroiła mu miny przez okno; ale właśnie tu leży wielka zagadka serca ludzkiego. Któż z nas to czyni, czego sam żąda? Jeden całe szczęście upatruje w małżeństwie, przez całe życie myśli tylko nad wyborem i umiera nareszcie w bezżeństwie; drugi przysięga nigdy się nie żenić, pomimo to bierze jedną żonę po drugiej. Takim sposobem i nasz Cornandez ożenił się; z początku szczęście jego było niedoopisania, niebawem jednak począł żalować, zwłaszcza gdy ujrzał że mu siedział na karku nie tylko hrabia Penna Flor, ale nadto cień jego, który na męczarnie jego wymknął się z piekieł. Cornandez zesmutniał i nieodzywał się do nikogo. Wkrótce kazał przenieść swoje łóżko

do gabinetu gdzie stały klęcznik i kropielnica. w dzień rzadko kiedy widywał żonę i częściej niż kiedykolwiek chodził do kościoła.

Pewnego dnia stanął obok jakiegoś pielgrzyma, który wlepił weń tak przerażający wzrok, że Cornandez w najwyższej niespokojności musiał wyjść z kościoła. Wieczorem znowu spotkał go na przechadzce i odtąd zawsze i wszędzie go spotykał. Gdziekolwiek się ruszał, bystry i przenikliwy wzrok pielgrzyma do głębi go przejmował. Nareszcie Cornandez, przewyciężając wrodzoną mu bojaźliwość, rzekł: « Mości Panie, oskarżę WPana przed Alkadem jeżeli nie przestaniez mnie prześladować. »

« Prześladować! prześladować? — odparł pielgrzym ponurym i grobowym głosem. — W istocie prześladowają cię ale twoje sto dublonów dane za głowę i zamordowany człowiek który umarł bez sakramentów. Cóż? czyli nie zgadłem? »

« Kto jesteś? » zapytał Cornandez zdjęty strachem. « Jestem potępieńcem — odparł pielgrzym — ale ufam w miłosierdziu Bożem. Czy słyszałeś kiedy o uczonym Herwasie? » — « Obiła mi się o uszy jego historia — rzekł Cornandez. — Byłto bezbożnik, który

smutnie skończył.» — « Ten sam właśnie — rzekł pielgrzym. — Jestem jego synem, od przyjścia na świat naznaczonym piętnem potępienia; ale w zamian udzieloną mi została władza, odkrywania występków na czole grzesznika i sprowadzenia go na drogę zbawienia. Chodź za mną nieszczęsna igraszko szatana, dam ci się bliżej poznać.» Pielgrzym zaprowadził Cornandeza do ogrodu OO. Celestynów i usiadłszy z nim na ławce w najbardziej odosobionem miejscu przechadzki, tak mu jął rozpowiadać.

HISTORIA DIEGA HERWASA OJCA POTĘPIONEGO PIELGRZYMA.

« Nazywam się Błażej Herwas. Ojciec mój Diego Herwas wcześniej wysłany na uniwersytet w Salamance, niebawem odznaczył się szczególniejszym zapalem do nauk. Wkrótce daleko zostawił za sobą swoich spółzawodników, w kilku zaś latach więcej umiał od wszystkich professorów. Natenczas, zamknąwszy się w swojej izdebce z dziełami pierwszych mistrzów we wszystkich naukach, powziął pochlebną nadzieję osiągnięcia tejże

samej sławy, i postawienia kiedyś na równi z niemi swego nazwiska.

Do tej żądz, jak widzisz wcale nieumiarkowanej, Diego inną jeszcze przyłączył. Chciał bezimiennie wydawać dzieła i dopiero po uznaniu powszechnem ich wartości, nazwać się i otoczyć niezwykłym blaskiem. Temi zamiarami zajęty, osądził że Salamanka nie była widokrengiem, na którymby wspaniała gwiazda jego przeznaczenia mogła być roztoczyć dość promieniste światło, zwrocił więc swoje spojrzenia ku stolicy. Tam bezwątpienia ludzie odznaczający się gienijuszem, używali należnego im szacunku, holdów ogółu, zaufania ministrów a nawet łaski królewskiej.

Diego wyobraził sobie, że tylko stolica mogła dostatecznie ocenić jego znakomite zdolności. Młody nasz uczony miał przed oczyma geometryę Kartezjusza, analizę Harriota, dzieła Termata i Roberval'a. Spostrzegł jasno, że wielcy ci gienijusze otwierając drogę nauki, postępowali przecie niepewnym krokiem. Zebrał razem wszystkie ich odkrycia, dołączył wnioski o jakich dotąd nie pomyślano i przedstawił uproszczenia do pojawiających się wówczas logarytmów. Herwas przeszło rok pracował nad swoim dziełem. Powszechnie

książki o geometryi pisano po łacinie. Herwas, dla łatwiejszego upowszechnienia, napisał swoją po hiszpańsku, dla zaostrożenia zaś ogólnej ciekawości nadał jej tytuł: « Odsłonięte tajemnice analizy wraz ze świadomością nieskończoności wszelkiego rozmiaru. »

Gdy rękopis był już ukończonym, mój ojciec właśnie wychodził z małoletności i otrzymał w tym względzie uwiadomienie od swoich opiekunów. Panowie ci oświadczyli mu zarazem: że jego majątek, który z początku zdawał się składać z ośmiu tysięcy pistołów, z powodu wielu nieprzewidzianych wypadków zszedł na ośmset, które po urzędowem zakwitowaniu z opieki natychmiast mu będą wręczone. Herwas obliczył że właśnie potrzebował ośmiu set pistołów na wydrukowanie swego rękopisu. Czempredzej więc podpisał pokwitowanie z opieki, odebrał swoją sumę i podał rękopis do cenzury. Cenzorowie z wydziału teologicznego, zaczęli stawiać niektóre trudności z powodu że analiza nieskończenie małych, zdawała się sprowadzać do atomów Epikura, którą to naukę kościół surowo potępiał. Wytłumaczono im że tu chodziło o ilości oderwane, nie zaś o cząstki materialne, i cofnęli zaskarżenie

Z cenzury dzieło przeszło do drukarza. Był to wielki tom in quarto, do którego trzeba było ułać nowe charaktery algebryczne a nawet powiększyć jedną prassę. Tym sposobem wydanie 4,000 exemplarzy kosztowało siedmset pistolów. Herwas tem chętniej je poświęcił, że spodziewał się za każdy exemplarz dostać trzy pistole, co mu zapowiadało 2,300 pistolów czystego zysku. Aczkolwiek Herwas nie ubiegał się za zyskiem, atoli nie bez pewnej przyjemności myślał o zebraniu sobie okragłej sumki.

Druk zajął sześć miesięcy, Herwas sam trzymał korektę, i nudna ta praca więcej mu zabrała czasu aniżeli sam układ dzieła. Nareszcie największy wóz jaki można było znaleźć w Salamance, przywiózł do jego mieszkania ciężkie paki, na których zasadzał terażniejszą chwałę i przyszlą nieśmiertelność.

Nazajutrz, Herwas uspokojony radością i nadzieją, ośm mułów objuczył swoim dziełem, sam wsiadł na dziewiątego i ruszył drogą do Madrytu. Przybywszy do stolicy, zsiadł przed księgarzem Moreno i rzekł mu: « Mości Moreno, te ośm mułów, przywiozło dziewięć set dziewięćdziesiąt dziewięć exemplarzy dzieła, którego mam zaszczyt złożyć WPanu

tysięczny. Sto exemplarzy, możesz pan sprzadać na własną korzyść z pozostałych zaś zdasz mi rachunek. Pochlebiam sobie że wydanie, w przeciągu kilku tygodni będzie wyczerpanem i że będę mógł przedsięwziąć drugie, do którego dodam pewne objaśnienia, jakie podczas druku przysły mi do głowy.

Moreno zdawał się powątpiewać o tak szybkiej sprzedaży, ale widząc potwierdzenie cenzorów z Salamanki, przyjął paki do swego magazynu i wystawił w oknach kilka exemplarzy na sprzedaż.

Herwas wprowadził się do gospody i nie tracąc czasu natychmiast zajął się objaśnieniami, które chciał przyłączyć do drugiego wydania. Po upływie trzech tygodni nasz geometra osądził, że czas był udać się do Morena po pieniądze za sprzedane książki i że przynajmniej z tysiąc pistolów przyniesie do domu.

Poszedł więc i z niesłychanem zmartwieciem dowiedział się, że dotąd nie przedano ani jednego exemplarza. Wkrótce jeszcze dotkliwszy cios ugodził weń, wróciwszy bowiem do gospody, zastał nadwornego alguazila, który kazał mu wsiąść do zamkniętego powozu i zawiózł do wieży Segowskiej. Dzi-

wnem jest że postępowano z geometrą jak gdyby z więźniem stanu, ale przyczyna tego była następująca. Exemplarze wystawione w oknie u Morena, wpadły wkrótce w ręce kilku ciekawców uczęszczających do jego sklepu. Jeden z nich przeczytawszy tytuł: Odsłonięte tajemnice analizy, rzekł że musiał to być jakiś paszkwil przeciw rządowi; drugi przypatrzywszy się bacznie tytułowi, dodał ze złośliwym uśmiechem: że niezawodnie była to satyra na Don Pedra Alanyez ministra skarbu, gdyż *analiza* była anagramnem nazwiska *Alanyez*; następna zaś część tytułu o nieskończonościach wszelkiego rozmiaru, to jest tak o nieskończenie małych jak o nieskończenie wielkich, wyraźnie stosowała się do tego ministra, który w istocie materalnie był nieskończenie małym, nieskończenie grubym, moralnie zaś nieskończenie wyniosłym i nieskończenie poziomym. Łatwo wnieść z tego żartu, że niektórym przesiadującym u Morena wolno było wszystko mówić i że rząd przez szpary patrzył na ich często ostre przygryzki.

Ci którzy dobrze znają Madryt, wiedzą do jakiego stopnia lud w tem mieście jest wykształcony, że zajmują go te same wypadki

co i klasę wyższą, że podziela z nią te same zdania, i że dowcipy z wielkiego świata niebawem schodzą i pomiędzy nim krążą. To samo stało się z przycinkami wylęglami w sklepie Morena. Wkrótce wszyscy balwierze a za nimi i cały lud nauczył się ich na pamięć. Odtąd nienazywano inaczej ministra Alanyeza jak Señorem Analizą nieskończoności wszelkiego rozmiaru. Dygnitarz ten dość się już był przyzwyczaił do wstrętu jaki wzbudzał w ludzie i bynajmniej nań nie zważał, ale uderzony często powtarzanym przydomkiem, zapytał pewnego razu swego sekretarza o wytłumaczenie. Ten odpowiedział że początek temu żartowi dała pewna matematyczna książka którą sprzedawano u Morena. Minister nie wchodząc w bliższe szczegóły, kazał naprzód uwięzić autora, następnie skonfiskować wydanie.

Herwas nie znając powodu swej kary, zamknięty w więzy Segowskiej, pozbawiony piór i papieru, nie wiedząc kiedy go wypuszczą na wolność, postanowił dla uprzyjemnienia nudów, przypomnieć sobie w umyśle wszystkie swoje wiadomości, czyli przywieść sobie na pamięć wszystko co umiał z każdej nauki. Natenczas z wielkiem zadowoleniem

spostrzegł, że rzeczywiście objął cały obszar wiedzy ludzkiej i że byłby mógł, jako niegdyś Pik z Mirandoli, wytrzymać dysputę *de omni scibili*.

Herwas, zapalony żądzą wslawienia swego nazwiska w uczonym świecie, zamierzył napisać dzieło w stu tomach, które miało zawierać wszystko co ludzie w jego czasie wiedzieli. Chciał wydać je bezimiennie. Publiczność bezwątpienia byłaby myślała że dzieło to musiało być utworem jakiego naukowego towarzystwa, wtedy Herwas chciał wymienić się i od razu pozyskać sławę i zaszczyty wszechstronnego mędrca. Trzeba wyznać że siły jego umysłu dość odpowiadały temu olbrzymiemu zamiarowi. Sam czuł to bardzo dobrze i całą duszą oddał się zamiarowi, który pochlebiał dwóm namiętnościom jego duszy: miłości do nauk i miłości własnej.

Sześć tygodni szybko tym sposobem ubiegło Herwasowi, po upływie którego to czasu, nadzorca więzienia zawezwał go do siebie. Zastał tam pierwszego sekretarza ministra skarbu. Człowiek ten skłonił się przed nim z pewnym rodzajem poszanowania i rzekł: «Don Diego, chciałeś wejść w świat bez żadnego opiekuna i w tem całkiem niedorze-

cznie sobie postąpiłeś, gdyż oskarżono cię i nikt nie stanął w twojej obronie. Zarzucają ci że wystósowałeś przeciw ministrowi skarbu twoją analizę nieskończoności wszelkiego rozmiaru. Don Pedro słusznie rozgniewany, rozkazał spalić całe wydanie twego dzieła; ale poprzestając na tem zadość uczynieniu, raczy ci przebaczyć i ofiaruje ci w swoim biurze miejsce Condatora. Będziesz miał sobie powierzone pewne rachunki, których zagmatwanie czasami wprawia nas w kłopot. Wyjdź z tego więzienia do którego nigdy już więcej nie powrócisz. »

Herwas z początku wpadł w smutek, dowiedziawszy się że mu spalono dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć exemplarzy jego dzieła; ale ponieważ na czem innem zasadzał swoją sławę, wkrótce zatem pocieszył się i poszedł zająć ofiarowane mu miejsce.

Tam podano mu bilanse roczne, rachunki zamiany pieniędzy i inne tym podobne wyrachowania, które uskutecznił z niewypowiedzianą łatwością i pozyskał szacunek swoich naczelników.

Wyplacono mu naprzód pensyę za cztery miesiące i dano mieszkanie w domu przyległym do ministryum. —

Gdy cygan domawiał tych słów, odwołano go dla spraw hordy, musieliśmy więc do następnej doby, odłożyć zaspokojenie naszej niecierpliwości.

Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page. The text is arranged in approximately 15 horizontal lines, but the characters are too light and blurry to be transcribed accurately. The page shows signs of age, including yellowing and small brown spots.

DZIEŃ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY.

Zebraliśmy się wcześniej do jaskini; Rebeka uczyniła uwagę że Busqueros z wielką zręcznością ułożył swoje opowiadanie. «Zwyczajny intrygant — mówiła — byłby wprowadził widma okryte całunami dla przestraszenia Cornandeza, które byłyby wywarły nań przelotne wrażenie i ustąpiły za kilka chwilami rozważki. Tymczasem, on odmiennie postępuje i stara się tylko wpłynąć nań słowem swoim. Wszyscy znają historią Ateusza Herwasa. Jezuita Granada podał ją w przypiskach do swego dzieła. Potępiony pielgrzym udaje że jest jego synem, dla tem pewniejszego przepelniania zgrozą duszy Cornandeza.»

«Zbyt pośpieszasz się z twoim sądem — odrzekł stary naczelnik. — Pielgrzym mógł w istocie być synem Ateusza Herwasa i nie ma wątplenia, że to co mówi nie znajduje się

w legendzie o jakiej wspominaasz, gdzie za-
ledwie napotykamy niektóre szczegóły o jego
śmierci. Ale racz cierpliwie wysłuchać tej
historyi aż do końca.

DALSZY CIĄG HISTORJI DIEGA HERWASA, OPOWIADANY
PRZEZ SYNA JEGO, POTĘPIONEGO PIELGRZYMA.

— Powrócono więc Herwasowi wolność
i zapewniono mu sposób do życia. Praca
jakiej wymagano po nim, za ledwie kilka go-
dzin z rana mu zajmowała, mógł zatem swo-
bodnie oddać się wykonaniu swego zamiaru,
na który miał wyteżyć wszystkie siły swego
gienijuszu i doznać rozkoszy z niezmiernej
wiedzy. Nasz chciwy sławy polygraf, posta-
nowił o każdej nauce napisać jeden tom
in 8vo. Uważając że słowo było szczególną
własnością człowieka, pierwszy tom poświę-
cił gramatyce uniwersalnej. Wyłożył w nim
sztuczne składy gramatyczne, niesłychanie
urozmaicone, za pomocą których, w każdym
języku wyrażono rozmaite części mowy i na-
dawano rozmaite kształty, pierwszym ele-
mentom myśli. Następnie z myśli wewnę-
trznej człowieka, przechodząc do pojęć jakie

mu otaczające go przedmioty następująco,
 Herwas, poświęcił 2ⁱ tom, Historyi naturalnej
 w ogólności, 3ⁱ Zoologii, czyli nauce o zwie-
 rzętach, 4^y Ornitologii, czyli znajomości pta-
 ków, 5^y Ichtyologii, czyli nauce o rybach, 6^y
 Entomologii to jest nauce o owadach, 7^y na-
 uce o skorupiakach, 8^y Konchyologii, czyli
 znajomości muszel, 9^y Botanice, 10^y Geolo-
 gji, to jest nauce o składzie ziemi, 11^y Litho-
 logji, czyli nauce o kamieniach, 12^y Orykto-
 logji, albo nauce o fossyljach, 13^y Metallurgji,
 sztuce wydobywania i przetapiania kruszców,
 14^y Dokimastyce, to jest sztuce probowania
 tychże kruszców, 15^y tom sprowadzając czło-
 wieka do siebie samego obejmował Fizyologiję,
 czyli naukę o ciele ludzkim, 16^y Anatomję,
 17^y zawierał Miologję, to jest naukę o muszku-
 łach, 18^y Osteologję, 19^y Nerwologję, 20^y File-
 tologję, to jest znajomość chorób sprawianych
 przez nerwy, 21^y Diagnosie, 22ⁱ poświęcił
 Okulistyce, 23ⁱ Dentystyce, 24^y sztuce położni-
 czej. 25^y Symciotyce, czyli znajomości sym-
 ptomów, 26^y Klinice, to jest nauce uważania
 chorych złożonych, 27^y Terapeutyce, czyli
 sztuce uzdrawiania (najtrudniejszej ze wszy-
 stkich), 28^y Dietetyce, albo znajomości zacho-
 wywania się podczas choroby, 29^y Hygienie,

to jest sztuce utrzymywania zdrowia, 30^y Chirurgji, 31^y Farmaceutyce, 32ⁱ Weterynaryi.

Dalej następował 33ⁱ tom zawierający Fizykę ogólną, 34^y Fizykę szczególną praktyczną, 35^y Fizykę experimentalną, 36^y Meteorologię, 37^y Chemią i błędne nauki do jakich takowa zaprowadziła, mianowicie zaś: 38^y Alchemią i 39^y Filozofią hermetyczną.

Po tych umiejętnościach przyrody, następowały inne wynikające ze stanu wojny, o którym sądzą że także jest przyrodzonym człowiekowi, ztąd też 40^y tom zawierał Strategją czyli sztukę wojowania, 41^y Kastramentacyę, to jest sztukę zakładania obozów, 42ⁱ naukę o fortyfikacyach, 43ⁱ wojnę podziemną, czyli naukę o minach i podkopywaniu się, 44^y Pyrotechnię, to jest naukę o Artyleryi, 45^y Balistykę, czyli sztukę rzucania ciał ciężkich. Wprawdzie Artylerya usunęła ostatnią tę umiejętność, ale Herwas że tak powiem, wskrzesił ją uczonemi poszukiwaniami nad sztuką rzucania, wysoko cenioną w starożytności. Ztąd, przechodząc do sztuk uprawianych w pokoju, Herwas poświęcił 46^y tom Budownictwu lądowemu, 47^y Budownictwu morskemu, 48^y Kupiectwu i przemysłowi i 49^y Żegludze.

Poczem Herwas znowu uważając człowieka jako jednostkę wchodzącą w skład społeczeństwa w 50^m tomie umieścił Prawodawstwo, w 51^m Prawo cywilne, w 52^m Prawo kryminalne, w 53^m Prawo polityczne, w 54^m Historię, w 55^m Mitologię, w 56^m Chronologię, w 57^m Biografię, w 58^m Archeologię, czyli znajomość starożytności, w 59^m Numizmatykę, w 60^m Heraldykę, w 61^m Dyplomatykę, tę która jest nauką o nadaniach, ustawach i dokumentach, w 62^m Dyplomatykę drugą, czyli naukę o wyprawianiu poselstw i załatwianiu spraw politycznych, w 63^m Filologię, to jest ogólną znajomość języków i w 64^m Bibliografię, czyli naukę o rękopisach, książkach i wydaniach.

Następnie Herwas, zwracając się do oderwanych pojęć umysłowych, poświęcił 65 tom Logice, 66^y Retoryce, 67^y Etyce, czyli nauce moralnej, 68^y Estetyce, to jest analizie wrażeń jakie odbieramy za pomocą uczucia.

Tom 69^y obejmował Teozofię, czyli naukę o mądrości Boskiej, 70^y Teologię, 71^y Dogmatykę, 72ⁱ Topikę polemiki, czyli umiejętność ogólnych punktów zapatrywania się w dyskusyi, 73ⁱ Ascetykę, która wyklada teorię o ćwiczeniach pobożnych w najwyższej

exaltacji ducha, 74^y Exegezę, czyli wykład ksiąg pisma świętego, 75^y Hermeneutykę która je tłumaczy, 76^y Scholastykę, która jest sztuką dowodzenia w zupełnej niezależności od zdrowego rozsądku i 77^y Teologię Mistyki, czyli Panteizm Spiritualizmu.

Z Teologii, Herwas może nieco zbyt śmiało przeszedł w 78^m tomie do Onejrokrytyki, czyli nauki wykładania snów. Tom ten należał do najbardziej zajmujących. Herwas wykazywał w nim jakim sposobem kłamliwe i powierchowne błędy przez tak długi czas rządziły światem. Przekonywamy się bowiem z dziejów, że sen o siedmiu chudych i tłustych krowach zmienił konstytucyą Egiptu, którego ziemskie dzierżawy od tej pory stały się własnością monarszą. W pięćset lat potem, widzimy Agamemnona opowiadającego swój sen zebranym Grekom. Nareszcie w sześć wieków po zdobyciu Troi, Chaldecyzytowie babilońscy i wyrocznia Delficka, wykładali sny. 79^y tom zawierał Ornitomantyę, czyli sztukę wrózenia z lotu ptaków, używaną zwłaszcza przez wieszczów tokańskich. Seneka zachował był niektóre ich obrzędy.

80^y tom uczeńszy od drugich, obejmował pierwsze początki Magji, sięgając czasów Zo-

roastra i Otanesa a może być i Onanesa. Znajdowano w nim historię tej nieszczęsnej nauki, która ze wstydem naszego wieku, zbeczczyła jego początek i dotąd nie jest jeszcze zupełnie zarzuconą.

Tom 81^y poświęcony był kabale i różnym sposobom wróżenia, jako to: Rabdomancyi, albo zgadywaniu przyszłości za pomocą pręciaków, Chiromancyi, Geomancyi, Hydromancyi i t.p.

Ze wszystkich tych obłądów, Herwas nagle przechodził do najbardziej niezaprzeczo-nych prawd, tak więc tom 82ⁱ zawierał Geometrią, 83ⁱ Arytmetykę, 84^y Algebrę, 85^y Trigonometrię, 86^y Stereometrię, czyli naukę mierzenia brył z zastosowaniem jej do rznięcia kamieni, 87^y Geografię, 88^y Astronomią wraz z fałszywym jej plodem znanym pod nazwiskiem Astrologji.

W 89^m umieścił Mechanikę, w 90^m Dynamikę, czyli naukę o siłach działających, w 91^m Statykę, to jest naukę o siłach martwych zostających w równowadze, w 92^m Hydraulikę, w 93^m Hydrostatykę, w 94^m Hydrodynamikę, w 95^m Optykę i naukę o perspektywie, w 96^m Dioptrykę, w 97^m Katoptrykę, 98^m Geometrią analityczną, w 99^m Pierwsze pojęcia o ra-

chunku różniczkowym, nareszcie 100^y tom zawierał analizę, która według Herwesa była umiejętnością wszystkich umiejętności i ostatnią granicą do jakiej mógł przebić się rozum ludzki.

Głęboka znajomość stu rozmaitych nauk mogłaby się komu wydawać przechodzącą siły umysłowe jednego człowieka. Nie podpada jednak wątpliwości że Herwas o każdej z tych nauk napisał jeden tom, który zaczynał się od historii nauki a kończył na uwagach pełnych prawdziwej przenikliwości, nad sposobami dowania i że tak powiem rozszerzania we wszystkich kierunkach granic wiedzy człowieka. Herwas wystarczał wszystkiemu za pomocą oszczędności czasu i wielkiego wyrachowania w jego rozkładzie. Wstawał równo ze świtem i przygotowywał się do biórowej pracy przez uwagi zastosowane do działań jakie umiał skutecznie. Szedł do ministra na półgodziny przed wszystkimi i czekał na uderzenie naznaczonej godziny z piórem w rękę i głową wolną od wszelkich myśli tyczących się jego wielkiego dzieła. Gdy godzina wybiła, zaczynał swoje rachunki i dokonywał ich z niepojętą szybkością.

Następnie, ruszał do księgarza Moreno, któ-

rego umiał sobie pozyskać zaufanie, brał książki których potrzebował i wracał do domu. Po chwili, wychodził aby się czemś posilić, powracał do siebie przed pierwszą godziną i pracował aż do ósmej wieczorem. Po pracy, grał w piłkę z ulicznikami, wypijał filiżankę czekulady i szedł spać.

W niedzielę, wychodził za miasto i przepędzał dzień na rozmyślaniu i układaniu pracy na następny tydzień. Tym sposobem Herwas mógł rocznie, około trzech tysięcy godzin obrócić na dokonanie swego uniwersalnego dzieła, co po piętnastu latach utworzyło mu summe czterdziestu pięciu tysięcy godzin. W istocie nadzwyczajna ta praca została ukończoną, tak że nikt w Madrycie o niej się nie domyślał, Herwas bowiem z nikim się nie wdawał, nikomu o swoim dziele nie wspominał, chcąc nagle świat zadziwić, roztaczając przed nim tak niezmierny obszar wiedzy. Herwas ukończył więc swoje dzieło wraz z trzydziestym dziewiątym rokiem życia i cieszył się że zacznie czterdziesty, opromieniony już niezwykłym urokiem sławy.

Przyzwyczajenie do ciągłej pracy, podtrzymywane nadzieją, było dlań najmiłszem towarzystwem, zapelniającem wszystkie chwile

jego życia *). Teraz, stracił to towarzystwo i nuda której dotąd nie znał, zaczęła mu doskwierać. Stan ten zupełnie nowy dla Herwasa, wyrwał go z dotychczasowego systemu życia. Zamiast szukania samotności, odtąd widywano go po wszystkich publicznych miejscach. Tam zdawał się chcieć wszystkich zaczepiać, ale nie znając nikogo i nie będąc przyzwyczajonym do prowadzenia rozmowy, cofał się nie wyrzekłszy ani słowa. Wszelako pocieszał się tą myślą, że wkrótce cały Madryt pozna go, będzie poszukiwał i o nim tylko mówił.

Dręczony żądzą rozrywki, Herwas postanowił odwiedzić swoje rodzinne miejsce, niekczemne miasteczko, które spodziewał się wslawić. Od piętnastu lat za całą zabawę, pozwalał sobie tylko grać w piłkę z ulicznikami, teraz obiecywał sobie niewypowiedzianą rozkosz, gdy będzie mógł oddać się tejże rozrywce w miejscu gdzie spędził pierwsze lata dziecinne.

Przed wyjazdem jednak, chciał nacieszyć

*) Roku 1780 ex jezuita hiszpański nazwiskiem Herwas, wydał w Rzymie dwadzieścia tomów in 4. obejmujących zupełne traktaty o różnych naukach. Pochodził on z rodziny naszego Herwasa.

się widokiem swoich stu tomów uporządkowanych na jednym wielkim stole. Posiadał rękopis tego samego rozmiaru jaki miał wyjść z druku, powierzył go więc introligatorowi. Na grzbiecie każdej książki miał być wypisany tytuł każdej nauki i liczba porządkowa, od pierwszej na gramatyce uniwersalnej aż do setnej na analizie. Po upływie trzech tygodni, introligator przyniósł książki, stół zaś był już przygotowany. Herwas ułożył na nim tę znakomitą ilość książek i pozostałymi notami, uwagami i odpisami z radością zapalił w piecu. Następnie zamknął drzwi na kłódkę, przyłożył na nich swoją pieczęć i wyjechał do Asturyi.

Rzeczywiście widok miejsc rodzinnych, napenił Herwasa oczekiwaną rozkoszą, tysiące wspomnień słodkich i niewinnych wy-ciskało mu łzy z oczu, których źródło, zdawało się że dwadzieścia lat suchej i mozolnej pracy, zupełnie było wysuszyło. Nasz polygraf byłby chętnie resztę swego życia spędził w rodzinnem miasteczku, ale stutomowe dzieło, powoływało go do Madrytu. Rusza więc drogą do stolicy, przybywa do siebie, znajduje nienaruszoną pieczęć na drzwiach, otwiera i spostrzega sto swoich tomów podar-

tych na kawałki, ogołoconych z oprawy, z porozrzucanemi i pomieszanemi kartami na podłodze. Straszny ten widok pomieszał mu zmysły, padł śród szczątków swego dzieła i poztrafał uczucie własnego istnienia.

Niestety! przyczyna tej klęski była następująca. Herwas przedtem nigdy nie jadał w domu, szczury zatem tak licznie zamieszkujące po innych domach Madrytu, nie miały po co zaglądać do jego mieszkania. Ale inaczej się stało, gdy przyniesiono do izby sto tomów obłożonych świeżym klejem, i gdy tego samego dnia właściciel wyniósł się z mieszkania. Szczury, znęcone wonią kleju, zachęczone milczeniem, hurmem się zebrały, poprzewracały, pogryzły i podarły książki. Herwas wróciwszy do przytomności spostrzegł jak jeden z tych potworów, ciągnął do swojej nory, ostatnie karty jego analizy. Herwas nigdy dotąd nie uniósł się był gniewem, ale teraz nie mógł powstrzymać gwałtownego wybuchu, rzucił się na wydziercę jego geometryi transcendentalnej, uderzył głową o ścianę i powtórnie padł omdlały. Po chwili znowu wrócił do zmysłów, pozbierał szpargały rozproszone po całej izbie i wrzucił je do skrzyni. Poczem usiadł na skrzyni i od-

dał się najposepniejszym myślom. Niebawem dreszcz go wskroś przejął i biedny uczony wpadł w nerwową gorączkę, połączoną z maigną. Oddano go w ręce lekarzom. —

Odwołano cygana dla spraw jego hordy, odłożył więc do następnego dnia dalsze opowiadanie

The first of these is the fact that the
 number of cases of the disease has
 increased in the last few years.
 This is due to the fact that the
 disease is now being spread by
 the air-borne route. This is a
 new development and is a
 cause for concern. It is
 necessary to take steps to
 prevent the spread of the
 disease. This can be done
 by vaccination and by
 the use of disinfectants.
 It is also necessary to
 isolate cases of the disease
 and to keep them in bed
 until they are completely
 recovered. This will help
 to prevent the disease from
 spreading further. It is
 also necessary to educate
 the public about the disease
 and to encourage them to
 take the necessary precautions.
 This will help to reduce the
 number of cases and to
 prevent the disease from
 becoming a major public
 health problem.

DZIEŃ PIĘCDZIESIĄTY.

Nazajutrz naczelnik widząc wszystkich zebranych, tak zaczął mówić:

DALSZY CIĄG HISTORYI DIEGA HERWASA OPOWIADANY
PRZEZ SYNA JEGO, POTĘPIONEGO PIELGRZYMA.

— Herwas pozbawiony przez szcurów swojej sławy, opuszczony przez lekarzów, znalazł przecie opiekę w dogładającej go w jego chorobie kobiecie. Ta nieszczędziła mu starań i niebawem szczęśliwa kryzys ocaliła mu życie. Była to trzydziestoletnia dziewczyna, nazwiskiem Maryka, która z litości przyszła się nim opiekować, wynagradzając mu uprzejmość z jaką czasami wieczorem rozmawiał z jej ojcem szewcem z sąsiedztwa. Herwas, przyszedłszy do zdrowia, uczuł całą wdzięczność jaką był jej winien. « Maryko — rzekł do niej — ocaliłaś mi ży-

cie i osładzasz teraz mój powrót do zdrowia. Powiedz, co mogę dla ciebie uczynić? » — « Mógłbyś pan uczynić mnie szczęśliwą — odpowiedziała — ale nie śmiem powiedzieć jakim sposobem. » — « Mów — przerwał Herwas — i bądź pewną że uczynię wszystko co będzie w mojej możności. » — « A gdybym — rzekła Maryka — prosiła abyś się ze mną ożenił. » — « Z największą chęcią, z całego serca — odrzekł Herwas — będziesz mnie żywiła gdy będę zdrow, będziesz mnie pielęgnowała podczas choroby i obronisz mnie od szurów w razie gdybym na jaki czas wyjechał z domu. Tak jest Maryko, ożenię się z tobą, kiedy tylko sama zechcesz i im prędzej to się stanie, tem lepiej. »

Herwas nie odzyskawszy jeszcze zupełnie sił, otworzył skrzynię zawierającą szczątki jego encyklopedyi. Chciał pozbierać szpargały i wpadł w recydywę, która go mocno osłabiła. Gdy wreszcie wrócił do zdrowia, natychmiast poszedł do ministra skarbu, przedstawił że pracował przez piętnaście lat i wykształcił uczniów którzy byli w stanie go zastąpić, że nadwerężył sobie zdrowie i prosił o uwolnienie go od służby i udzielenie mu dożywotniego wsparcia wyrównują-

cego polowie jego płacy. W Hiszpanji ten rodzaj łaski nie jest trudnym do otrzymania, Herwas otrzymał czego żądał i ożenił się z Maryką.

Wtedy nasz uczony, zmienił sposób życia, najął mieszkanie w oddalonej części miasta i postanowił nie ruszyć się z domu, dopóki napowrót nie uzupełnił swoich stu tomów. Szczury pogryzły wszystkie papier przyklejony do grzbietu książki i pozostawiały tylko połowy kartek, które były podarte. Wszelako Herwas obdarzony niesłychaną pamięcią, potrafił powoli dojść ładu. Tak zajął się powtórnie wykończeniem swego dzieła. W tym samym czasie wydał drugie całe odmiennego rodzaju. Maryka wydała mnie na świat, mnie potępionego pielgrzyma. Ach, niestety, dzień mego urodzenia był uroczystym w krainach piekielnych, wieczne płomienie tego straszliwego pobytu rozgorzały nowym blaskiem i szatany podwoiły męczarnie potępionych, aby tem więcej cieszyć się ich wyciem. —

Pielgrzym domawiając tych słów zdawał się być pogrążonym w głębokiej rozpacz, zalał się łzami i zwracając się do Cornandeza rzekł: « Nie mam dość siły do dalszego dzisiaj opowiadania. Przyjdź tu jutro o tej samej

godzinie i nie waż się uchybić, idzie tu o twoje zbawienie lub ztratę. »

Cornandez wrócił do domu, z duszą przepełnioną nowym przestraczem; w nocy, nieboszczyk Penna Flor znowu go obudził i liczył mu nad uchem dublony, od pierwszego aż do setnego. Nazajutrz, udał się do ogrodu OO. Celestynów i zastał tam już pielgrzyma, który tak dalej mówił:

— Po przyjściu mojem na świat, matka moja wkrótce umarła. Herwas znał tylko przyjaźń i miłość z określenia tych dwóch uczuć jakie umieścił był w 77 tomie swego dzieła. Strata jego małżonki dowiodła mu, że także był stworzonym do przyjaźni i miłości. W istocie, tym razem w głębszy wpadł smutek aniżeli gdy szczury pożarły mu jego stutomowe dzieło. Mały domek Herwasa, trząsł się od krzyków jakimi go napelniałem. Niepodobna było dłużej mnie w nim zostawić. Dziad mój szewc, przyjął mnie do siebie uszczęśliwiony, że miał w swoim domu wnuka, który był synem contadora i szlachcica.

Dziad mój, uczciwy rzemieślnik, używał przyzwoitego bytu. Posyłał mnie do szkół, gdy zaś doszedłem szesnastu lat, sprawił mi wykwitny ubiór i pozwolił w szczęśliwym

próżniactwie, przechadzać się po ulicach Madrytu. Znajdował że był dość wynadgrodzonym za swoje trudy, gdy mógł powiedzieć *My nieto el hijo del contador*, mój wnuk, syn contadora. Ale pozwól żebym wrócił do mego ojca i zbyt znajomego smutnego jego losu. Oby mógł on posłużyć i za przykład i za naukę dla bezbożników.

Diego Herwas, przez ośm lat naprawiał szkodę zrzadzoną mu przez szczury. Dzieło było już prawie ukończonem, gdy dzienniki zagraniczne które wpadły mu w ręce, doniosły mu, że mimo wiedzy jego, nauki od tego czasu znacznie były postąpiły. Herwas, westchnął nad tem powiększeniem jego pracy, wszelako nie chciał aby dzieło jego niebyło zupełnem, dodał więc do każdej nauki nowo poczynione odkrycia. Praca ta, zajęła mu cztery lata. Tak więc dwanaście lat przepędził, nie wychodząc prawie z domu i wiecznie ślęcząc nad swoim dziełem.

Takowy tryb życia zniszczył jego zdrowie. Dostał boleści w piersiach, paraliżu w krzyżach, kamienia i podagry. Natomiast stutowa encyklopedia była skończoną. Herwas zaprosił do siebie księgarza Moreno, syna tego samego, który niegdyś wystawił na sprzedaż

jego nieszczęśliwą analizę i rzekł mu: « Mości Moreno, oto widzisz przed sobą sto tomów które zawierają w sobie cały obszar wiadomości. Encyklopedia ta przyniesie zaszczyt twemu zakładowi, a nawet mogę powiedzieć, całej Hiszpanji. Nie żądam żadnej zapłaty za rękopis, racz tylko najlaskawiej wydrukować go, ażeby pamiętna moja praca nie była całkiem straconą. »

Moreno przejrzał wszystkie tomy, bacznie im się po kolei przypatrzył i rzekł: « Chętnie podejmuję się dzieła ale musisz Don Diego skrócić je do 25^u tomów. »

« Zostaw mnie — odparł Herwas z najwyższem oburzeniem — zostaw mnie, wracaj do twego sklepu i drukuj ramoty romantyczne lub głupio uczone, które wstydem okrywają Hiszpanią. Zostaw mnie pan z mojem dziełem i moim gienijuszem, na którym gdyby się ludzkość była umiała poznać, byłaby mnie otoczyła czcią i poszanowaniem. Ale teraz nie już nie wymagam od ludzi, a tem mniej od księgarzy. Zostaw mnie pan. » Moreno odszedł, Herwas zaś wpadł w niepomowaną rozpacz. Ciągłe miał przed oczyma swoje sto tomów, dzieci jego gienijuszu, poczęte z rozkoszą, wydane z bolem, które

opromieniły mu przyszłość nadzieją a teraz tonęły w falach zapomnienia. Widział że zmarnował całe życie i zniszczył byt swój w terażniejszości i przeszłości. Wtedy to umysł jego wyćwiczony w przenikaniu tajemnic przyrody, na nieszczęście zwrócił się do zgłębiania przepaści nieszczęść ludzkich, i im bardziej przemierzał tę głębię, tem widoczniej, wszędzie złe tylko odkrywał, nareszcie prócz złego nic więcej nie widział i zawołał w duchu: «Stwórco złego, powiedz mi kim jesteś?» Herwas sam przeląkł się tej myśli i chciał wysledzić, czyli istnienie złego pociągało za sobą konieczność stworzenia. Następnie daleko obszerniej jał zastanawiać się nad tą zagadką. Obrócił się do przyrody i przypisał materji energiją, która zdawała mu się wszystko tłumaczyć, bez zadnej przyczyny stworzenia.

Co się tyczy człowieka i zwierząt, przyznawał początek ich bytu rodzącemu kwasowi, który fermentował w materji, nadawał jej stałe kształty, tak samo prawie jak kwasy krystalizujące zasady alkaliczne i ziemne w mniej więcej podobne do siebie polygony. Uważał materje lepkie, wydawane przez wilgotne drzewo, jako ogniwo łączące krystalizacyą fossyljów z utworzeniem roślin i zwie-

rzą, a które wykazywało jeżeli nie tożsamość, to przynajmniej nader ściśle stosunki.

Herwas, pełen nauki, z łatwością roztoczył fałszywy swój system sofistycznych dowodów, zdolny do obłąkania mniej dzielnych umysłów. Tak na przykład znajdował że mól, należąc do dwóch rodzajów, mógł być przyrównanym do soli pomieszanych zasad, których krystalizacya jest mętną i niewyraźną. Fermentacya cząstek ziemi z niektórymi kwasami, zdawała mu się przybliżyć do fermentacyi lepkiej, roślinnej. Te zaś uważał jako początek życia, które dla braku przyjaznych okoliczności, nie mogło dostatecznie się rozwinąć.

Herwas, zauważył że kryształy w tworzeniu ich, zgromadzają się w najświetlejszej części naczynia i z trudnością ścinały się w braku światła. Ponieważ zaś światło równie jest przyjaznem roślinności, poczytał więc płyn światła za jeden z żywiołów, z których składa się kwas uniwersalny ożywiający przyrodę. Z drugiej strony, widział że światło po pewnym przeciągu czasu, czerwieniło papier błękitny i to był jeszcze jeden powód, dla którego rzeczony kwas w niem odkrywał.

Herwas wiedział że w wysokiej szerokości

geograficznej, około biegunów, krew w braku dostatecznego ciepła była wystawioną na zakalizowanie się i że dla zaradzenia temu stanowi, należało używać kwasów. Z tego wniosł, że kwas mógł pod pewnym względem zastąpić ciepłik, że zatem ten ostatni musiał być rodzajem kwasu, lub przynajmniej jednym z żywiołów kwasu uniwersalnego.

Herwas wiedział że grzmoty kwasily i wprowadzały fermentacyę do wina. Czytał był w Sanchoniatonie: że na początku świata, gwałtowne grzmoty rozbudziły stworzenia powołane do życia, i nieszczęśliwy nasz uczo-ny nie lękał się oprzeć na tej pogańskiej kosmogonji, dla dowiedzenia jedynie, że materya piorunu mogła była wprawić w działanie kwas rodzący, nieskończenie rozmaity ale stały w przeradzaniu się w tychże samych kształtach.

Herwas starając się przeniknąć tajemnicę stworzenia, powinien był odnieść całą sławę do stwórcy i oby był tak uczynił; ale jego anioł stróż go opuścił i umysł jego obłąkany pychą wiedzy, rzucił go bezbronno obłędem wyniosłych duchów, których upadek pociąga za sobą zgubę świata. Niestety! podczas gdy Herwas wznosił swoje grzeszne

myśli nad sfery pojęcia ludzkiego, blizka zagrażała jego śmiertelnej powłoce. Na domiar cierpień, niewypowiedziane boleści zaczęły rozdzierać mu płuca; paraliż odjął mu władzę w lewej ręce i przechodził już do prawej. Jednem słowem, czarna hypokondrya niszczyła siły jego duszy i ciała zarazem. Lękał się świadków moralnego swego poniżenia, odepchnął moje starania i nie chciał wcale mnie widzieć. Stary jakiś inwalid, zużywał resztki sił na krzątanie się koło niego. Wreszcie i ten rozniemógł się i mój ojciec musiał zgodzić się na moją obecność, ale wkrótce dziad mój także zapadł na zgnilą gorączkę. Chorował tylko przez pięć dni i czując się blizkim śmierci, zawołał mnie do siebie i rzekł: «Błażeju, mój drogi Błażeju, chcę cię jeszcze ostatni raz pobłogosławić. Urodziłeś się z ojca uczonego, któremu oby niebo było mniej udzieliło tej nauki. Szczęściem dla ciebie, dziad twój jest człowiekiem prostym w wierze i uczynkach, i wychował cię w tejże samej prostocie. Nie daj się obłąkać twemu ojcu; od kilku lat niedba wcale o religiję i zdań jego powstydzilby się nie jeden heretyk. Błażeju, nie ufaj mądrości ludzkiej, za kilka chwil ja będę mędrszym od wszy-

stkich ziemskich filozofów — dziecie moje, błogosławię cię — umieram. » W istocie to mówiąc wyzionął ducha.

Oddałem mu ostatnią posługę i wróciłem do mego ojca, którego od czterech dni nie byłem widział. Śród tego, stary inwalid także był umarł, i bracia miłosierni zajęli się jego pogrzebem. Wiedziałem że mój ojciec był sam i chciałem poświęcić się jego usłudze, ale wchodząc do niego, nadzwyczajny widok uderzył mój wzrok i zatrzymałem się w przedpokoju, zdjęty niewypowiedzianem uczuciem zgrozy.

Mój ojciec pozrzucał był suknie i owionął się prześcieradłem naksztalt całunu. Siedział na łóżku i wpatrywał się w zachodzące słońce. Po długim wpatrywaniu się, podniósł głos i rzekł: « Gwiazdo, której gasnące promienie po raz ostatni obily się o moje oczy, dla czegoż oświeciłaś dzień mojego urodzenia? czyliż chciałem przyjść na świat i po co nań przyszedłem? Ludzie wmawiali we mnie że miałem duszę i zająłem się kształceniem jej kosztem mego ciała. Pracowałem nad moim umysłem, ale szczury mnie pożarły, księgarze mną wzgardzili — nie ze mnie nie pozostanie — umieram cały, bez śladu, tak jak gdybym

nie był się narodził. Nicości! pochłoń twoją ofiarę!» Herwas, jakiś czas utonął w posępnych dumaniach, następnie wziął kubek, który zdawał mi się napelnionym starem winem, wznosił oczy ku niebu i rzekł: «Boże! jeżeli gdzie jesteś, zlituj się nad moją duszą, jeżeli mam jaką!» To mówiąc wychylił kubek; postawił go na stole, następnie położył rękę na serce jak gdyby doświadczał w niem nieznośnych boleści. Herwas przygotował był drugi stół, na którym poukladał był poduszki, położył się więc na nim, splótł ręce na krzyż i słowa więcej nie wymówił.

Dziwisz się że widząc te przygotowania do samobójstwa nie rzuciłem się na kubek, lub też że widząc mego ojca leżącego, nie zwołałem o pomoc. W tej chwili ja sam się temu dziwię; ale z drugiej strony pamiętam, że jakaś nadprzyrodzona siła przykuła mnie na miejscu, tak że nie miałem żadnego ruchu wolnego. Włosy tylko najeżyły mi się z przestraszu.

Bracia miłosierni, którzy pogrzebali byli naszego inwalida, znaleźli mnie w tej postawie pełnej zgrozy i zadziwienia, spostrzegli mego ojca leżącego na stole i owiniętego w prześcieradło i zapytali mnie, czyli już

umarł? — Odpowiedziałem, że nic o tem nie wiedziałem. — Wtedy zapytali się kto go owinał prześcieradłem? Odpowiedziałem że sam to sobie uczynił. Przypatrzyli się ciału i w istocie znaleźli je bez życia. Ujrzeni stojący obok kubek z resztką płynu i zabrali go z sobą, dla przekonania się czyli nie było w nim śladów trucizny. Poczem wyszli wzruszając ramionami i zostawili mnie w nieopisanem pogńębieniu. Następnie zeszli się ludzie z parafji, zadawali mi też same zapytania i wyszli mówiąc: « Umarł jak żył, pogrzeb jego nie do nas należy. »

Zostałem się sam na sam z nieboszczykiem. Straciłem był zupełnie odwagę a znią razem władzę czucia i myślenia. Rzuciłem się w krzesło na którem niedawno siedział jeszcze mój ojciec i wpadłem znowu w letarg w jakim mnie znaleźli ludzie z parafji.

Następnęj nocy, niebo pokryło się chmurami, gwałtowna zawierucha zdawała się przelatywać obok mnie i pogrążyła mnie w większej niż przedtem ciemności. Śród tej ciemności, zdało mi się że poznaję jakieś fantastyczne kształty — następnie, że ciało mego ojca wydało długi przeciągły jęk, który dalekie echa roznosiły śród nocy po przestrzeni.

Chciałem wstać, ale niepojęte uczucie przykuło mnie na miejscu — nie mogłem się ruszyć, lodowaty dreszcz przebiegł po moich członkach. Krew gorączkowo biła mi w żyłach, dziwaczne marzenia obłąkały moją duszę, sen zaś opanował zmysły.

Nagle zerwałem się i ujrzałem sześć wysokich świec woskowych, zapalonych naokoło ciała i jakiegoś człowieka siedzącego naprzeciw mnie, który zdawał się oczekiwać chwili mego przebudzenia. Wyraz twarzy był wspaniały i rozkazujący. Wzrostu był wyniosłego, włosy czarne nieco kędzierzawe spadały mu na czoło, wzrok miał bystry i przenikliwy ale zarazem łagodny i przyciągający, wreszcie nosił na sobie kryzę i płaszczyk szary, podobne do tych w jakie szlachta na wsiach się odziewa.

Nieznajomy spostrzegłszy że się obudziłem, uśmiechnął się do mnie wdzięcznie i rzekł: « Synu mój, tak cię nazywam, uważam cię bowiem jak gdybyś do mnie należał, Bóg i ludzie opuścili cię, ziemia wkrótce zamknie się nad tym mędrcom który dał ci życie, ale my cię nigdy nie opuścimy.. »

« Mówisz pan — odrzekłem — że Bóg i ludzie mnie opuścili. Co się tyczy tych osta-

tnich masz słusność, nie sędzę jednak aby Bóg kiedykolwiek mógł opuścić jedno ze swoich stworzeń. »

« Uwaga twoja pod pewnym względem nie jest bezzasadną — przerwał nieznajomy — później jaśniej ci ją wytłumaczę. Tymczasem ażebyś przekonał się jak dalece się tobą zajmujemy, przyjmij tę kiesę z tysiącem pistołów. Młody człowiek powinien mieć namiętności i środki do zaspokajania ich, nie oszczędzaj złota i licz zawsze na nas. »

Po tych słowach, nieznajomy klasnął w dłonie, sześciu ludzi zamaskowanych weszło i uniosło ciało Herwasa. Świece pogasły i ciemność znowu ogarnęła izbę. Nie pozostałem w niej dłużej, omackiem udałem się do drzwi, wyszedłem na ulicę i ujrzawszy niebo zasiane gwiazdami, dopiero wolniej odetchnąłem. Tysiąc pistołów które czułem w kieszeni, nie mało przyczyniło się do dodania mi odwagi. Przebiegłem Madryt i przybyłem na koniec Prado, do miejsca gdzie później postawiono olbrzymi posąg Cybeli. Tam położyłem się na ławce i wkrótce twardym snem zasnąłem. —

Cygan domówiwszy tych słów, prosił nas

o pozwolenie odłożenia dalszego opowiadania
na dzień następny i w istocie już go więcej
nie ujrzelśmy.

DZIEŃ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY.

• Zebrano się o zwykłej godzinie. Rebeka obróciła się do starego naczelnika mówiąc: że historia Diega Herwasa jakkolwiek po części znana, mocno ją jednak zajęła. « Sądzę atoli, dodała, że zbyt wiele zadawano sobie zachodów dla oszukania biednego małżonka, którego można było łatwiejszym sposobem wyprowadzić w pole. Być może wszelako, że opowiadano historję Ateusza dla przejęcia tym większym przestachem struchlalej duszy Cornandeza. »

« Pozwól — odrzekł naczelnik — abym ci uczynił uwagę: że zbyt wczesnie wydajesz sąd o przygodach jakie mam zaszczyt opowiadać przed wami; książę d'Arcos był to wielki i wspaniały pan, można więc było dla przysłużenia mu się wynajdywać i udawać różne osoby: z drugiej zaś strony niema za-

dnego dowodu, ażeby w tym celu opowiadano Cornandezowi historję syna o której nigdy dotąd nie słyszałaś. Rebeka zapewniła naczelnika że opowiadanie jego ją zajmowało, poczem starzec tak dalej mówił:

HISTORIA BŁAŻEJA HERWASA CZYLI PIELGRZY-
MA POTĘPIONEGO.

« Mówiłem ci więc że położyłem się i zasnąłem na ławce przy końcu głównej alei w Prado. Słońce już wysoko się wzbilo gdy obudziłem się i jak sądzę sen mój przerwało uderzenie chustki którą poczułem na twarzy, ocknąwszy się bowiem spostrzegłem młodą dziewczynę, która chustką oganiała moją twarz od uprzykrzonego owadu. Daleko bardziej się jednak zdziwiłem, ujrawszy że głowa moja miękko spoczywała na kolanach drugiej młodej dziewczyny, której łagodny oddech, czułem w moich włosach. Budząc się nie uczyniłem żadnego gwałtownego poruszenia, śmiało więc udając że śpię, mogłem przedłużyć moje położenie. Zamknąłem oczy i wkrótce usłyszałem głos nieco surowy, ale bynajmniej nie przykry, który zwracając się

do moich piastunek, mówił: « Celjo, Zorillo, co wy tu porabiacie? myślałem że jesteście w kościele a tymczasem zastaję was tu przy pięknem nabożeństwie. »

« Ależ mam — odrzekła dziewczyna która mi służyła za poduszkę — czyliż nie mówiłaś nam że uczynki równą mają zasługę jak modlitwa i czyliż to nie miłosierny uczynek, przedłużyć sen biednemu młodzieńcowi który musiał bardzo przykrą noc przepędzić? »

« Zapewne — rzekł głos tym razem bardziej śmiejący się niż surowy — zapewne i w tem jest zasługa. Oto myśl która więcej dowodzi waszej niewiadomości niż pobożności, ale teraz moja ty miłosierna Zorillo, połóż łagodnie głowę tego młodzieńca na ławce i wracajmy do domu. » — « Ach kochana mammo — zawołała półgłosem młoda dziewczyna — patrz jak on spokojnie spi. Zamiast co go chcesz budzić, lepiejbyś uczyniła gdybyś mu odwiązała tę kryzę która go dusi. » — « Tak mu nawet bardziej do twarzy — rzekła Celja która dotąd nie była się jeszcze odezwała — teraz swobodniej oddycha, jakto dobre uczynki zaraz pociągają za sobą nadgodę. »

« Uwaga ta — rzekła matka — czyni zaszczyt twojemu sądowi o rzeczach, ale nie

trzeba za daleko posuwać miłosierdzia, dalej Zorillo, złóż łagodnie tę piękną głowę na ławce i chodźmy do domu.»

Zorilia ostrożnie podłożyła obie ręce pod moją głowę i cofnęła kolana. Pomyślałem na ówczas że nienależało już dłużej udawać śpiącego. Podniosłem się na ławce i otworzyłem oczy. Matka krzyknęła, córki zaś chciały uciekać. Zatrzymałem je. «Celjo. Zorillo — rzekłem — jesteście równie piękne jak niewinne; ty zaś pani która wydajesz się ich matką, dla tego tylko że wdzięki twoje są bardziej rozwinięte, pozwól abym zanim mnie opuścicie, poświęcił kilka chwil podziwieniu w jakie wszystkie trzy mnie wprawiacie. W istocie, mówiłem im szczerą prawdę. Celja i Zorilla byłyby doskonałemi pięknościami, gdyby wiek był dozwolił rozwinąć się ich wdziękom, matką zaś ich, zaledwie trzydziestoletnia kobieta, zdawała się najwięcej liczyć dwudziestą piątą wiosnę. Señor Caballero — rzekła mi ta ostatnia — jeżeli tylko udawałeś śpiącego, mogłeś się przekonać o niewinności moich córek i powziąć korzystne mniemanie o ich matce. Nie lękam się zmiany twego zdania, gdy cię poproszę abyś raczył nas odprowadzić do domu. Znajomość tak dziwnym

sposobem zaczęta, zasługuje aby się przemieniła w żąłość. »

Poszedłem z niemi i przybyliśmy do ich domu, którego okna wychodziły na Prado. Córki zajęły się przyrządzeniem czekulady, matka zaś posadziwszy mnie obok siebie rzekła: « Jesteś w domu może nieco za zbytowym na nasze terażniejsze położenie, ale najęłam go jeszcze w pomyślniejszych czasach. Dzisiaj, z chęcią odnajęłabym pierwsze piętro, ale nieśmiem tego uczynić; okoliczności w jakich się znajduję nie pozwalają abym kogokolwiek widywała. »

« Pani — odpowiedziałem — ja także mam powody dla których pragnę żyć w odosobnieniu i gdybyś pani nic temu nie miała do zarzucenia, z największem szczęściem zająłbym quarto principa, to jest pierwsze piętro. »

To mówiąc dobyłem kiesę i widok złota usunął przeszkody, jakieby nieznajoma mogła była mi postawić. Zapłaciłem stół i mieszkanie za trzy miesiące z góry. Ułożyliśmy się, że będą mi przynosić obiad do mego pokoju i że zaufany służący będzie mi usługiwał i załatwiał moje posyłki w mieście.

Gdy Celja i Zorilla wróciły z czekuladą, zawiadomiono je o warunkach naszej ugody.

Spojrzenia ich zdawały się obejmować w posiadanie moją osobę, któremu wzrök pelen zapalu matki, stawał tylko w poprzek. Dostrzegłem tę walkę zalotności i skutek jej zostawiłem przeznaczeniu, sam zaś wyłącznie zająłem się wprowadzeniem do mego nowego mieszkania. Znalazłem w niem wszystko czego potrzebowałem do wygodnego i przyjemnego życia. Raz Zorilla przynosiła mi atrament, to znowu Celja przychodziła ustawić na moim stole lampę i układać książki. O niczem nie zapomniano, każda z nich przychodziła osobno a gdy czasami się spotkały, dopieroż to były śmiechy, żarty, wesołość bez miary. Matka także miała swoją kolej. Ta zwłaszcza zajęła się mojem łóżkiem, kazała rozesać na niem prześcieradła z holenderskiego płótna, piękną jedwabną koldrę i stós poduszek. Urządzenia te zabrały mi cały poranek. Nadeszło południe. Zastawiono mi nakrycie w moim pokoju. Byłem w zachwyceniu. Z rozkoszą poglądałem na te trzy czarowne stworzenia, które prześcigały się w staraniach około mnie i z wdzięczności przyjmowały najlżejsze z mojej strony podziękowanie. Ale na wszystko jest czas, z przyjemności oddałem się zaspokojeniu mego głodu. Po obie-

dzie, wziąłem kapelusz i szpadę i wyszedłem do miasta. Nie raz używałem już przechadzki, ale nigdy z taką jak w ówczas przyjemnością. Czulem się pełnym zdrowia, życia i dzięki pieleszótom trzech kobiet, powziąłem sam o sobie korzystne wyobrażenie. Tak to zwykle młodzież o tyle się sama ceni, o ile zyskuje w tym względzie potwierdzenie płci pięknej.

Wstąpiłem do jubilera, gdzie nakupiłem sobie klejnotów i ztamtąd udałem się do teatru. Wieczorem wróciwszy do domu, zastałem trzy kobiety siedzące przederzwiami. Zorilla śpiewała przy towarzyszeniu gitary, dwie zaś drugie robiły siatkę.

« Señor Caballero — rzekła mi matka — zamieszkałeś w naszym domu, okazujesz nam zaufanie bez granic, a jednak nie pytasz co jesteśmy za jedne. Wypada wszelako o wszystkim cię uwiadomić. Dowiedz się zatem Señor, że nazywam się Inez Santarez i jestem wdową po Don Juanie Santarez korregidorze Hawany. Ożenił się był ze mną bez majątku, i tak samo mnie też zostawił z dwoma córkami które tu widzisz i bez żadnego sposobu do życia. Owdowiawszy, nędza moja wprawiła mnie w najwyższy kłopot i sama nie wiedziałam co począć, gdy niespodziewanie,

odebrałam list od mego ojca. Pozwolisz że przemilczę o jego nazwisku. Niestety! on także przez całe życie walczył z losem, narzeczcie jak mi to donosił w swem piśmie, fortuna uśmiechnęła mu się i został mianowany podskarbnym wojennym. Zarazem przysłał mi wexel na dwa tysiące pistołów i rozkaz bezwłocznego powracania do Madrytu. Przyjechałam więc i tego samego dnia dowiedziałam się że oskarżono mego ojca o zdradę stanu i uwięziono go w wieży Segowskiej. Tymczasem, ten dom najęto dla nas, wprowadziłam się więc i żyję w jak najściślejszem odosobnieniu, nie widując nikogo wyjąwszy pewnego młodego urzędnika z bióra ministerjum wojny. Przychodzi on donosić mi o biegu sprawy mego ojca. Wyjąwszy niego, nikt nie wie o naszych stosunkach z nieszczęśliwym więźniem.» Domawiając tych słów, pani Santarez załala się łzami.

« Nie płacz droga mamó — rzekła jej Celja — wszystko na świecie, a zatem i zmartwienia, kończą się kiedyś. Widzisz, już spotkałyśmy tego młodego Señora, którego postać jest tak uprzedzającą i zdaje się wróżyć nam pomyślność.» — « W istocie — dodała Zorrilla — od czasu jak się do nas wprowa-

dził, wesołość zastąpiła miejsce dawnych nudów. »

Pani Santarez, rzuciła na mnie na pół tęschne i czule wejrzenie, córki także spojrzwały na mnie, poczem spuściły oczy, zapłonily się, zmieszwały i wpadły w zamyślenie. Nie było wątpliwości, wszystkie trzy kochały się we mnie, stan ten przepelniał pierś moją szczęściem.

Śród tego, zbliżył się do nas jakiś kształtny, wysoki młodzieniec. Wziął panią Santarez za rękę, odprowadził na stronę i długo wiodł z nią cichą rozmowę. Wróciwszy z nim, rzekła do mnie: « Señor Caballero, oto jest Don Krzysztof Sporadoz, o którym ci wspominałam, jedyny gość jakiego widzujemy w Madrycie. Chciałam także sprawić mu przyjemność znajomości z tobą, ale chociaż mieszkamy w jednym domu, dotąd nie wiem jednak z kim mam zaszczyt mówienia. »

« Pani — odpowiedziałem — jestem szlachcicem z Asturyi, nazywam się Seguanes. » Sądziłem że lepiej uczynię gdy zamilczę o powszechnie znajomem nazwisku Herwas.

Młody Sporadoz przemierzył mnie od stóp do głowy zuchwałem spojrzeniem i zdawał się odmawiać mi nawet ukłonu. Weszliśmy

do domu, gdzie pani Santarez kazała zastawić lekką wieszczkę z ciast i owoców. Byłem jeszcze głównym celem nadszkiełowań trzech piękności, ale spostrzegłem wszelako że i dla nowo przybyłego nieszczędzono spojrzeń i uśmiechów. Ubodło mnie to, chcąc zatem na siebie zwrócić całą uwagę, podwoilem grzeczności i starałem się, o ile mogłem, rozwinąć mój dowcip. Śród szumnego jakiegoś mego frazesu, Don Krzysztof, założył prawą nogę na lewą i przypatrując się podeszwie swego trzewika rzekł: « W istocie, od czasu jak szewc Moragnon rozstał się z tym światem, niepodobna dostać w Madrycie porządnego trzewika. » To mówiąc spojrział na mnie z ukosa.

Szewc Moragnon był właśnie tym samym moim dziadem macierzystym, który mnie wychował i dla którego przechowywałem w sercu najżywszą wdzięczność. Pomimo to zdawało mi się, że nazwisko jego szpeciło moje drzewo genealogiczne. Sądziłem że wyjawienie tajemnicy mego urodzenia, zgubiłoby mnie w przekonaniu moich pięknych gospodyń. Natychmiast postradałem wszelką wesołość. Rzucałem na Don Krzysztofa czasami pogardliwe, czasami dumne i rozgniewane

spojrzenia. Chciałem zabronić mu wstępu do naszego domu. Gdy odszedł, pobiegłem za nim chcąc mu to oświadczyć. Dogoniłem go przy końcu ulicy i wypowiedziałem com był sobie wprzód już w myśli ułożył. Mniemałem że się rozgniewa, ale przeciwnie, przybrał postać wdzięczną i wziął mnie za brodę jak gdyby chciał być się ze mną popieścić, ale nagle podniósł mnie gwałtownie, podstaawił nogę i rzucił mnie tak silnie że upadłem nosem w rynsztok. Z początku nie wiedziałem co się ze mną stało, wkrótce jednak podniosłem się, okryty błotem i miotany niewypowiedzianą wściekłością. Wróciłem do domu. Kobiety udały się już były na spoczynek, ale ja napróżno usiłowałem zasnąć. Dwie namiętności mnie dręczyły: miłość i nienawiść. Ostatnia ogarniała tylko Don Krzysztofa, pierwsza zaś zawisła pomiędzy trzema pięknosciami. Celja, Zorilla i matka ich, kolejno mnie zajmowały, uroczę ich obrazy krzyżowały się w moich marzeniach i przez całą noc niepokoiły.

Usnąłem nad rankiem i późno już było gdy się obudziłem. Otworzywszy oczy, ujrzałem panią Santarez siedzącą u nóg moich. Zdawała się zapłakaną. « Mój młody gościu —

rzekła — przyszedłam do ciebie po schronienie. Niegodziwi ludzie na górze, żądają odemnie pieniędzy których nie jestem w stanie wypłacenia. Niestety! mam długi, ale czyliż mogłam zostawić te biedne dzieci bez odzieży i pokarmu. Biedaczki i tak muszą sobie wszystkiego odmawiać.» Tu pani Santarez zaczęła szlochać, oczy jej łzami zalane, mimowolnie obróciły się ku mojej kiesie która tuż obok mnie leżała na stoliku. Pojąłem tę niemą prośbę. Wysypałem złoto na stolik, rozdzieliłem je na dwie równe połowy i ofiarowałem jedną pani Santarez. Nie spodziewała się tak nadzwyczajnej wspaniałości. Z początku oniemiała z podziwienia, następnie ujęła mnie za ręce, jęła całować je z uniesieniem, przyciskać do serca, poczem zebrała pistole mówiąc: « Ach moje dzieci, moje drogie dzieci! . » Wkrótce nadeszły córki i także okryły mnie pocałowaniem. Wszystkie te dowody przywiązania, rozogniły we mnie krew i tak już wzburzoną przez nocne marzenia.

Ubrałem się czempredzej i chciałem wyjść na taras naszego domu. Przechodząc obok pokoju młodych dziewcząt, usłyszałem jak płakały i łkając ścisnęły się nawzajem. Za-

trzymałem się na chwilę. Celja spostrzegła mnie i zawołała: « Posłuchaj mnie, nasz kochany, drogi, najmiłszy gościu. Znajdujesz nas w stanie najwyższego wzburzenia. Od czasu naszego urodzenia, żadna chmurka nie zasępiła naszych wzajemnych stosunków. Przywiązanie więcej niżeli sama krew nas łączyło. Od chwili twego przybycia, rzeczy całkiem się zmieniły. Zazdrość wkradła się do naszych dusz i może byłybyśmy się znie nawidziły, łagodny jednak charakter Zorilli zapobiegł straszliwemu nieszczęściu. Padła w moje objęcia, pomieszały się nasze łzy i serca zbliżyły. Ty kochany nasz gościu, musisz uzupełnić naszą zgodę. Przyrzeknij obie nas zarówno kochać, i zarówno dzielić między nas twoje pieszczoty.» Cóż miałem odpowiedzieć na tak płomienne i nalegające wyrazy. Po kolei uspokoiłem obie dziewczęta. Osuszyłem ich łzy i smutek ich ustąpił najtkliwшему szaleństwu.

Wyszliśmy razem na taras, gdzie pani Santarez, wkrótce się z nami złączyła. Radość z wydobycia się z długów, opromieniła jej twarz. Zaprosiła mnie na obiad i dodała, że radaby cały dzień ze mną przepędzić. Zaufanie i zażyłość przewodniczyły naszej uczie.

Służących oddalono i dziewczęta kolejno nam usługiwały. Pani Santarez wycieńczona doznaniem wzruszeniami, wypila dwa kieliszki starego alikantu. Żywe jej oczy, tem więcej po tem zabłysły; rozweselala i zdaje się że tym razem obie córki razem poczuły żądło zazdrości; wszelako przez uszanowanie dla matki nie śmiały się jej oddawać. Pomimo jednak skutku wina, nie podobna było nic zarzucić jej obejściu. Z mojej strony, myśl owładnięcia jej sercem, wcale nie przeszła mi przez głowę. Płeć i wiek dostatecznie zastępowały nam miejsce zalotności. Stosunek natury, rozlewał na nasze obejście niewypowiedziany urok, tak że z trudnością myśleliśmy o rozłączeniu. Zachodzące słońce byłoby nas rozdzieliło, ale zamówilem chłodniki u sąsiedniego cukiernika. Wszyscy z przyjemnością powitaliśmy ich zjawienie się, tym sposobem bowiem mogliśmy pozostać razem. Zaledwo zasiedliśmy do stołu gdy drzwi otworzyły się i wszedł Don Krzysztof Sporadoz. Wkroczenie szlachcica francuzkiego do haremu sultana nie byłoby sprawiło przykrzejszego wrażenia od tego, jakiego doznałem na widok Don Krzysztofa. Pani Santarez i jej córki nie były wprawdzie memi małżonkami i nie

składały mego haremu, ale serce moje pod pewnym względem zawładnęło niemi i nadwzięcie moich praw, zadawało mi śmiertelną boleść.

Don Krzysztof udał że wcale na mnie nie zważa, ukłonił się kobietom, odprowadził panią Santarez na koniec tarasu, długo z nią rozmawiał, poczem nieproszony zasiadł do stołu. Jadł, pił i milczał, gdy jednak wszczęła się rozmowa o walkach byków, odepchnął swój talerz i uderzywszy pięścią w stół, rzekł: « Na świętego Krzysztofa mego patrona, dla czegoż muszę ślęczyć w tem przekłętym biurze ministra? Wolalbym być ostatnim torreadorem w Madrycie, aniżeli przewodniczyć wszystkim kortezom Kastylji. » To mówiąc wyciągnął rękę jak gdyby chciał był przebić byka i wystawił na nasze podziwienie olbrzymie składy swego ramienia. Następnie dla pokazania swojej siły, umieścił wszystkie trzy kobiety w jednym krześle i zaczął je nosić po całym pokoju.

Don Krzysztof taką przyjemność znajdował w tej zabawie, że starał się o ile możności ją przedłużać. Nareszcie wziął kapelusz i szpadę i zabierał się do wyjścia. Dotychczas nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, wtedy

jednak obracając się do mnie, rzekł: « Słuchajno mój dobrze urodzony przyjacielu. Powiedz mi kto od śmierci szewca Moragnona robi najlepsze trzewiki? » Kobiety zdziwiła ta mowa, ja zaś wpadłem w wściekłość. Pobiegłem po szpadę i pogoniłem za Don Krzysztofem, doścignąłem go gdy przemykał się przez małą, ciasną uliczkę i stanąwszy przed nim zawołałem: « Zuchwalcze, zapłacisz mi twoje nikczemne zniewagi! » Don Krzysztof ujął za rękojeść szpady, ale spostrzegłszy na ziemi kawał kija, porwał go, uderzył w moją klingę i wytrącił mi szpadę z ręki. W tej chwili porwał mnie za włosy, zaniósł do rynsztoka i rzucił weń, ale tak gwałtownie, że postradałem przytomność.

Przyszedłszy do zmysłów, ujrzałem nad sobą tego samego szlachcica który kazał być unieść ciało mego ojca i dał mi tysiąc pistołów. Padłem mu do nóg, podniósł mnie z dobrocią i kazał abym udał się za nim. Szliśmy w milczeniu i przybyliśmy na brzegi Manzanaresu gdzie zastaliśmy dwa kare konie. Długo galopowaliśmy, wreszcie stanęliśmy u opuszczonego domu, którego brama i drzwi same przed nami się poodmykały. Weszliśmy do pokoju wybitego ciemnem suknem i oświe-

conego srebrnymi świecznikami. Zasiadłszy, nieznajomy, tak do mnie przemówił: « Señor Herwas, widzisz jak się rzeczy dzieją na świecie, jak mogłeś się przekonać, sprawiedliwość nie przewodniczy w rozdziale darów. Jednym natura dała ośmset funtów siły, drugim ośmdziesiąt. Wprawdzie wynaleziono zdradę która uzupełnia nieco równowagę. » Po tych słowach, nieznajomy wyciągnął szufladę, dobył z niej puginał i dodał: « Widzisz to narzędzie z jednej strony okrągło zakończone, z drugiej zaś cieńsze od najsubtelniejszego włosa. Zetknij je za pas. Żegnam cię młodzieńcze, niezapominaj o prawdziwym twym przyjacielu Don Belialu de Gehenna. Jeżeli będziesz mnie potrzebował, przyjdź o północy na most na Manzanariesie, klaśnij trzy razy w dłoń a natychmiast ujrzysz karego rumaka. Zaczekaj, zapomniałem o najważniejszej rzeczy. Oto masz drugą kiesę, może będziesz potrzebował złota. » Podziękowałem wspaniałemu Don Belialowi, dosiadłem karego rumaka, murzyn jakiś wsiadł na drugiego i przybyliśmy do mostu gdzie trzeba było się rozłączyć. Powróciłem do mego mieszkania. Ległem na łóżko i zasnąłem, ale straszliwe sny mną miały. Wsunąłem był

puginał pod poduszkę i zdawało mi się że ztamtąd wychodził i zapuszczał się w sam środek mego serca. Widziałem także Don Krzysztofa porywającego mi z przed nosa moje trzy piękności.

Nazajutrz, ponury smutek mnie owładnął i obecność dwojga dziewcząt nie mogła go rozproszyć. Starania ich, przeciwny na mnie wpływ wywarły i pieśszoty moje były mniej niewinnemi. Zostawszy sam, chwytalem za puginał i groziłem nim Don Krzysztofowi, którego zdawało mi się że ciągle widzę przed sobą.

Nienawistny ten natręt, wieczorem znowu się zjawił i znowu nie zwracał na mnie uwagi, ale natomiast więcej zalecał się kobietom. Sprzeciwiał im się, bawił je i rozśmieszał. Jego płaskie dowcipy więcej podobały się od mojej grzeczności.

Kazałem przynieść wieszczkę bardziej wykwintną niż obfitą; Don Krzysztof prawie sam zjadł ją całą. Następnie wziął kapelusz i obracając się do mnie rzekł: « Mój szlachetnie urodzony panie, powiedz mi co znaczy ten puginał za twoim pasem, lepiejbyś uczynił gdybyś sobie zatknął szydło od szewca. » Wymknąłem się za nim i cichaczem dopadł-

szy go na zakręcie ulicy, że wszystkich sił uderzyłem go w lewą pierś puginałem. Ale łotr odepchnął mnie z równą siłą z jaką na niego napadłem.

Don Krzysztof obrócił się do mnie i z zimną krwią rzekł: «Cóż to chłystku, niewiedziałeś dotąd że noszę na piersiach stalową siatkę.» Po tych słowach porwał mnie za włosy i znowu wrzucił w rynsztok, ale tym razem z wielkiem mojem zadowoleniem, gdyż rad byłem że nie popełniłem zabójstwa. Podniosłem się dość wesoło, wróciłem do domu, i noc tę przepędziłem daleko spokojniej od poprzednich.

Nazajutrz, kobiety znalazły mnie daleko spokojniejszym niż byłem wczoraj i oświadczyły mi swoją z tego powodu radość. Wszak nie śmiałem pozostać u nich na wieczór. Lękałem się spojrzeć w oczy człowiekowi którego dnia wczorajszego chciałem zamordować. Przez cały wieczór z wściekłością przechadzałem się po ulicach, myśląc o wilku który zakradł się do mojej owczarni.

O północy, poszedłem na most, klasnąłem trzy razy w dłonie, zjawily się kare rumaki, wskoczyłem na mojego i popędziłem w cwał za moim przewodnikiem aż do domu Don

Beliala. Drzwi same się otworzyły, mój opiekun wyszedł na przeciw mnie, wprowadził mnie do tej samej komnaty i rzekł głosem nieco szyderskim: Cóż, mój młody przyjacielu, morderstwo się nam nie udało? Nie uważaj na to, chęć stanie za uczynek; z resztą pomyślimy już o uwolnieniu cię od zbyt niebezpiecznego spółzawodnika, doniesiono że wydawał tajemnice stanu i wrzucono go do tego samego więzienia gdzie siedzi ojciec pani Santarez. Teraz od ciebie zależy umieć korzystać z twego szczęścia, lepiej niżeli to dotychczas uczyniłeś. Przyjm w darze ode mnie to pudełko, znajdują się w niem cukierki nadzwyczajnych przymiotów, poczęstuj niemi twoje gospodynie i sam zjedz kilka. »

Wziąłem pudełko które roznosiło nader przyjemną woń i rzekłem do Don Beliala: « Nie wiem co pan nazywasz korzystaniem ze szczęścia, sądzę jednak że byłbym potworem, gdybym chciał nadużyć zaufania matki i niewinności jej córek. Nie jestem tak przewrotnym jak pan mniemasz. »

« Mniemam — odparł Don Belial — że nie jesteś ani lepszym ani gorszym od reszty dzieci Adama. Zwycię wzdragają się przed popelnieniem zbrodni i później doświadczają

wyrzutów, myśląc że tym sposobem zdolają jeszcze utrzymać się na drodze cnoty. Gdyby jednak raz chcieli sobie wytłumaczyć co to jest cnota, oszczędziliby sobie wielu nieprzyjemnych uczuć. Uważają cnotę jako przymiot idealny, którego przypuszczają istnienie bez żadnej rozwagi, a zatem przez to samo pomieszczają ją w liczbie przesądów, które jak wiesz są zdaniem niepopartem poprzedniem zgłębieniem rzeczy.»

« Señor Don Belialu — odpowiedziałem — mój ojciec dał mi pewnego razu sześćdziesiąty tom swego dzieła, zawierający zasady nauki moralnej. Przesąd, według niego nie był zdaniem niepopartem poprzedniem zgłębieniem rzeczy, ale zdaniem już osądzonem przed naszym przyjściem na świat i przekazaniem nam że tak powiem w dziedzictwie. Zwyczaję lat dziecinnych, rzucają w naszą duszę pierwsze zarody tych zdań, przykład je rozwija, znajomość zaś praw ustala. Stosując się do nich, jesteśmy uczciwymi ludźmi, wykonywając więcej niż prawa nakazują zostajemy cnotliwymi. »

« Określenie to — rzekł Don Belial — nie jest zupełnie złem i przynosi zaszczyt twemu ojcu. Dobrze on pisał, lepiej jeszcze myślał,

kto wie może i ty przyjdiesz do tych samych wypadków, wracajmy jednak do naszego określenia. Zgadzam się z tobą że przesady są zdaniem już osądzonemi, ale nie przeszkadza to żebyśmy sami nie mieli ich także sądzić, zwłaszcza gdy czujemy w nas wykształcony sąd o rzeczach. Ciekawy umysł zgłębia rzeczy, poddaje przesady pod krytykę badania i przekonywa się czyli prawa równie wszystkich obowiązują. Tak postępując, jasno obaczysz, że prawny porządek wynaleziono tylko na korzyść tych zimnych i leniwych charakterów, które dopiero od hymenu oczekują uczuć rozkoszy, dobrego bytu zaś od oszczędności i pracy. Inaczej jednak dzieje się z gienjuszami, z charakterami namiętными, chciwemi złota i rozkoszy, któreby pragnęły lata w jednej chwili pochłonąć. Cóż dla nich utworzył porządek towarzyski? Przepędzą życie w więzieniach i skończą je w męczarniach. Na szczęście, prawa ludzkie są czem innym aniżeli tem czem się wydają. Są to zapory, przed któremi przechodzący zwraca się na inną drogę, ale ci którzy chcą je przewyciężyć, przeskakują lub podłazą. Przedmiot ten jednak, zadaleko by mnie zaprowadził, żegnam cię mój młody przyjacielu, po-

kosztuj moich cukierków i licz zawsze na moją opiekę. »

Pożegnałem Señora Don Beliala i wróciłem do domu. Otworzono mi drzwi, rzuciłem się na łóżko i pragnąłem zasnąć. Pudełko stało obok mnie i roznosiło najrozkoszniejsze wonie. Nie mogłem oprzeć się pokusie, zjadłem dwa cukierki i miałem noc niespokojną to jest zakłóconą tysiącznemi najdziwaczniejszymi marzeniami.

O zwykłej godzinie, przyszły moje młode przyjaciółki. Znalazły szczególną odmianę w moim wzroku, jakoż w istocie spoglądałem na nie całę innemi oczyma. Wszystkie ich poruszenia zdawały mi się wynikać z niepo- hamowanej chęci uczynienia wrażenia na moich zmysłach. Słowom ich toż samo nada- wałem znaczenie, ostatecznie wszystko w nich pociągało moją uwagę i pogrążało mnie w od- męt myśli, o jakich przed tem nie miałem żadnego pojęcia.

Zorilla spostrzegła pudełko. Zjadła dwa cukierki i podała siostrze. Wkrótce marzenia moje zmieniły się w rzeczywistość. Tajemne wewnętrzne uczucie opanowało obie siostry, które oddały mu się bez własnej świadomości. One same przestraszyły się i uciekły

odemnie z bojaźnią w której jakaś dzikość się przebijala.

Matka ich weszła. Od chwili gdy ją uwolniłem od wierzycieli, postępowanie jej zemną nabrało niewypowiedzianej czulości. Pieszczoty jej z początku mnie uspokoiły, ale wkrótce spojrzałem na nią tym samym wzrokiem jaki odstraszył jej córki. Poznała co się działo we mnie, zmieszala się i spojrzenia jej unikając moich, padły na nieszczęsne pudełko. Wzięła kilka cukierków i odeszła, niebawem jednak wróciła, okryła mnie pieszczotami i ścisła w swoich objęciach nazywając synem.

Opuściła mnie z przykrem uczuciem jak gdyby chciała była sama się przewyciężyć. Pomieszanie moich zmysłów dochodziło do szaleństwa. Czulem jak ogień krążył mi po żyłach, zaledwo widziałem co się koło mnie działo, krwawy jakiś obłok rozpinał się przed memi oczyma.

Wyszedłem drogą na taras, drzwi od pokoju dziewcząt były na wpół otwarte, nie mogłem powstrzymać się i stanąłem na progu. Zmysły ich były w daleko większym bezładzie od moich. Przeląknęłem się, chciałem wyrwać się z ich objęć, ale nie miałem na to

dość siły. Matka weszła, wymówki zamarły na jej ustach, wkrótce nie miała prawa czynienia nam wyrzutów. —

« Przebacz Señorze Don Cornandez — dodał pielgrzym — przebacz że mówię ci o rzeczach, których samo opowiadanie jest już śmiertelnym grzechem. Ale historia ta potrzebną jest do twego zbawienia, postanowiłem wyrwać cię zagubie i spodziewam się że dokonam mego zamiaru. Pamiętaj stawić się tu jutro o tej samej godzinie. » Cornandez wrócił do domu, gdzie w nocy znowu go prześladował cień zamordowanego hrabiego Penna Flor.

Gygan domawiając tych słów musiał się z nami rozłączyć i odłożyć dalsze opowiadanie na dzień następny.

DZIEŃ PIEĆDZIESIĄTY DRUGI.

Zebraliśmy się o zwykłej godzinie i stary naczelnik ulegając niecierpliwości swoich słuchaczy, pośpieszył się z dalszym ciągiem opowiadania, które on, a raczej Busqueros, wyprawiał przed kawalerem Toledem. Mówiłem więc, że jak tylko Cornandez stawił się o naznaczonej godzinie, pielgrzym tak dalej jął mu rozpowiadać.

DALSZY CIĄG HISTORJI POTĘPIONEGO PIELGRZYMA.

— Pudelko moje było próżnem, cukierki wszystkie zjedzone, ale spojrzenia nasze zdawały się chcieć ożywić przygasłe nasze zapły. Zbrodnicze wspomnienia ożywiły nasze umysły. Tak to zwykle zbrodnie zagłuszają uczucia natury. Pani Santarez, cała oddana rozkoszy, zapomniała że ojciec jej jęczał w więzieniu i że wyrok śmierci może być już

na niego podpisany. Ja tem mniej o nim myślałem, gdy szczególna okoliczność, którą opowiem, zwróciła nań moją uwagę.

Pewnego wieczora, wszedł do mnie jakiś nieznajomy owinięty w szeroki płaszcz. Przełakłem się go nieco, tem bardziej że twarz swą ukrywał pod maską. Tajemniczy człowiek, prosił mnie abym usiadł i uczyniwszy to samo, rzekł: «Señor, zdajesz się być przyjacielem pani Santarez. Pragnę więc szczerze i otwarcie z tobą pomówić. Sprawa jest ważną i nieradbym załatwiać jej z kobietą. Pani Santarez zaufała wietrznikowi nazwanemu Don Krzysztof Sporadoz. Dziś siedzi on w więzieniu, razem z Señorem Goranezem, ojcem twojej gospodyni. Szaleniec ten myślał że posiada tajemnice niektórych pierwszych dygnitarzów, ale mylił się, ja to posiadam ją w zupełności. Wyjawię ci ją w kilku słowach: Od dziś za tydzień w pół godziny po zachodzie słońca, przejdę przed waszemi drzwiami i trzy razy wymówię nazwisko uwięzionego: Goranez, Goranez, Goranez. Za trzecim razem, wręczysz mi kiesę z trzema tysiącami pistołów. Señor Goranez nie siedzi już w segowskiej wieży ale został przewiezionym do innego więzienia. Los jego ma

być rozstrzygniętym przed połową tejże samej nocy. Oto jest wszystko co miałem ci powiedzieć.» To mówiąc zamaskowany człowiek wstał i odszedł.

Wiedziałem, a raczej domyślałem się że pani Santarez nie miała żadnych zasobów pieniężnych, postanowiłem więc uciec się do łaski Don Beliala. Uwiadomiłem moją gospodynię że Don Krzysztof wpadł w podejrzenie i nie mógł więcej u niej bywać, ale że ja miałem znajomych w ministryum wojny i spodziewałem się szczęśliwego skutku moich zamiarów. Nadzieja ocalenia życia jej ojcu, napelniła panią Santarez najżywszą radością. Dodała wdzięczność do wszystkich uczuć jakimi już była ku mnie przejętą. Wdzięczność jej dla mnie zdała się odtąd mniej zbrodniczą. Tak ważne dobrodziejstwo zupełnie ją uniewinniło. Nowe rozkosze zajęły nam wszystkie chwile.

Wyrwałem się im na jedną noc, ażeby pójść do Don Beliala. «Czekałem cię — rzekł do mnie — wiedziałem że skrupuły twoje krótko będą trwały i że nie pomyślisz nawet o wyrzutach. Wszyscy synowie Adama ulepieni są z jednej gliny, ale nie spodziewałem się żebyś tak wczesnie nasycił się rozkoszami,

jakich nigdy nie doznawali sami nawet królowie tej małej kuli, którzy nie znali moich cukierków. »

« Niestety! Señor Belialu — odpowiedziałem — prawdę mówisz pod pewnym względem, ale wyznam ci szczerze że zaczynam się już nudzić, i zdaje mi się że gdyby się wszystko skończyło, doznałbym pewnej ulgi. »

« Pomimo to — rzekł Don Belial — przyszedłeś do mnie po trzy tysiące pistołów, któremi chcesz okupić wolność Señora Gorneza. Zapewne nie wiesz, że skoro tylko ten zostanie uniewinnionym, natychmiast sprowadzi do swego domu córkę i wnuczki i że od dawna przeznaczył obie w małżeństwo dwom młodym urzędnikom z jego biura. Ujrzysz w objęciach tych szczęśliwych małżonków dwa zachwycające stworzenia, które poświęciły ci pierwsze uczucia i za całą nagrodę, żądały tylko pewny udział w rozkoszy, jakich ty byłeś dla nich ogniskiem. Bardziej natchnione spółubieganiem aniżeli zazdrością, każda z nich znajdowała najwyższą nagrodę w szczęściu jakiego była przyczyną i oddychała bez zawiści tem które sprawiałeś drugiej. Matka ich świadomsza, ale niemniej

namiętna, dzięki moim cukierkom, bez zazdrości poglądała na szczęście córek. Po takich chwilach, cóż poczniesz z resztą twego życia? Pójdieszże szukać uprawnionych rozkoszy małżeństwa, lub wzdychać do uczuć zalotnicy, która nie przyrzecze ci cienia nawet rozkoszy, jakich żaden śmiertelnik przed tobą nie doznał.» — Tu Don Beliat, zmienił nagle kierunek rozmowy i rzekł: — «Ale może że masz słusność. Ojciec pani Santarez jest niewinnym i wolność jego od ciebie zależy. Rozkosz z wypełnienia dobrego uczynku powinna wszystkie inne przewyższać.»

«Don Belialu — rzekłem — bardzo zimno mówisz o dobrych uczynkach, ale natomiast bardzo gorąco o rozkoszach które ostatecznie są grzechami. Myślalby kto że chcesz moją duszę i mógłbym mniemać że jesteś.....»

Don Belial nie dał mi dokończyć. «Jestem — rzekł — jednym z głównych członków potężnego stowarzyszenia, które założyło sobie za cel uszczęśliwianie ludzi i wyleczanie ich z nierozsądnych przesądów, jakie wysysają z mlekiem ich matek a które potem w poprzek stają wszystkim ich żądaniom. Wydałiśmy już wiele mądrych książek, gdzie jak najoczywiściej dowodzimy, że miłość samego

siebie jest zasadą wszystkich czynów ludzkich i że łagodna litość, przywiązanie dzieci do rodziców, namiętna i tkliwa miłość, łaskawość w królach są tylko hipokryzyą samolubstwa. Jeżeli więc miłość samego siebie jest główną sprężyną naszych postępów, zaspokojeniem naszych żądz, powinna być zatem koniecznym jej celem. Znali to dobrze prawodawcy i dla tego tak napisali prawa żeby można je podchodzić, omijać, z czego też ludzie nie zanedbują korzystać.»

« Jaktó, Don Belialu — przerwałem — czyliż nie uważasz słuszność i niesłuszność za rzeczywiste przymioty? »

« Są to — odrzekł — przymioty względne. Dokładnie to zrozumiesz za pomocą apologu, słuchaj tylko z uwagą:

« Małeńkie owady czołgały się po wierzchołkach wysokiego zielska, jeden z nich rzekł do drugich: « Patrzcie na tego tygrysa obok nas rozciągniętego. Jestto najłagodniejsze zwierze, nigdy nas nie zaczepia; tymczasem przeciwnie baran jestto dziki zwierz, który gdyby tu przyszedł, natychmiast by nas pożarł, wraz z zielskiem służącym nam za schronienie, ale tygrys jest sprawiedliwy i pomściłby się naszej śmierci. »

— «Z tego możesz wniesć mój młody przyjacielu, że wszystkie pojęcia o słusznem i niesłusznem, złem i dobrem są względne, nigdy zaś absolutne, czyli ogólne. Zgadzam się z tobą że jest pewne niedołączne zadowolenie, przywiązane do tego co nazywacie dobremi uczynkami. Znajdziesz je niezawodnie ocalając niewinnie oskarżonego Goraneza. Nie powinieneś na chwilę się wahać, jeżeli znudziła cię już jego rodzina. Zastanów się, masz na to dość czasu. Masz wręczyć pieniądze w sobotę, w pół godziny po zachodzie słońca. Przybądź tu w nocy z piątku na sobotę, trzy tysiące pistoletów będzie czekać na ciebie, tymczasem żegnam cię, przyjm na drogę to pudełko z cukierkami.»

Wróciłem do domu i przez drogę zjadłem kilka cukierków. Pani Santarez i jej córki jeszcze nie spały, czekały na mnie. Chciałem mówić o nieszczęśliwym więźniu, ale nie dano mi na to czasu. Pocóż mam wyjawiać tak bezwstydnie zbrodnie? Dowiedz się, że rozpuściwszy cugle wyuzdanym żądzom, straciłszy miarę czasu i nierachowaliśmy dni. O więźniu zupełnie zapomniano.

Sobotni dzień chylił się już ku końcowi. Słońce zachodzące za chmury, zdawało mi

się rzucać po niebie krwawe odbłyски, gwałtowne błyskawice przejmowały mnie trwogą, usiłowałem przypomnieć sobie ostatnią rozmowę z Don Belialem. Nagle usłyszałem ponury, grobowy głos po trzykroć powtarzający: « Goranez! Goranez! Goranez! » — « Sprawiedliwe nieba! — krzyknęła pani Santarez — jesteście to duch nieba lub piekiel, który do mnie przemawia i oznajmia mi o śmierci mego biednego ojca? » Straciłem przytomność. Odzyskawszy ją, pobiegłem drogą ku Manzanaresowi chcąc po raz ostatni błagać litości Don Beliala. Zbiry zatrzymały mnie i zaprowadziły na nieznajomą ulicę, do domu równie mi nieznanego, ale w którym wkrótce poznałem więzienie. Okuto mnie w łańcuchy i wrzucono do ciemnego lochu. Posłyszałem obok siebie brzęk łańcuchów. « Czy to młody Herwas? » zapytał towarzysz mojej niedoli.

« Tak jest — odpowiedziałem — jestem Herwas i poznaję po głosie że mówię z Don Krzysztofem Sporadoz. Czy wiesz co o Goranezie? czy on był niewinnym? »

« Jak najniewinniejszym — odparł Don Krzysztof — ale oskarżyciel jego, zastawił nań tak sztuczną zasadzkę, że mógł go według upodobania zgubić albo ocalić. Żądał od

niego trzech tysięcy pistołów. Goranez nie mógł nigdzie ich dostać i przed chwilą udusił się w więzieniu. Mnie także dano do wyboru podobną śmierć albo też wieczne więzienie w zamku Laroche, na brzegach Afryki. Wybrałem to ostatnie w nadziei że za pierwszą sposobnością umknę i wtedy przejdę na wiarę mahometańską. Co zaś do ciebie mój przyjacielu, wkrótce wezną cię na tortury, ażeby zapytać cię o rzeczy o których niemasz żadnego wyobrażenia. Mieszkałeś razem z panią Santarez, domyślają się więc że jesteś spółwinowajcą jej ojca.»

Wystaw sobie człowieka, którego duch i ciało zniewieściały w rozkoszach, nagle zagrożonego okropnościami długich męczarni. Zdawało mi się że już doznaję boleści tortury. Włosy mi powstały na głowie, trwoga zdjęła moje członki, które nie słuchały już mego rozkazu ale mimowolnych drgań konwulsyjnych.

Odźwierny, wszedł do więzienia po Sporadoza, który odchodząc rzucił mi sztylet. Nie miałem siły podnieść go a cóż dopiero gdyby przyszło nim się przebić. Rozpacz moja do tego stopnia dobiegła, że sama śmierć nie byłaby mogła jej uspokoić.

« Ach Belialu! — zawołałem — Belialu, wiem dobrze kim jesteś a jednak cię przyzywam. »

« Staję na twoje wezwanie — krzyknął duch nieczysty. — Weź ten sztylet, doładź krwi z palca i podpisz ten papier który ci tu podaję. »

« O aniele mój strózu — zawołałem — więc już zupełnie mnie opuściles? »

« Zapóźno go przyzywasz, » wrzasnął szatan zgrzytając zębami i buchając płomieniem. To mówiąc wpoił mi szponę w czoło.

Uczulem ognistą bolesć i zemdlałem a raczej myślałem że zemdlałem, w istocie jednak byłem w zachwyceniu. Nagle światło olśniło więzienie. Złotoskrzydły Cherub, pokazał mi zwierciadło i rzekł: « Widzisz na twojem czole przewrócone Tau. Jest to znak potępienia. Dojrzysz go na czołach innych grzeszników, sprowadzisz dwunastu na drogę zbawienia i wtedy sam na nią powrócisz. Przywdzij ten ubiór pielgrzyma i chodź za mną! »

Obudziłem się, czyli raczej myślałem że się budzę i w istocie nie znalazłem się już w więzieniu ale na drodze do Galicyi. Strój ten miałem na sobie.

Wkrótce spostrzegłem czeredę pielgrzy-

mów idących do świętego Jakóba z Kompostelli. Złączyłem się z nimi i obeszłem wszystkie miejsca święte w Hiszpanji. Chciałem przejść do Włoch i odwiedzić Loreto. Byłem wtedy w Asturyi, obróciłem więc drogę przez Madryt, gdzie chciałem wynaleźć dom pani Santarez, ale napróżno, chociaż dokładnie poznałem sąsiednie domy. Ten obłąd, dowiódł mi że byłem jeszcze pod władzą szatana. Nieśmiałem dalej przedsiębrać moich poszukiwań.

Zwiedziłem kilka kościołów, poczem udałem się do Buen-Retiro. Nikogo nie zastałem w ogrodzie, prócz człowieka siedzącego na oddalonej ławce. Wielki krzyż maltański wysyty na jego płaszczu, oznajmiał mi że należał do starszyny tego zakonu. Zdawał się dumać, siedział nawet jak nieruchomy, pograżony w marzeniach.

Zbliżywszy się do niego, zdało mi się że widzę pod jego nogami przepaść, w której twarz jego odbijała się przewrotnie, jako zdarza się siedzącym nad wodą. Przepaść jednak pełną była ognia.

Postąpiłem kilka kroków, znikło mi złudzenie optyczne, ale przypatrzwszy się nieznajomemu, spostrzegłem że miał na czole

przewrócone Tau, znak potępienia, jaki Cherub był mi pokazał w zwierciedle, na mojem własnem czole. —

Gdy cygan domawiał tych słów, jeden z jego bandy, przyszedł zdawać mu sprawę z dziennych czynności, musiał więc rozłączyć się z nami.

DZIEŃ PIĘCDZIESIĄTY TRZECI.

Nazajutrz stary naczelnik powtarzając słowa Busquera, tak dalej mówił:

DALSZY CIĄG HISTORJI POTĘPIONEGO PIELGRZYMA.

— Z łatwością zrozumiałem, że widziałem przed sobą jednego z dwunastu grzeszników, których miałem nawrócić na drogę zbawienia. Staralem się pozyskać jego zaufanie. Zamiar mój powiódł mi się w zupełności i gdy niezajomy przekonał się że nie ciekawość wyłącznie mną powodowała, pewnego dnia ulegając moim prośbom w te słowa zaczął opowiadać swoje przygody.

HISTORIA KOMMANDORA TORELWY.

Wstąpiłem do zakonu maltańskiego nie wyszedłszy jeszcze z lat dziecinnych, zapi-

sano mnie bowiem do służby jako pazia. Opiekunowie, jakich miałem u dworu, wyjednali dla mnie w dwudziestym piątym roku dowództwo galery. Wielki mistrz zaś stanąwszy w Dounaison powierzył mi najlepszą kommandoryę języka Arraganu. Mogłem więc, i dziś jeszcze mogę ubiegać się o najpierwsze godności w zakonie; ale ponieważ w późnym wieku można je dopiero osiągnąć i ponieważ tymczasem nic nie miałem do czynienia, poszedłem więc za przykładem naszych pierwszych przeorów, którzy może byliby winni lepszy mi nastęrczyć: jednym słowem, oddałem się miłostkom. W prawdzie wtedy już uważałem je za grzech, ale obym był nigdy większego niepopelnił. Ten który dziś ciąży mi na sumieniu, wyniknął ze zbrodniczej gwałtowności, która sprawiła że zdeptałem najświętsze zasady naszej wiary. Z przestraczem budzę w sobie te wspomnienia, ale niepotrzebnie przedwczesnie je wywołuję.

Wiesz zapewne że mamy na Malcie kilka szlacheckich rodzin wyspiarskich, które bynajmniej nie wchodzą do zakonu i nie mają żadnych stosunków z kawalerami jakiego bądź stopnia. Uznają one tylko najwyższą władzę

wielkiego mistrza i kapituły składającej jego radę.

Po tej klasie, następuje druga pośrednia, która zajmuje urzędy i poszukuje opieki kawalerów. Kobiety tej klasy, nazywają się honorates, co znaczy po włosku zaszczytne. W istocie zasługują na ten tytuł przez przyzwyczajenie w postępowaniu i jeżeli ci mam wszystko powiedzieć, przez tajemnicę jaką osłaniają swoje miłości. Długie doświadczenie nauczyło kobiety honorates, że zachowanie tajemnicy nie zgadzało się z charakterem kawalerów francuzkich, czyli raczej że niesłychanie trudnem było, żeby który z nich łączył milczenie z innymi świetnymi przymiotami jakie ich w ogóle cechują. Z tego wynikło że młodzi ludzie tego narodu, przyzwyczajeni w innych krajach do wszelkiego rodzaju powódzeń, na Malcie muszą wdawać się z kobietami ostatniego stopnia. Kawalerowie niemieccy, mniej liczni, najwięcej mają szczęścia u zaszczytnych kobiet i winni je są jak sądzę ich biało-różowej cerze. Za nimi idą Hiszpanie, których uczciwy i pewny sposób myślenia główną jest zaletą.

Kawalerowie francuzcy, zwłaszcza zaś karawaniści, mszczą się na zaszczytnych kobie-

tach, drwiąc z nich wszelkimi sposoby i odkrywając ich tajemne stosunki; ponieważ jednak żyją zawsze osobno i niechęć uczyć się włoskiego języka którym cały kraj mówi, nikt przeto nie zwaza na ich plotki.

Żyliśmy więc spokojnie z naszymi zaszczytnymi kobietami, gdy pewnego dnia okręt francuzki przywiózł nam kommandora de Foulcquière, ze starożytnego domu Seneszałów z Poitou, pochodzącego od hrabiów Angulemu. Kommandor był już raz na Malcie i wslawił się znaczną liczbą pojedynków. Teraz przybywał starać się o generalne dowództwo galer. Przeżył już był trzydzieści sześć lat życia, spodziewano się zatem że musiał się ustatkować. W istocie, pozbył się zawadyactwa i poprzedniej popędliwości, ale natomiast stał się wyniosłym, dumnym, podstępny i wymagał więcej uległości niżeli sam wielki mistrz.

Kommandor otworzył swój dom. Kawalerowie francuzcy tłumnie się do niego schodzili. My rzadko kiedy do niego uczęszczaliśmy, nakoniec zupełnieśmy z nim zerwali, zawsze bowiem toczono u niego nieprzyjemną dla nas rozmowę, zwłaszcza zaś o zaszczytnych kobietach, które szanowaliśmy i kochali.

Gdy kommandor wychodził, rój młodych karawanistów zawsze go otaczał. Kommandor prowadził ich do ciasnej uliczki, pokazywał miejsca gdzie się pojedynkował i opowiadał wszystkie szczegóły swoich pojedynków.

Muszę ci powiedzieć, że według naszych zwyczajów, pojedynki zakazane są na Malcie, wyjąwszy w ciasnej uliczce, przejściu na które nie mychodzi żadne okno. Uliczka ma tyle szerokości ile potrzeba dla dwóch ludzi chcących złożyć się i skrzyżować szpady, żaden z nich jednak nie może się cofnąć. Przeciwnicy stają w poprzek uliczki, przyjaciele ich zaś zatrzymują przechodzących ażeby im nie przeszkadzali. Zwyczaj ten zaprowadzono niegdyś dla zapobieżenia morderstwom, człowiek bowiem który wie że ma nieprzyjaciela nie przechodzi przez ciasną uliczkę, gdy zaś morderstwo gdzie indziej było popelnionem, niepodobna już było udać je za pojedynek.

Wreszcie pod karą śmierci, nie wolno ze sztyletem przechodzić przez ciasną uliczkę. Takim sposobem widzisz że pojedynki nie tylko jest znoszonym, ale nawet pozwolonym na Malcie, chociaż wyraźnie pozwolenie to nie

jest ogłoszonym. Kawalerowie ze swojej strony nie tylko że nienadużywają tej swobody, ale mówią nawet o niej z pewnym rodzajem oburzenia, jako o występku przeciw miłosierdziu chrześcijańskiemu, dającemu zgorszenie zakonu duchownego.

Przechadzki kommandora po ciasnej uliczce nie były zatem na swoim miejscu. Karawaniści francuzcy stali się kłótliwymi i zawadykami, a nie wiele było potrzeba aby ich do tego przyprowadzić. Opryskliwe te obyczaje, co raz się pogorszały. Kawalerowie hiszpańscy jeszcze bardziej się od nich odstrychnęli, nareszcie zebrali się u mnie, zapytując co mieli czynić dla pohamowania popędliwości która zaczynała być nieznośną. Podziękowałem rodakom za zaszczyt jaki mi wyrządzali pokładając we mnie zaufanie. Przyrzekłem im że pomówię o tem z kommandorem i przedstawię mu postępowanie młodych Francuzów, jako pewien rodzaj nadużycia, którego postępy .on sam tylko mógł powściągnąć, dzięki wysokiemu poważaniu i szacunkowi jakimi go otaczały trzy języki jego narodu. Obiecywałem sobie że uczynię mu to przedstawienie z wszelką grzecznością, wszelako rad byłem że mnie do tego wy-

brano. Jednem słowem, muszę wyznać że tym sposobem pochlebiałem odrazie którą oddawna czulem do kommandora.

Właśnie byli w ówczas w wielkim tygodniu i postanowiono że w przeciągu piętnastu dni, miałem mieć rozmowę z kommandorem. Zdaje mi się że mu doniesiono o moim zamiarze który chciał uprzedzić szukając ze mną zaczepki.

Nadszedł wielki piątek. Wiesz że według zwyczaju hiszpańskiego, tego dnia idzie się do kościoła i ofiaruje wodę święconą kochanej kobiecie. Pod pewnym względem źródło do tego powoduje i obawa, aby kto drugi nie podał wody i tym sposobem nie starał się zabrać znajomości. Zwyczaj ten hiszpański, wprowadzono na Malte. Stosownie do niego, udałem się za pewną zaszczytną kobietą z którą od kilku lat zostawałem w związkach. Ale w pierwszym kościele do którego weszła, kommandor zbliżył się przedemną. Stał pomiędzy nami i cofnął o kilka kroków, jak gdyby chciał był nadeptać mi na nogę. Postępowanie to zwróciło uwagę kilku obecnych kawalerów. Wyszedszy z kościoła, zbliżyłem się do niego obojętnie, pragnąc niby pomówić z nim o małoważnych rzeczach.

Zapytałem go do jakiego kościoła chciał teraz się udać? Nazwał mi jakiegoś świętego. Ofiarowałem że go zaprowadzę krótszą drogą i zaprowadziłem go tak że się nie spostrzegł w ciasną uliczkę. Stanąwszy tam, dobyłem szpady, pewny że nikt nam nie przeszkodzi, wszyscy bowiem tego dnia znajdowali się w kościołach.

Kommandor, także dobył szpady, ale wkrótce zniżył ostrze: « Jako — rzekł — w wielki piątek? » Niechciałem go słuchać « Racz Señor uważać, dodał, że od sześciu lat przeszło nie byłem u spowiedzi. Przeraza mnie stan mego sumienia. Za trzy dni. »

Zwykle jestem spokojnego sposobu myślenia, a wiesz że ludzie tego charakteru, raz przyprohwadzeni do ostateczności nie mogą się już upamiętać. Zmusiłem kommandora że musiał się złożyć, ale sam nie wiem jaki przestach rozlał się po jego twarzy. Oparł się o mur, jak gdyby przewidując że upadnie, zawczasu szukał był oparcia

W istocie, od pierwszego ciosu, utopiłem mu szpadę w piersiach. Pochylił ostrze, zatoczył się na mur i rzekł umierającym głosem: « Przebaczam ci, oby niebo chciało równie ci przebaczyć. Zanieś moją szpadę do Tête-

Foulque i każ zmówić za moją duszę sto mszy w kaplicy zamkowej. Wyzionął ducha. W pierwszej chwili niezważalem na jego ostatnie wyrazy i jeżeli później przypomniałem je sobie, było to dla tego że powtórnie usłyszał. Złożyłem moją deklaracją w zwykłej formie i mogę rzec że przed światem pojedynków mój wcale mi nie zaszkodził. Niecierpiano kommandora i uznano że zasłużył na swój los. Sądziłem jednak że zgrzeszyłem przed Bogiem, zwłaszcza uwłaczając świętości sakramentów i sumienie moje czyniło mi gorzkie wyrzuty. Trwało to przez ośm dni. W nocy z piątku na sobotę, nagle obudziłem się i pojrzawszy do koła zdało mi się że nie byłem w moim pokoju ale że leżałem na bruku w ciasnej uliczce. Zdziwiłem się niepomalu gdy ujrzałem wyraźnie kommandora opartego o mur. Widmo zdawało się dobywać nadprzyrodzonych sił i rzekło: «Zanieś moją szpadę do Tête-Foulque i każ zmówić za moją duszę sto mszy w kaplicy zamkowej.» Zaledwie usłyszałem te słowa, gdy wpadłem w letargiczny sen. Nazajutrz, obudziłem się w moim pokoju i w moim łóżku, ale zachowałem jak najdokładniej wspomnienie mego widzenia.

Następnej nocy, kazałem służącemu spać w moim pokoju i nic nie widziałem. Przez cały tydzień byłem spokojny, ale w nocy z piątku na sobotę, znowu miałem to samo widzenie z tą różnicą, że służący mój leżał na bruku o kilka kroków odemnie. Widmo kommandora pokazało mi się i powtórzyło te same słowa. Odtąd co piątek widziałem to samo zjawisko. Służący mój marzył że leżał w ciasnej uliczce, ale wreszcie nie widział ani słyszał kommandora.

Z początku nie wiedziałem co to było Tête-Foulque, gdzie kommandor żądał abym zaniósł jego szpadę. Kawalerowie francuzcy powiedzieli mi że był to zamek położony o trzy mile od Poitiers, śród lasu, że opowiadano o nim w kraju wiele nadzwyczajnych rzeczy i że chodzono tam dla oglądania niektórych ciekawych przedmiotów, jak naprzykład: zbroi Foulqu'a Taille-fer i broni pozabijanych przez niego rycerzy, że nareszcie według zwyczaju przyjętego w domu Foulquière, składano tam broń która służyła członkom tej rodziny bądź w bitwach, bądź też w pojedynczych walkach. Wszystko to mocno mnie zajmowało, musiałem jednak pomyśleć wprzódy o mojem sumieniu.

Poszedłem do Rzymu, wyznałem moje grzechy przed wielkim spowiednikiem i nie tailem mu widzenia które ciągle mnie prześladowało. Nie odmówił mi rozgrzeszenia, ale udzielił je warunkowo. Po odbyciu pokuty miałem niezapomnieć o stu mszach w kaplicy zamku Foulque. Niebo tymczasem przyjęło moją ofiarę i od chwili gdy się wypowiadałem, widmo kommandora przestało mnie dręczyć. Przyniosłem był z Malty jego szpadę, natychmiast więc wybrałem się w drogę do Francji.

Przybywszy do Poitiers, zastałem wszystkich już uwiadomionych o śmierci kommandora i uważałem że nie więcej go żałowano jak na Malcie. Zostawiłem w mieście moich służących, sam zaś przywdziałem ubiór pielgrzyma i nająłem przewodnika. Powiniennem był pójść piechotą, wreszcie droga do Tête-Foulque była nieprzystępną dla powozów. Zastaliśmy bramę zamkniętą, długo dzwoniłiśmy i wołaliśmy, wreszcie pokazał się murgrabia. Był on jedynym mieszkańcem Tête-Foulque, oprócz pustelnika który doglądał kaplicy i którego właśnie znaleźliśmy przy modlitwie. Gdy skończył swoje pacierze, powiedziałem mu że przychodzę prosić go o sto

mszy. To mówiąc złożyłem ofiarę na ołtarzu, chciałem także i szpadę kommandora na nim zostawić; ale murgrabia oznajmił mi że należało odnieść ją do zbrojowni, gdzie według zwyczaju, składano zawsze broń wszystkich Fulquierów poległych w walkach, jak równie oręż zabitych przez nich przeciwników. Udałem się za murgrabią do zbrojowni i w istocie spostrzegłem mnóstwo szpad rozmaitej wielkości, równie jak i portrety zacząwszy od Foulqu'a Taille-fer hrabiego Angulemu, który wybudował Tête-Foulque dla syna swego z nieprawego łoża, który to syn był później Seneszalem Poitou i protoplastą Fulquierów z Tête-Foulque. Portrety Seneszala i jego żony, wisiały po obu stronach wielkiego komina umieszczonego w rogu zbrojowni. Wszystkie malowidła tchnęły nadzwyczajnem życiem, chociaż odznaczały się owoczesnym stylem, żadne jednak nie było tak uderzającym jak portret Foulqu'a Taille-fer. Obraz był naturalnej wielkości. Rycerz stał na nim w bawolim kaftanie, w jednej ręce trzymał szpadę, drugą zaś brał wojenny topór który mu koniuszy jego podawał. Większa część szpad wisiała misternie ułożona obok tego portretu.

Prosiłem murgrabiego aby kazał rozpaścić

ogień i przynieść mi wieczerzę. « Zgoda co do wieczerzy — odpowiedział — ale co się tyczy noclegu, radziłbym ci mój pielgrzymie abyś przespał się raczej w moim pokoju. »

Zapytałem go o powód tej przestrogi. « Niepotrzebnie się pytasz — odparł murgrabia — zaufaj mi, każ sobie posłać obok mego łóżka. » Przyjąłem jego ofiarę z tem większą przyjemnością że właśnie był piątek i lękałem się powrotu mego zjawiska.

Murgrabia wyszedł aby zająć się moją wieczerzą, ja zaś zacząłem przypatrywać się bronii i portretom które, jak powiedziałem, wymalowane były z niesłychaną prawdą. Im bardziej dzień chylił się ku upadkowi, tem więcej ponure draperye zlewały się w jeden cień z tłami obrazów, ogień tylko komina jaszkrawo odznaczał twarze. Doznałem przykrego uczucia, może też że dałem się zbyt unieść wyobraźni, stan bowiem mego sumienia utrzymywał mnie w ciągłej trwodze. Murgrabia przyniósł mi wieczerzę złożoną z półmiska pstrągów złowionych w sąsiednim potoku. Dano mi także flaszkę nie złego wina. Chcąc ałem żeby pustelnik usiadł z nami do stołu, ale ten żył tylko korzonkami w wodzie gotowanemi.

Miałem zwyczaj codziennego odmawiania brewiarza, jak przystało na zakonnika, tem bardziej hiszpańskiego. Doylem więc książkę i różaniec: powiedziałem margrabiemu że ponieważ sen mnie jeszcze nie morzył, pomodłę się zatem w zbrojowni do późnej nocy i że prosiłem go aby mi tylko wskazał mój pokój. «Bardzo chętnie — odpowiedział — pustelnik przyjdzie o północy modlić się w kaplicy. Wtedy zejdziesz temi małemi schodami i nie będziesz mógł ominąć mego pokoju, którego drzwi zostawię otwarte. Pamiętaj tylko abyś dłużej nad północ się nie zatrzymywał.»

Murgrabia wyszedł. Zacząłem modlić się dorzucając czasami drzewa na ogień. Nie śmiałem jednak zbyt przypatrywać się ścianom, portrety bowiem zdawały się zupełnie żyjącymi. Jeżeli przypadkiem spojrzalem na który, natychmiat zdawał mi się mrugać oczami i wykrzywiać usta. Nadewszystko Senechal i jego żona, którzy wisieli po obu stronach komina, rzucali na mnie gniewne spojrzenia, po czem spoglądali po sobie. Nagle uderzenie wiatru, który zatrzęsł oknami tak że broń na ścianie zagrzegotała, podwoiło moją trwogę. Wszelako nie przestawałem żarliwie się modlić. Nareszcie usłyszałem

śpiewającego pustelnika i gdy śpiew ustał, zszedłem schodami chcąc udać się do pokoju murgrabiego. Trzymałem w ręku kawałek lojowej świeczki, wiatr ją zagaszył, powróciłem aby ją zapalić; ale jakież było moje zadziwienie, gdy ujrzałem Seneszala i jego żonę którzy wyszli z ram i siedzieli przy kominie. Rozmawiali sobie poufale, tak że można było wyraźnie słyszyć ich słowa: « Moja panno — mówił Seneszal — co Aśka myślisz o tym Kastylijanie który uśmiercił kommandora i nie pozwolił mu nawet wypowiedać się? » — « Myślę mój miłościwy mężu i panie — odrzekło widmo niewieście — myślę, że jest to wielki grzech a niegodziwość. Mam jednak nadzieję że wielce możny a miłościwy Taille-fer, nie wypuści tak na sucho owego Kastylijana i że ciśnie mu rękawicę. » Strach mnie zdjął niezmierny, wypadłem na schodki, chciałem poomacku trafić do drzwi murgrabiego, ale nadaremnie. W ręku trzymałem zawsze świeczkę, pragnąłem ją zapalić i nieco się uspokoić, usiłowałem wytłumaczyć sobie, że rozogniona wyobraźnia moja splodziła dwie postacie które widziałem był przy kominie. Wróciłem więc i stanąwszy we drzwiach zbrojowni, przekonałem się że rzeczywiście

nikogo nie było przy kominie. Wszedłem śmiało, ale postąpiwszy kilka kroków, cóż ujrzałem na środku zbrojowni? Miłościwy Taille-fer w wojowniczej postawie, składał się do mnie końcem swojej szpady. Chciałem uciec na schodki, ale we drzwiach stała mara koniuszego, która rzuciła mi rękawicę pod nogi.

Nie wiedząc co począć, pochwyciłem pierwszą lepszą szpadę ze ściany i rzuciłem się na mego fantastycznego przeciwnika. Zdawało mi się nawet że go przeszył na wylot, ale w tej samej chwili odebrałem uderzenie nad sercem które sparzyło mnie jak gdyby rozpalone żelazo. Krew moja zalala posadzkę i padłem bez zmysłów.

Obudziłem się nazajutrz w pokoju murgrabiego, który widząc że nie powracam, wziął święconej wody i przyszedł po mnie. Znalazł mnie rozciągniętego bez przytomności na podłodze. Spojrzałem na piersi, nie miałem żadnej rany i cios który zdało mi się że otrzymałem, był tylko skutkiem obłędu. Murgrabia o nic mnie nie pytał, ale radził abym niezwłocznie opuścił zamek.

Poszedłem za jego radą i udałem się drogą do Hiszpanji. Ósmego dnia stanąłem

w Bajonie. Przybyłem tam w piątek i zamieszkałem w znajomej mi gospodzie. Śród nocy, nagle obudziłem się i ujrzałem przed sobą miłościwego Taille-fera który składał się do mnie swoją szpadą. Przeżegnałem się znakiem krzyża świętego i widmo rozwiał się oparem. Wszelako uczulem to samo uderzenie które otrzymałem w zamku Tête-Foulque. Zdawało mi się że krew mnie zalała, chciałem wołać o pomoc, uciec z łóżka, ale jedno i drugie było mi niepodobnem. Ta niewypowiedziana męczarnia trwała aż do pierwszego zapiania koguta; wtedy zasnąłem, ale nazajutrz zdrowie moje było w stanie godnym politowania. Odtąd, co piątek to samo widzenie się powtarza, wszelkie pobożne uczynki nie mogły go oddalić. Smutek mój spycha mnie do grobu; legnę w nim i nie zdołam wydobyć się z pod władzy szatana; słaby promyk nadziei w miłosierdziu boskiem, utrzymuje mnie jeszcze i dodaje sił do znoszenia moich cierpień. —

Na tem kommandor Toralwa skończył swoją powieść, albo raczej pielgrzym potępiony, który rozpowiadawszy ją Cornadezowi, temi słowy ciągnął dalej własne przydody.

DALSZY CIĄG HISTORII POTĘPIONEGO PIELGRZYMA.

Kommandor Toralwa był to człowiek pobożny, chociaż zgwałcił święte zasady religji, pojedynkując się z przeciwnikiem któremu nie pozwolił nawet porachować się z sumieniem. Łatwo przekonałem go, że jeżeli rzeczywiście pragnął uwolnić się od nagabań szatana, powinien był zwiedzić święte miejsca w których grzesznicy zawsze znajdują pociechę i łaskę. Toralwa posłuchał mojej rady i razem zwiedzaliśmy cudowne miejsca w Hiszpanji. Następnie udaliśmy się do Włoch. Byliśmy w Lorecie i w Rzymie. Wielki spowiednik udzielił mu nie tylko warunkowe, ale ogólne rozgrzeszenie, do którego dodał odpust papieżki. Toralwa, zupełnie wyswobodzony i wolny, odjechał na Malte, ja zaś przybyłem do Madrytu, ztamtąd zaś do Salamanki. Od pierwszej chwili gdy cię ujrzałem, natychmiast spostrzegłem na twojem czole znak potępienia i wiedziałem już o całej twojej historii. Hrabia Penna-Flor, w istocie miał zamiar rozbałamucenia i uwiedzenia wszystkich kobiet, ale dotąd żadnej nie był jeszcze uwiódł ani rozbałamucił. Tak zgrzeszywszy tylko myślą, dusza jego nie była jeszcze

w stanie zupełnego niebezpieczeństwa; od dwóch lat jednak zaniedbał obowiązków religji i już miał im zadość uczynić, gdy ty kazałeś go zamordować, albo raczej przyczyniłeś się do jego śmierci. Oto jest przyczyna dla której widmo cię prześladowało. Jeden jest tylko sposób powrócenia ci spokojności. Musisz pójść za przykładem kommandora. Ja posłużę ci za przewodnika, od tego bowiem i moje własne zbawienie zależy.

Cornandez dał się przekonać. Zwiedził cudowne miejsca w Hiszpanji, następnie udał się do Włoch i dwa lata strawił w tej pielgrzymce. Pani Cornandez, przepędziła ten czas w Madrycie, gdzie jej matka i siostra się osiedliły.

Cornandez wrócił do Salamanki. Znalazł dom swój w najlepszym porządku. Żona jego piękniejsza niż kiedykolwiek była odtąd dla niego łagodną i nadzwyczaj uprzedzającą. Pojechała jeszcze raz do Madrytu w odwiedziny do matki i siostry, poczem wróciła do Salamanki i zupełnie już w niej pozostała, zwłaszcza gdy księciu Arcos powierzono poselstwo do Londynu. —

Tu kawaler Toledo zabrał głos i rzekł:
« Mości Busqueronie daruję ci reszty historii,

muszę dowiedzieć się co się stało ostatecznie z panią Cornandez? »

« Owdowiała — odparł Busqueros — po czem znowu wyszła za mąż i odtąd jak naj-przykładniej się prowadzi. Ale co widzę? oto właśnie i ona, zmierza w tę stronę i jeżeli się nie mylę, idzie prosto do naszego domu. »

« Co mówisz? — zawołał Toledo — to jest pani Uszaritz, ach niegodziwa! wzmówiła we mnie że byłem pierwszym jej kochankiem, ale sowiecie mi to zapłaci. »

Kawaler, pragnąc zostać sam na sam z swoją kochanką, czempredzej nas od siebie wyprawil.

DZIEŃ PIĘCDZIESIĄTY CZWARTY.

Nazajutrz zebraliśmy się o zwykłej godzinie i poprosiwszy cygana aby dalej raczył ciągnąć opowiadanie swych przygód, taką otrzymaliśmy odpowiedź.

DALSZY CIĄG HISTORJI NACZELNIKA CYGANÓW.

— Toledo uwiadomiony o prawdziwej historii pani Uscaritz, przez jakiś czas zabawił się rozpowiadaniem jej o Fraskecie Cornandez jako o zachwycającej kobiecie, którą rad byłby poznać i która sama tylko mogła być go uszczęśliwić, przywiązać i na wieki ustalić. Nareszcie znudzily go wszystkie miłostki równie jak i sama pani Uscaritz.

Rodzina jego, nader wzięta u dworu przeznaczala mu przeorstwo Kastylskie, które właśnie podówczas zawakowało. Kawaler pospieszył objąć nową godność do Malty, ja zaś

straciłem jedynego opiekuna, w którym miałem nadzieję że dopomoże mi do zniweczenia zamiarów Busquera względem małżeństwa mego ojca. Musiałem pozostać spokojnym widzem wszystkich zachodów i podstępów, nie mogąc im się oprzeć. Rzecz zaś tak się miała:

Mówiłem wam już na początku mego opowiadania, że mój ojciec każdego poranku dla odetchnięcia świeżem powietrzem stawał na balkonie wychodzącym na ulicę Toledo, następnie stawał na drugim balkonie który wychodził na małą uliczkę i jak tylko spostrzegł naprzeciwko sąsiadów, wnet pozdrowiał ich, mówiąc: *agour*. Nie chętnie wracał nie umieściwszy wprzód swego pozdrowienia. Sąsiedzi, aby go długo nie zatrzymywali, śpieszyli odebrać od niego dzień dobry. Z resztą nie miał z nimi żadnych innych stosunków. Ci uczciwi sąsiedzi wyprowadzili się jednak a miejsce ich zajęły panie Cimiento, dalekie krewne don Roqua Busquera. Pani Cimiento, ciotka, była to czterdziestoletnia osoba z świeżą cerą i słodkim a udatnem wejrzeniem. Panna Cimiento, synowica, była wysoka, kształtnej kibici o pięknych oczach i wytoczonych ramionach dziewczyną.

Obie kobiety wprowadziły się jak tylko mieszkanie było wolnem, i nazajutrz gdy mój ojciec wyszedł na swój balkon z rozkoszą spostrzegł je na przeciwnym balkonie. Swoim zwyczajem powiedział im dzień dobry, one zaś odkłoniły mu się jak można najwdzięczniej. Niespodzianka ta sprawiła mu niewypowiedzianą przyjemność, wszelako oddalił się do swego pokoju, co też i obie kobiety wkrótce uczyniły.

Wymiana ta wzajemnych grzeczności trwała przez ośm dni, po upływie których mój ojciec odkrył w pokoju panny Cimiento jakiś przedmiot, który do najwyższego stopnia zaostrzył jego ciekawość. Była to mała szklanna szafa napelniona słoikami i fiolkami kryształowemi. Jedne z nich zdawały się zawierać jaskrawe farby, jak gdyby do barwierskiego użytku, drugie piasek złoty, srebrny i błękitny, inne nareszcie lakier złotawy. Szafa stała tuż przy oknie. Panna Cimiento, odziana w lekką spodniczkę i gorsecik, przychodziła to po jedną to po drugą fiolkę i alabastrowem ramieniem zdawała się ściąć świetne barwy jakie dobywała z szafy. Co jednak z niemi poczynała, tego mój ojciec nie mógł odgadnąć, nie miał zaś zwyczaju nigdy o nie

się pytać, tak że wolał raczej pozostać w niewiadomości.

Pewnego dnia panna Cimiento usiadła w oknie i zaczęła pisać. Atrament był zupełnie gęstym; dołała doń wody i tak go rozrzedziła że nie mógł na nic jej się przydać. Mój ojciec idąc za popędem wrodzonego mu uczucia grzeczności, napełnił flaszkę najlepszym swoim atramentem i posłał ją sąsiadce. Służąca natomiast wraz z podziękowaniem przyniosła mu pudełko papierowe, zawierające dwanaście lasek laku rozmaitej barwy, każdą laskę zdobiły napisy lub godła nader misternie wykonane.

Mój ojciec nareszcie dowiedział się czem trudniła się panna Cimiento. Praca ta podobna do jego, była niejako ostatecznem dopełnieniem zatrudnienia jakiemu się oddawał. Wydoskonalenie fabrykacyi laku, według zdania prawdziwych znawców, wyżej jeszcze było doprowadzonem aniżeli atramentu. Mój ojciec zdjęty podziwieniem, wystrzygł natychmiast kopertę, podpisał ją najczarniejszym swoim atramentem i zapieczętował nowym lakiem. Pieczęć odbiła się wyśmienicie. Położył kopertę na stole i długo się w nią wpatrywał. Wieczorem poszedł do księgarza Moreno,

gdzie zastał jakiegoś nieznajomego mu człowieka, który przyniósł podobne pudełko z tyłaz laskami laku. Obecni wzięli się do probowania i nie mogli dość wychwalić doskonałości wyrobu. Mój ojciec przepędził tam cały wieczór, w nocy zaś marzył tylko o laku.

Nazajutrz z rana, oddał sąsiadom zwykle pozdrowienie, wymówił to samo słowo, chciał nawet więcej powiedzieć, otworzył usta ale nic nie rzekł i odszedł do swego pokoju, wszelako tak siadał żeby mógł dokładnie widzieć co się działo u panny Cimiento. Służąca okurzała sprzęty, piękna zaś siostrzenica za pomocą powiększającego szkła, śledziła najlżejszych źdźbieł pyłu i pilnie je zdejmowała. Mój ojciec niesłychanie przywiązany do porządku, widząc to same upodobanie w sąsiadce, powziął ku niej szczególniejszy szacunek.

Mówilem wam że mój ojciec zajmował się także zwijaniem cygar i rachowaniem przechodzących lub dachówek pałacu księcia Alby, wszelako odtąd nie poświęcał już, jak przed tem, całych godzin tej rozrywce, zaledwie kilka minut przy niem wysiedział, gdyż potężny urok ciągnął go bezustannie do balkonu wychodzącego na małą uliczkę.

Busqueros, pierwszy spostrzegł tę zmianę i przy mnie nie raz zaręczał, że niezadługo Don Phelippe Avadoro wróci do swego nazwiska i pozbędzie się przydomku: *del Tintero largo*. Jakkolwiek mało znałem się na interesach, wszelako domyśliłem się że małżeństwo mego ojca w żadnym wypadku nie mogło być dla mnie korzystnem, znowu więc pobiegłem do ciotki Dalanosy zaklinając ją aby koniecznie starała się złemu zapobiedz. Ciotka moja, szczerze się tą wieścią zmartwiła, powtórnie więc udała się do wuja Santeza; ale Teatyn odpowiedział że małżeństwo było sakramentem boskim na który nie miał prawa nastawiania, że jednak będzie czuwał aby mi w niczem krzywdy nie wyrządzono.

Kawaler Toledo oddawna wyjechał już był na Malte, tak więc bezwładnie musiałem patrzeć się na wszystko a czasami nawet i działać, gdyż Burqueros posyłał mnie z listami do swoich krewnych, sam bowiem nigdy u nich nie bywał. W ogóle pani Cimiento sama nigdy nie wychodziła i nikogo u siebie nie przyjmowała.

Mój ojciec z swojej strony co raz rzadziej wychodził z domu. Nigdy dawniej nie byłby chętnie wyrzekł się swego teatru Santa-Cruz,

ani też zmienił wyznaczonego na każdy dzień postępowania, teraz jednak korzystał z najlepszego kataru lub przeziębienia i kamieniem siedział w domu. Wtedy nie odchodził od okna wychodzącego na małą uliczkę i przypatrywał się, jak panna Cimiento ustawiała flaszki lub laski laku. Widok dwóch śnieżnych ramion ciągle migających mu przed oczyma, zapalił jego wyobraźnię tak, że nie mógł o czem innem myśleć.

Wkrótce nowy przedmiot podniecił jego ciekawość. Był to kociołek dość podobny do tego w jakim przyprawiał swój atrament, ale daleko mniejszy i postawiony na żelaznym trójnogu. Lampa paląca się pod nim utrzymywała ciągle umiarkowane ciepło. Niebawem przybyły dwa takie same kociołki. Nazajutrz mój ojciec wyszedłszy na balkon i powiedziawszy *agour*, otworzył usta chcąc zapytać się co znaczyły te kociołki, ale ponieważ nie miał zwyczaju mówienia, nic przeto nie rzekł i odszedł do siebie.

Wieczorem, mój ojciec poszedł do księgarza Moreno. Zastał tam jakiegoś urzędnika z ministerjum skarbu, który trzymał pod pachą ogólne sprawozdanie z rachunków kassy. Niektóre kolumny nakreślone były atramen-

tem czerwonym, tytuły niebieskim, linije zaś zielonym. Urzędnik dowodził że sam posiadał tajemnicę przyprawiania podobnych atramentów i że nikt w mieście nie był w stanie poszczylenia się podobnemi.

Na te słowa, jakiś nieznajomy obrócił się do mego ojca i rzekł: « Señor Avadero, ty który tak wyśmienicie fabrykujesz czarny atrament, miałżebyś nie znać sposobów przyprawiania kolorowego? » Mój ojciec nie lubił gdy go o co pytano i z łatwością się mieszał. Otworzył jednak usta aby odpowiedzieć, ale nic nie rzekł. Na szczęście sąsiadki tego samego dnia przysłały mu w podarunku trzy flaszki różnokolorowego atramentu, pobiegł więc czempredzej do siebie i przyniósł je do Morena. Obecni nie mogli dość wydziwić się doskonałości atramentów, urzędnik zaś prosił o pozwolenie wzięcia kilku próbek do domu. Mój ojciec osypany pochwałami, skrycie oddawał całą sławę pannie Cimiento, której dotąd nazwiska jeszcze nie znał. Powróciwszy do siebie otworzył swoją książkę z przepisami i znalazł dwa na niebieski, trzy na zielony i siedm na czerwony. Tyle na raz przepisów pomieszało mu się w głowie, nie umiał zebrać dwóch myśli, piękne tylko ramiona są-

siadki żywo malowały się przed jego wyobraźnią. Położył się spać, ale obraz czarującej nieznanym zasnąć mu nawet nie dozwolił.

Nazajutrz z rana mój ojciec pozdrowił obie sąsiadki i nieodmiennie postanowił dowiedzieć się o ich nazwisku, otworzył więc usta aby je zapytać, ale znowu nic nie rzekł i wrócił do swego pokoju. Następnie wyszedł na balkon od ulicy Toledo i spostrzegł człowieka dość przyzwoicie ubranego, trzymającego w ręku czarną butelkę. Zrozumiał że to był jakiś żądający atramentu, zamieszał więc w kotle aby mu dać jak najczarniejszego. Kurek od kotła znajdował się u spodu w jednej trzeciej wysokości, tak że męty zawsze zostawały na spodzie. Nieznajomy wszedł i ojciec mój napełnił mu jego butelkę; ale człowiek ten zamiast odejścia, postawił butelkę na stole, usiadł i prosił o pozwolenie wypalenia cygara. Mój ojciec chciał coś odpowiedzieć, ale nic nie rzekł, nieznajomy dobył z kieszeni cygara i zapalił u lampy stojącej na stole.

Nieznajomy ten był to znany wam oddawna niegodziwy Busqueros. « Señor Avadaro — rzekł do mego ojca — zajmujesz się wyrabianiem płynu który nie mało zaszkoził

ludzkości. Ileż to spisków, zrad, podstępów, złych ksiązek, wyszło na świat za pośrednictwem atramentu, że już nie wspomnę o bilecikach miłosnych i sprzysiężeniach na szczęście i honor małżonków. Jakież twoje zdanie w tym względzie, Señor Avadoro? Nie odpowiadasz? w ogóle bowiem przyzwyczaiłeś się do milczenia. Mniejsza o to, jeżeli ty nie mówisz ja za to mówię za dwóch, jestto znowu mój zwyczaj. Tymczasem, Señor Avadoro, racz usiąść tu przy mnie, na tem oto krześle, wytłumaczę ci po krótkce moją myśl. Utrzymuję, że z tej butelki atramentu wyjdzie.....» To mówiąc Busqueros popchnął butelkę i atrament wylał się na kolana mego ojca który w milczeniu pośpieszył obetrzeć się i przemienić suknie. Wróciwszy zastał Buquera z kapeluszem w ręku chcącego z nim się pożegnać. Mój ojciec uszczęśliwiony że go się pozbędzie, otworzył mu drzwi. W istocie Busqueros wyszedł ale po chwili wrócił: «Przepraszam cię Señor Avadoro — rzekł — ale zapomnieliśmy oba że w butelce nie ma, wszelako nie zadawaj sobie trudu, ja sam potrafię ją napelnić.» Busqueros wziął lejek wsadził do butelki i odkręcił kurek. Gdy butelka była pełną, mój ojciec znowu poszedł

otworzyć mu drzwi. Don Roque wyniósł się czem prędzej, gdy wtem nagle mój ojciec spostrzegł że kurek był odkręcony i atrament lał się na pokój. W najwyższej rozpaczy pobiegł zakręcić kurek. W tej chwili Busqueres jeszcze powrócił i udając że nie spostrzega szkody jaką wyrządził, rozwalił się na tem samem krześle, dobył cygara z kieszeni i zapalił u lampy.

«Prawdaż to Señor Avadoro — rzekł do mego ojca — że miałeś syna który utonął w tym kotle. Gdyby biedak był umiał pływać, byłby niezawodnie się wyratował. Gdzież to Señor nabyłeś ten kocioł? jestem pewien że w Toledo. Doskonała glina, w takiej samej gotują saletrę. Twarda jak kamień, pozwól spróbuję wiosłem.» Mój ojciec chciał przeszkodzić próbie, ale Burqueros uderzył w kocioł który rozbił w kawalki. Atrament, strumieniem wytrysnął, zalał mego ojca i wszystko co się znajdowało w pokoju, nie wyłączając nawet Busquera którego także mocno obryzgał.

Mój ojciec który rzadko kiedy otwierał usta, tym razem jednak zaczął krzyżeć na całe gardło. Sąsiadki pokazały się na balkonie. «Ach, zacne panie — zawołał Busqueros —

stał nam się straszny wypadek, wielki kocioł stłukł się i cały pokój zalał atramentem. Señor Tintero nie wie gdzie się podzieć. Zlitujcie się nad nami i przyjmijcie nas do waszego mieszkania.» Sąsiadki zdały się zgadzać z radością, i mój ojciec pomimo swego pomieszania, doznał pewnej rozkoszy, dowiedziawszy się że zbliży się do pięknej nieznamoj, która z daleka wyciągała do niego śnieżne ramiona i uśmiechała się ze szczególniejszym wdziękiem.

Busqueros zarzucił memu ojcu płaszcz na plecy i wepchnął go do domu pani Ciemiento. Zaledwie tam wszedł gdy odebrał nieprzyjemne poselstwo. Kupiec bławatów który miał sklep pod jego mieszkaniem, przybył z doniesieniem że atrament przeciekł na jego towary i że posłał po urzędników sądowych dla opisania szkody. Gospodarz domu uprzedził go zarazem że, dłużej nie ścierpi go w swojej posiadłości.

Mój ojciec wypędzony ze swego mieszkania i skapany w atramencie, przybrał postać dziwnie nieszczęśliwą. «Nie potrzebujesz martwić się Señor Avadero — rzekł mu Busqueros — te panie mają w podwórzu obszerne mieszkanie, którego wcale nie potrzebują, każę

natychmiast do niego przenieść twoje rzeczy. Będzie ci tu bardzo wygodnie, znajdziesz podostatkiem atramentu czerwonego, niebieskiego, zielonego, daleko lepszego aniżeli był twój czarny. Wszelako radzę ci abyś przez jakiś czas nie wychodził z domu, gdybyś bowiem poszedł do Morena, każdy kazał by ci opowiadać przygodę o stluczonym kotle a wiem że nie lubisz wiele mówić. Spojrzyj się, oto wszyscy madryccy próżniacy, oglądają już w twojem mieszkaniu powódź atramentu, jutro w całym mieście nie będą o czem innym mówić.

Mój ojciec był jeszcze niewymownie zmieszany, gdy jedno ponętne wejrzenie panny Cimiento wróciło mu odwagę, poszedł więc rozgościć się w nowem swoim mieszkaniu. Niedługo w niem sam zostawał, panna Cimiento przyszła do niego i powiedziała mu że naradziwszy się z matką, postanowiły oddać mu *quarto principale*, to jest mieszkanie wychodzące na ulicę. Mój ojciec który z upodobaniem liczył przechodzących lub dachówki pałacu księcia Alby, z ochotą przystał na zamianę. Proszono go o pozwolenie zostawienia kolorowych atramentów na dawnem miejscu. Mój ojciec kiwnięciem głowy wyraził

swoje zadowolenie. Kociolki stały w środkowym pokoju; panna Cimiento przychodziła, wychodziła, brała farby nie mówiąc ani słowa, tak że w całym domu panowało jak najgłębsze milczenie. Mój ojciec nigdy nie był równie szczęśliwym. Tak przeszło ośm dni. Dziewiątego Busqueros odwiedził mego ojca i rzekł mu: « Señor Avadero, przychodzę donieść ci o pomyślnem spełnieniu życzeń o których marzyłeś, ale których dotąd nieodważyłeś się wypowiedzieć. Wzruszyłeś serce panny Cimiento, otrzymasz jej rękę; ale musisz wprzód podpisać ten papier, który z sobą przynoszę, jeżeli chcesz ażeby w niedzielę ogłoszono zapowiedzi. »

Mój ojciec niesłychanie zdziwiony, chciał odpowiedzieć, ale Bulqueros nie dał mu na to czasu i dodał: « Señor Avadero, przysze twoje małżeństwo dla nikogo nie jest tajemnicą. Cały Madryt o nim tylko mówi. Jeżeli masz zamiar je opóźnić, krewni panny Cimiento zbierają się u mnie, wtedy przyjdiesz i sam wyłożysz im powody zwłoki. Jestto postępowanie którego żadnym sposobem nie możesz uniknąć. »

Mój ojciec osłupiał na myśl, że będzie musiał odpowiadać przed całą rodziną, chciał

coś powiedzieć, ale Don Roque znowu mu przerwał i rzekł: «Pojmuję cię, rozumiem zupełnie, chcesz zapewnić się o twojem szczęściu z ust samej panny Cimiento. Właśnie i ona nadchodzi; zostawiam was samych.»

Panna Cimiento weszła cała zmieszana, nie śmiąc podnieść oczu na mego ojca; wzięła kilka farb i zaczęła je mieszać w milczeniu. Bojaźń jej podniosła odwagę w Don Phelipie, wlepił w nią oczy i nie mógł już oderwać. Tym razem zupełnie inaczej na nią się zapa-trywał.

Busqueros zostawił był na stole papiery potrzebne do ogłoszenia zapowiedzi. Panna Cimiento zbliżyła się drżąc, wzięła, przeczytała, poczem zasłoniła oczy dłonią i uroniła kilka łez. Mój ojciec, od śmierci swojej małżonki, ani sam nigdy nie płakał ani też nie dał nikomu przyczyny do płaczu. Łzy przez niego spowodowane tem bardziej go wzruszyły że nie mógł dokładnie odgadnąć ich przyczyny. Rozmyślał więc: czyli panna Cimiento płakała z zadowolenia z tego papieru, lub też dla braku podpisu? czyli chciała zaślubić go lub nie? Jednakowoż ciągle płakała. Zbyt okrutnem byłoby pozwolić jej dalej płakać, chcąc zaś aby się wytłumaczyła, nale-

zało wdać się z nią w rozmowę, mój ojciec przeto wziął pióro, podpisał papier i odszedł. Panna Cimiento wróciła do środkowego pokoju o zwykłej godzinie, pocałowała mego ojca w rękę nie mówiąc ani słowa i zajęła się fabrykacją laku niebieskiego. Mój ojciec tymczasem palił cygaro i liczył dachówki pałacu księcia Alby. W południe, przyszedł Fra Hieronimo Santez i przyniósł z sobą kontrakt ślubny w którym niezapomniano o mnie. Mój ojciec podpisał go, panna Cimiento także go podpisała, pocałowała mego ojca w rękę i wróciła w milczeniu do swego laku.

Od chwili roztluczenia wielkiego kotła, mój ojciec nie śmiał już pokazywać się w teatrze a tem mniej u księgarza Moreno. Ostatnia ta przyjaźń zaczynała go już nudzić. Trzy dni upłynęły od podpisania kontraktu. Busqueros przyszedł namawiać mego ojca aby wyjechał z nim na przechadzkę. Mój ojciec dał się nakłonić i pojechali na drugą stronę Manzanaresu. Niebawem stanęli przed małym kościółkiem Franciszkanów. Don Roque wysadził mego ojca, weszli do kościółka i zastali pannę Cimiento, która już na nich oczekiwała. Mój ojciec otworzył usta chcąc powiedzieć że myślał iż wyjechał tylko dla ode-

tchnięcia świeżem powietrzem, ale nic nie rzekł, wziął pannę Cimiento za rękę i zaprowadził ją do ołtarza.

Wychodząc z kościoła, nowożeńcy wsiedli do wspaniałego powozu i wrócili do Madrytu do pięknego domu gdzie czekał ich świetny bal. Pani Avadoro rozpoczęła go z jakimś młodzieńcem nader przyjemnej postaci. Tańczyli fandango z powszechnem zadowoleniem obecnych i rześystemi oklaskami. Mój ojciec napróżno szukał w swojej małżonce tej cichej i potulnej dziewczyny, która całowała go w rękę z uczuciem tak głębokiej pokory. Zamiast tego z nieopisanem zadziwieniem spostrzegął kobietę żywą, roztargnioną i z upodobaniem oddającą się zgielkowej rozrywce, wreszcie do nikogo się nie odzywał, nikt go o nic nie pytał i milczenie to było jedyną jego pociechą.

Zastawiono mięsa na zimno i chłodniki, następnie mój ojciec zmorzony snem odważył się zapytać, czyli nie byłaby już pora wracać do domu? Odpowiedziano mu że znajdował się we własnem mieszkaniu, dom ten bowiem stanowił część posagu jego żony. Kazał sobie pokazać sypialny pokój i legł na spoczynek.

Nazajutrz Don Roque rozbudził nowożeńców. « Señor, kochany mój kuzynie — rzekł do mego ojca — tak cię nazywam, albowiem żona twoja jest najbliższą krewną jaką mam na ziemi. Matka jej pochodzi z rodziny Busquerów z Leonu, którzy należą do młodszej linii Busquerów kastylijskich. Dotychczas nie chciałem ci wspominać o twoich interesach, ale odtąd zamierzam zająć się nimi więcej niż memi własnymi, prawdę bowiem mówiąc, nie mam żadnych własnych interesów. Co się tyczy twego majątku, Señor Avadero, wywieździałem się dokładnie o twoich przychodach i o sposobie jakim je od szesnastu lat przeżywasz. Oto są papiery objaśniające stan twego mienia. Żeniąc się po raz pierwszy, miałeś cztery tysiące pistolów rocznego dochodu, którego między nami mówiąc nie umiałeś wydać. Brałeś dla siebie sześćset pistolów, dwieście zaś przeznaczałeś na wychowanie twego syna. Zostawało ci więc trzy tysiące dwieście pistolów które umieszczaleś na banku Grimios, procent zaś od nich oddawałeś Teatynowi Hieronimo na miłosierne uczynki. Bynajmniej cię w tem nie ganię, ale na uczciwość, żal mi teraz ubogich, będą bowiem musieli obejść się bez twego wsparcia.

« Naprzód, my sami potrafimy wydać twoje cztery tysiące pistolów rocznego dochodu, co zaś do pięćdziesięciu jeden tysięcy dwustu, złożonych na banku Gremios, oto jest sposób jakim niemi rozporządzimy: Za ten dom, ośmnaście tysięcy pistolów, jest to wiele, wyznaję ale sprzedawca jest moim krewnym, moi zaś krewni są twoimi Señor Avadero. Naszyjnik i kolczyki jakie pani Avadero wczoraj miała na sobie, warte są między braćmi ośm tysięcy pistolów, położymy dziesięć, później przyczynę ci wytłumaczę. Zostaje nam jeszcze dwadzieścia trzy tysiące dwieście pistolów. Przekłety Teatyn zachował piętnaście tysięcy dla twego lotra syna, w razie gdyby się ten kiedy wynalazł. Pięć tysięcy na uporządkowanie twego domu, nie jest to zbyt wiele, gdyż szczerze mówiąc, wyprawa twojej żony składa się z sześciu koszul i tyluż par pończoch. Powiesz mi że z tej mamony zostaje ci jeszcze trzy tysiące dwieście pistolów z którymi sam nie wiesz co począć. Ażeby wydzwignąć cię z kłopotu, pożyczam je u ciebie na procent o który się już ułożymy. Oto jest Señor Avadero pełnomocnictwo, racz je podpisać. »

Mój ojciec nie mógł odetchnąć z podziwienia jakie mu sprawiła ta mowa Busquera,

otworzył usta aby mu odpowiedzieć ale niewiedząc jak zacząć, odwrócił się do ściany i nacisnął szlafmycę na oczy.

« Mniejsza o to — rzekł Busqueros — nie pierwszym jesteś który chciał uciec przedemną w swoją szlafmycę i udawać że spi. Znam się na tych wybiegach. Na szczęście mam także moją szlafmycę w kieszeni, położę się na kanapie, prześpiemy się oba i gdy obudzimy się, powrócim znowu do naszego pełnomocnictwa. W przeciwnym razie, zbierzemy moich i twoich krewnych i zobaczymy czyli ta rzecz nie da się inaczej ułożyć. »

Mój ojciec z głową zagłębioną między poduszkami, zaczął rozmyślać nad swoim położeniem i środkami za pomocą których mógłby osiągnąć spokojność. Pojął że zostawiając żonie wszelką wolność, może zdoła wrócić do dawnego sposobu życia, będzie mógł chodzić na teatr, do księgarza Moreno a nawet oddawać się rozkoszy wyrabiania atramentu. Pocieszony nieco tą myślą, otworzył oczy i dał znak że podpisze pełnomocnictwo.

W istocie podpisał i chciał wstać z łóżka. « Wstrzymaj się Señor Avadero — rzekł mu Busqueros — za nim wstaniesz powinienes ułożyć sobie co będziesz przez cały dzień porabiał. Ja ci w tem dopomogę i spodziewam

się że będziesz zadowolonym z planu jaki ci podam, tem bardziej że dzień ten rozpocznie pasmo równie przyjemnych jak rozmaitych zatrudnień. Naprzód, przynoszę ci tu piękny ubiór na konia; dzielny rumak czeka na ciebie u bramy, przejedziemy się po Prado, dokąd i pani Avadero niebawem przybędzie w karecie. Przekonasz się Señor Don Phelipe, że małżonka twoja ma w mieście znakomitych przyjaciół, którzy także będą twoimi. Wprawdzie od niejakiego czasu ostygli nieco dla niej, ale teraz widząc ją połączoną z człowiekiem równie zacnym jak ty, zaręczam że wszyscy powrócą. Powtarzam ci, pierwsi dostojnicy dworu będą cię szukali, uprzedzali, ściskali, co mówię dusili w namiętnych uściskach przyjaźni! »

Na te słowa mój ojciec zemdlął, albo też raczej wpadł w stan zdrętwienia blizki letargu. Busqueros nic tego nie spostrzegł i tak dalej mówił: « Niektórzy z tych panów uczynią ci zaszczyt zaproszenia się na twoje obiady. Tak jest Señor Avadero, uczynią ci ten zaszczyt i tu dopiero czekam na ciebie. Przekonasz się jak twoja żona umie przyjmować gości. Do stu bomb i kartaczów, nie poznasz skromnej fabrykantki laku. Nic mi na to nie odpowiadasz Señor Avadero? masz słusność

że nie przerywasz. Tak na przykład lubisz komedię hiszpańską, ale ja założę się że nigdy nie byłeś na operze włoskiej, nad którą cały dwór się zachwyca. Dobrze więc, dziś wieczorem pójdiesz na operę i zgadnij do czyjej loży? do Don Fernanda de Thaz wielkiego koniuszego, ani mniej ani więcej. Ztamtąd udamy się na bal do tegoż pana, gdzie spotkasz całe dworskie towarzystwo. Wszyscy będą z tobą rozmawiać, przygotuj się na odpowiedzi.»

Zaledwie mój ojciec zaczął wracać do zmysłów, gdy nagle dowiedział się że będzie musiał odpowiadać całemu dworowi. Zimny pot wystąpił mu na czoło, ramiona zdrętwiały, szyja się skurczyła, głowa opadła mu na poduszki, wytrzeszczył okropnie oczy, z piersi wydierały mu się gwałtowne westchnienia, słowem dostał konwulsyi. Busqueros spostrzegł nareszcie jaki skutek wzięła jego mowa, zawołał na pomoc, sam udał się do Prado, gdzie moja macocha wkrótce za nim pospieszyła.

Mój ojciec wpadł w powtórny stan odrętwienia. Przyszedszy do sił, nie poznawał nikogo, wyjąwszy żonę i Busquera. Skoro ich spostrzegł, wściekłość malowała się w jego rysach, z resztą był spokojnym, milczał i niechciał wstać z łóżka. Gdy czasami musiał powstać na chwilę, zdawał się być

zziębniętym i trząsł się przez pół godziny. Wkrótce symptomata pogorszyły się. Chory nie mógł przyjmować żadnego pożywienia, żył tylko klejkiem i rosolem. Spazm konwulsyjny ścisnął mu gardło, język opuchł i zeszywniał, oczy zeszkliły się i zimny pot ciągle występował mu na skórę.

Wszedłem do jego domu przebrany za służącego i zdjęty smutkiem, poglądałem na postęp choroby. Moja ciotka Dalanosa, którą przypuściłem do tajemnicy, czuwała przy nim, ale chory niepoznał jej: co zaś do mojej macochy, widocznem było że obecność jej wielce mu szkodziła, tak że Fra Hieronimo namówił ją aby wyjechała na prowincyą, dokąd i Busqueros za nią pospieszył.

Wymyśliłem ostatni środek który mógł wyciągnąć mego ojca z nieszczęśliwego stanu i który w istocie powiódł się na chwilę. Pewnego dnia Don Phelipe ujrzał przez otwarte drzwi w drugim pokoju, kocioł zupełnie podobny do tego jakiego dawniej używał do przyprawiania atramentu; obok stał stolik z różnemi flaszkami i wagami do odmierzania przypraw. Cicha wesolość wybiegła na lica mego ojca, wstał, zbliżył się do stolika, zaczął krzesła, ale ponieważ był bardzo osłabionym, kto inny zatem musiał zająć się fa-

brykacją której mój ojciec bacznie się przyglądał. Nazajutrz mógł już sam rękę przyłożyć, następnego dnia stan jego znacznie się polepszył, ale w kilka dni potem pojawiła się gorączka zupełnie obca dotychczasowej chorobie. Symptomata wcale nie były gwałtowne, wszelako chory tak upadł na siłach że nie mógł znieść najmniejszego poruszenia. Zgasł, nie poznawszy mnie nawet, chociaż wszelkiemi sposobami usiłowano przypomnieć mi jego pamięci. Tak umarł człowiek który nie przyniósł z sobą na świat tego stopnia sił moralnych i fizycznych, jaki mógł być mu nadać potrzebną na męża dzielność. Instynkt że tak powiem, skłonił go do wybrania pewnego rodzaju życia zastosowanego do jego zdolności. Zginął, gdy go chciano rzucić w życie czynu.

Czas już abym powrócił do własnych przygód. Skończyły się nareszcie dwa lata mojej pokuty. Trybunał inkwizycyi pozwolił mi wrócić do własnego nazwiska pod warunkiem, że odbędę wyprawę na galerach maltańskich. Z radością przyjąłem ten rozkaz, spodziewając się że spotkam komandora Toledo już nie jako służący, ale prawie jako równy.

Oporządziłem się zbytkownie, przymierzając suknie u ciotki Dalanosy, która umierała z zachwycenia. Wyjechałem o wscho-

dzie słońca ażeby ukryć przed ciekawymi moją przemianę. Wsiadłem na okręt w Barcelлонie i po krótkiej podróży przybyłem do Malty. Spotkanie moje z kawalerem sprawiło mi większą przyjemność aniżeli się spodziewałem. Toledo, zapewnił mnie że nigdy nie dał się omamić memu przebraniu i że zamierzał mi swoją przyjaźń jak tylko powrócę do pierwotnego stanu. Kawaler dowodził główną galera, wziął mnie więc na swój pokład i krążyliśmy po morzu przez cztery miesiące nie zaszkodziwszy wiele Barbareskom, którzy na lekkich statkach łatwo przed nami umykali.

Tu kończy się historia moich lat dziecięcych. Opowiedziałem wam ją ze wszelkimi szczegółami gdyż dotąd są one przytomne mojej pamięci. Zdaje mi się że widzę przed sobą cele rektora Teatynów z Burgos, surową postać ojca Sanudo; zdaje mi się że zajadam kasztany pod przysionkiem kościoła ś. Rocha i wyciągam ręce do szlachetnego Toledo. Nie opowiem wam z równą dokładnością przygód mojej młodości. Ile razy przenoszę się wyobraźnią w te najświetniejsze czasy mego życia, widzę tylko zgiełk rozmaitych namiętności i pomięszaną wrzawę burz. Głębokie zapomnienie ukrywa przedemną uczucia jakie napępniały moją duszę i unosiły ją chwilowem

szczeńciem. Spostrzegam wprawdzie promyki wzajemnej miłości przedzierające się do mnie przez mgłę minionych dni, ale płaczą się przedmioty tej miłości i widzę tylko pogmatwane obrazy pięknych rozczulonych kobiet, wesółych dziewcząt zarzucających mi na szyję śnieżne ramiona, widzę nawet jak posępne ochmistrzynie nie mogąc oprzeć się tak wzruszającemu widokowi, łączą kochanków którychby nazawsze powinny były rozdzielić. Widzę upragnioną lampę dającą mi znak z okna, tajemne schodki prowadzące mnie do skrytych drzwi. Chwile te, to rozkosz w całej potędze. Czwarta godzina bije, zaczyna dzień, trzeba się rozstać, ach i rozstanie ma także swoją słodycz. Mniemam że od jednego końca świata do drugiego, historia miłostek wszędzie jest jednakową. Opowiadanie moich mogłoby nie być dla was zbyt zajmującym, ale sądzę że radzi posłuchacie historii pierwszych moich uczuć. Szczegóły ich są zadziwiające, mogłbym nawet poczytać je za cudowne. Dziś jednak już jest późno, muszę jeszcze pomyśleć o sprawach mojej hordy, pozwólcie więc abym dalszy ciąg odłożył na jutro. —

KONIEC TOMU PIĄTEGO.

SPIS DNI W TOMIE V.

	Strona
Dzień XLI.	4
Dzień XLII.	19
Dzień XLIII.	35
Dzień XLIV.	55
Dzień XLV.	65
Dzień XLVI.	77
Dzień XLVII.	89
Dzień XLVIII.	103
Dzień XLIX.	119
Dzień L.	133
Dzień LI.	149
Dzień LII.	175
Dzień LIII.	187
Dzień LIV.	207

